

James Fenimore Cooper

Młody Orzeł

Rozdział I - Spór myśliwych o zabita zwierzynę

Środek stanu New York stanowi malownicze miejsce składające się ze wzgórz i dolin. Tam właśnie rzeka Delaware zaczyna swój bieg, a także wypływa z licznych źródeł wspaniała Suskehanne, tworząc w dalszym ciągu jedną z największych rzek Stanów Zjednoczonych. Niemal wszystkie góry nadają się do uprawy; nad brzegami rzeczek lub jezior wznoszą się wioski i ładne posiadłości. Drogi wiją się w rozmaitych kierunkach po wzgórzach i dolinach.

W ostatnich dniach grudnia 1795 roku, o zachodzie słońca, kryte sanie przesuwały się z wolna po stromej drodze. Wieczór był zimny lecz pogodny; obłoki oświetlone gasnącymi promieniami słońca różowiły się na zachodzie nad ziemią pokrytą śniegiem.

Droga wiodąca po spadzistym stoku góry miała z jednej strony wysoką ścianę, z drugiej zabezpieczona była od głębokiej przepaści zrębem z kłód, rzuconych niedbale. Wierzchołek góry pokrywał las ciągnący się daleko.

Piękne kasztanki, zaprzężone do krytych sani, osypane były szronem, iskrzącym się w powietrzu; z nozdrzy ich buchała para. Uprząż z czarnego rzemienia zdobił brąz błyszczący w promieniach słońca jak złoto. Na koźle siedział Murzyn, liczący około dwudziestu lat. Mróz marszczył mu lśniąca twarz i z żywych czarnych oczu wyciskał łzy, nie mogąc wszakże pozbawić ich wyrazu wesołości. Ogromny ciężki pojazd zwany slejgiem, mógł pomieścić liczną rodzinę, tym razem jednak siedział w nim starszy mężczyzna i młoda kobieta. Podróżny wysokiego wzrostu, owinięty był w futro i miał na głowie kunową czapkę, zakrywającą uszy, spod niej wyglądała twarz o rysach szlachetnych i męskich, wielkie niebieskie oczy, w których malowała się dobroć, roztropność i wesołość. Młoda osóbka siedząca obok niego, otulona była rozmaitymi ciepłymi okryciami. Spod jedwabnej, czarnej kapotki, podbitej puchem, wyzierały od czasu do czasu czarne, śliczne oczęta pełne żywości i ognia.

Ojciec i córka jechali w milczeniu, oddani własnym myślom. Ojciec przypominał sobie, jak przed czterema laty jego nieboszczka żona żegnała ukochaną jedynaczkę, wysyłając ją dla dokończenia nauk do New Yorku. W kilka miesięcy potem stracił swą zącną towarzyszkę życia; pomimo jednak wielkiego osamotnienia, nie chciał przerywać nauk córki i przedwcześnie sprowadzić jej do siebie.

Myśli Elzuni były mniej posępne: przyglądała się ciekawie różnym zmianom zaszłym w tej okolicy podczas jej nieobecności. Górę, po której jechali, pokrywały wysokie sosny, ich ciemna zieleń odbijała od śnieżnej bieli, tworząc kontrast wielce malowniczy.

Podróżni nie odczuwali wiatru, ale wierzchołki drzew chwiały się z głuchym szumem, przypominającym groźny powiew zimy.

Nagle poszczekiwanie psów rozległo się po lesie. Marmaduk Temple, jadący z córką, przerwał swe rozmyślenia i zawołał na woźnicę:

- Stój, Adży, stój! To głos starego Hektora, poznaję go wśród tysiąca innych. Pewno Nataniel Bumpo, korzystając z pięknej pogody, wyszedł na polowanie i psy jego gonią daniela. Elżuniu - dodał zwracając się do córki - wszak nie lękasz się strzału, więc dostarczę ci zwierzyny na święta.

Murzyn zatrzymał konie i, bijąc się rękoma po bokach, rozgrzewał skrzeple od zimna palce, Marmaduk Temple, tymczasem, wyskoczył z sani, zdjął futrzane rękawice pokrywające zamszowe, wydobyl strzelbę i opatrzwszy podsypkę, skierował się do lasu. Wkrótce ukazał się piękny daniel pędzący rączo pomiędzy drzewami; podróżny złożył się w mgnieniu oka i dał ognia, daniel jednak biegł dalej i już przesadzić miał drogę, kiedy dał się słyszeć drugi strzał, zwierz podskoczył wysoko, lecz wnet trzeci strzał obalił go na ziemię. Jednocześnie dwóch myśliwych ukazało się spoza drzew.

- To ty, Natty? - zawołał Temple, zbliżając się do starszego z nich i oglądając zabitego daniela. - Gdybym wiedział, że jesteś tam ukryty, nie byłbym strzelał, ale usłyszawszy szczekanie Hektora nie mogłem się powstrzymać i zapomniałem o całym świecie. Jednak nie jestem zupełnie pewny, czy to mój strzał położył trupem zwierzynę.

- Nie, nie, panie sędzio - odpowiedział strzelec ze złośliwym nieco uśmiechem - pan tylko zużył trochę prochu, żeby sobie ogrzać nos w tak zimny wieczór. Czyż można zabić daniela z takiej strzelbeczki na wróble? Dostyc jest teraz drobnego ptactwa i bażantów w lesie, może pan codziennie mieć pasztety, ale chcąc upolować grubszą zwierzynę, należy wziąć strzelbę z długą rurą i zamiast kłaków użyć skóry dobrze natłuszczonej, inaczej zużyje pan dużo prochu, a korzyści z tego nie będzie żadnej.

To mówiąc, strzelec wierzchem ręki otarł usta, jak gdyby chcąc ukryć drwiący uśmiech, który ożywił jego twarz.

- Moja fuzja bije dobrze, Natty - odrzekł podróżny dobrodusznym tonem - nie pierwszy to raz trafiłem z niej daniela. Widzisz, że ma dwie rany, strzał był w szyję i w serce, zupełnie możliwe, że to ja właśnie zadałem śmiertelną ranę.

- Mniejsza o to, który z nas dwóch - odrzekł Natty, marszcząc brwi chmurnie; dobywszy nóż zza pasa, przerznął gardło danielowi - ale zwierz padł nie po pierwszym ani drugim, ale dopiero po trzecim strzale - dodał po chwili - a ten wymierzyła młodsza i pewniejsza ręka, niż pana sędziego i moja! Co do mnie jestem człowiekiem niebogatym, mogę wszakże obyć się bez zwierzyny, tylko będąc mieszkańcem wolnego kraju, nie lubię zrzekać się moich praw, chociaż i u nas nieraz tak samo jak i w starym świecie przemoc jest prawem.

Stary strzelec wypowiedział ostatnie słowa z ponurą niechęcią.

- Chodzi mi tylko o chlubę, Natty - odpowiedział podróżny z niezmaconym spokojem. - Cóż wart jest taki daniel? Zaledwie kilka dolarów, ale przyjemnie jest wiedzieć, że sam go upolowałem. Chciałbym zażartować z Ryszarda, który siedem razy tej jesieni chodził na polowanie i przyniósł tylko jednego bekasa i kilka popielic.

- Oj, panie sędzio - zawołał Natty, wzdychając żałośnie; z powodu waszego nieobliczalnego trzebienia niełatwo teraz o zwierzynę! Minęły te czasy kiedy zabijałem po trzydzieści danieli starych i bez liku młodych podczas jednej jesieni. Nieraz najwspanialszego dzika zdarzało mi się zabić przez szparę w ścianie mojej chałupy. Ileż to razy wycie wilków wybijało mnie ze snu. Mój stary Hektor ma od nich pamiątkę - dodał, głaszcząc wielkiego czarnego psa z białym podgardlem i pstrymi łapami. - Pies ten lepszy od niejednego człowieka, bo nigdy nie odstępuje przyjaciela i przywiązany jest do tego, czyj chleb je - dodał z naciskiem.

W słowach i zachowaniu się starego strzelca było coś szczególnego, co uderzyło Elżbietę i zaczęła przyglądać się mu uważnie. Był to człowiek mający sześć stóp wzrostu, a z powodu niezwyklej chudości wydawał się znacznie wyższy. Lisia czapka pokrywała mu część długich, wiekiem pobielonych włosów, policzki miał zapadłe, spod krzaczastych brwi błyszcząły szare, bystre i pełne żywości oczy. Krój jego odzienia był dość dziwaczny, ponieważ sam je sobie sporządzał bez pomocy krawca. Skóra jelenia obciśnięta pasem wkoło żeber stanowiła wierzchni ubiór, kamasze również z tej skóry zachodziły za kolana, osadnicy przezywali go Kosmatym Kamaszem lub Skórzaną Pończochą. Na rzemieniu zwieszał mu się przez lewe ramię ogromny róg wołowy, wyrobiony tak cienko, że w nim proch przeświecał. Natty wziął właśnie do ręki żelazną miarkę, napełnił ją prochem i zaczął nabijać swą rusznicę tak niezmiernie długą, że kiedy kolba stała na śniegu, koniec rury sięgał mu aż do czapki.

Temple tymczasem oglądał daniela i nie zważając na zły humor starego strzelca, zawołał:

- Nie chce mi się Natty, rzec moich pretensji, bo jeśli to ja trafiłem w szyję, drugi strzał był tylko, jak my nazywamy, "złym zamiarem".

- Może pan sędzia dobierać jakie chce uczone nazwy - odrzekł Natty - ale łatwiej jest znaleźć wyraz, niż zabić daniela w biegu. Mówiłem już zresztą, że padł on z ręki młodszej i pewniejszej od naszej.

- Wyrzucimy w górę dolar, żeby los zdecydował, kto ma większe prawa do rogacza - zawołał sędzia, zwracając się do drugiego strzelca. - Co powiesz na to?

- Mówię, że to ja zabiłem - odpowiedział młody myśliwy nieco chmurnie i hardo, opierając się na strzelbie takiej prawie, jaką miał Natty.

- Dwóch was przeciw mnie jednemu - rzekł sędzia z uśmiechem - ale pogodzimy się

przecież. Sprzedajcie mi daniela.

- Nie mogę sprzedać tego, co do mnie nie należy - rzucił Natty niechętnie. - Widziałem nieraz, że zwierz postrzelony w szyję cały dzień chodził; nie mam zwyczaju przywłaszczać sobie cudzej własności.

- Uparty jesteś Natty - zaśmiał się Temple, chcąc koniecznie postawić na swoim. - Słuchaj, młody strzelcze, dam ci trzy dolary za daniela - dodał zwracając się do myśliwego.

- Rozstrzygnijmy przede wszystkim do kogo powinien należeć - odparł młodzian. - Iloma kulami nabita była pańska fuzja?

- Pięcioma. Czy nie dość, aby zabić rogacza?

- Dostyc jednej - odpowiedział strzelec, postępując parę kroków w głąb lasu. - Nikt prócz pana nie strzelał z tej strony, racz pan obejrzeć to drzewo, oto jedna, druga, trzecia, czwarta kula.

- A piąta? - zapytał sędzia triumfująco.

- Piąta jest tu - odrzekł młodzian i odrzuciwszy płaszcz, wskazał przestrelone odzienie i ramię zalane krwią.

- O mój Boże! - zawołał Temple ze szczerym współczuciem. - Siadaj co prędzej do naszych sani; o pół kilometra stąd jest chirurg, który ci opatrzy ranę. Koszty leczenia sam poniosę, będziesz u mnie aż do zupełnego wyzdrowienia.

- Dziękuję panu za jego dobre chęci, ale mam przyjaciela, który bardzo by się niepokoił o mnie. Zresztą rana jest lekka, kość nie zadraśnięta. Teraz sędzę, że pan mi przyznaje prawo do zwierzyny?

- Przyznaję, bez wątpienia, i daję ci pozwolenie polowania w moich lasach. Dotąd jeden tylko Natty miał ten przywilej, ale sprzedaj mi proszę daniela, masz oto zapłatę - dodał sędzia, wyjmując banknot z pugilaresu.

Natty, prostując się wyniośle, mruknął:

- Są jeszcze ludzie starzy, którzy mogą powiedzieć, że Natty Bumpo pierwiej miał prawo polować w tych lasach niż Marmaduk Temple zabronić mu tego! Lepiej by urzędowo nie pozwolono strzelać z tych przeklętych fuzyjek, które Bóg wie gdzie śrut rozrzucają!

Młody strzelec skłoniwszy się sędziemu, odpowiedział stanowczym tonem:

- Niech mi pan daruje, ale sprzedać zwierzyny nie mogę, gdyż jest mi potrzebna.

- Będiesz mógł kupić sto danieli za sumę, którą ci daję - odrzekł sędzia zdumiony odmową - wszak to banknot studolarowy.

Strzelec jakby zawahał się chwilę, ale wnet potrząsnął przecząco głową.

Elżunia, słuchająca rozmowy, wychyliła główkę i nie zważając na zimno, odrzuciła kapturek z czoła. Zwracając się do młodego strzelca, rzekła uprzejmie:

- Niech pan nie martwi mego ojca i zgodzi się pojechać z nami, abyśmy mogli udzielić mu pomocy.

Strzelec złagodniał widocznie i zachwiał się w swym postanowieniu, co spostrzegłszy Temple wziął go za rękę i począł znowu nalegać.

- Nigdzie bliżej - rzekł - nie opatrzą ci rany, niż u nas, w Templtonie, bo stąd do chaty Nattiego będzie dobre trzy mile. Siadaj z nami, pošę wnet po lekarza, Natty uspokoi twego przyjaciela, a jutro, jeśli zechcesz, powrócisz do siebie.

Młodzieniec starał się wyswobodzić rękę z mocno ściskającej ją dłoni sędziego, ale spotkawszy się ze wzrokiem Elżbiety widocznie walczył skrycie z sobą, by nie ulec namowom.

Natty, wsparty wciąż na strzelbie, odezwał się do towarzysza:

- Najmądrzej będzie pojechać do Templtonu, bo jeśli kula została w ranie, to ja już temu zaradzić nie potrafię. Dawniej co innego. Przed trzydziestu laty, pamiętam, szedłem sam jeden przez pustynię siedemdziesiąt mil z kulą w lędźwiach i sam wydobyłem ją nożem. Indianin John bardzo dobrze przypomina sobie tę chwilę, bo właśnie wówczas poznaliśmy się.

Koniec końców młody strzelec dał się skłonić i usiadł razem z podróżnymi. Murzyn przy pomocy swego pana zarzucił daniela na paki, a następnie Temple począł zapraszać jeszcze Nattiego, by się zabrał z nimi, ale ten stanowczo odmówił.

- Nie, panie sędzio - odrzekł - mam dużo roboty w domu, muszę wracać do swego kąta, ale temu młodemu każ pan zaraz opatrzyć ramię, niech lekarz wyjmie kulę, a ja znam takie zioła, które prędzej zagoją ranę niż wszelkie plastry. Jeżeli zaś spotkacie po drodze Indianina, to radziłbym go zabrać z sobą, bo ma doskonałe lekarstwo na stłuczenia i rany.

- Natty, nie mów nic o tym, że jestem raniony, ani gdzie jadę. Pamiętaj! - szepnął młody strzelec na pożegnanie.

- Spuść się na starego Bumpa - odpowiedział Natty - rzucając znaczące spojrzenie na młodego przyjaciela - kto czterdzieści lat przeżył na pustyniach, musiał nauczyć się trzymać język za zębami. Pamiętaj co mówiłem o Johnie.

- Dobrze, dobrze, skoro tylko wyjmą mi kulę, powrócę zaraz do was i przyniosę ćwiartkę daniela na święta...

Natty przerwał mu, przykładając palec do ust na znak milczenia. Usunął się z drogi, mając oczy utkwione w sam szczyt sosny, po czym postąpił krok naprzód, odwiódł kurek i długą swą rusznicę wymierzył w górę. Podróżni zdjęci ciekawością, wysunęli głowy i wnet dostrzegli cel jego strzału. Był to ptak ukryty wśród najwyższych gałęzi, tylko szyję i głowę widać było. Bumpo strzelił, ptak trzepocząc się spadł na ziemię. Pies rzucił się wnet po zdobycz.

- Do nogi, Hektor! Nazad, stary łotrze! - zawołał Natty.

Posłuszny pies powrócił do swego pana, ten nabił strzelbę, po czym, ujawszy ptaka bez głowy, pokazał go podróżnym, mówiąc:

- To lepszy przysmak, niż pieczeń ze zwierzyny! Przyzna pan, panie sędzio, że z fuzji myśliwskiej nie potrafiłby pan trafić ptaka na taką odległość nie oderwawszy ani jednego piórka!

Natty zaśmiał się triumfująco otworzywszy szeroko usta. Był to śmiech dziwny, bez głosu, słyhać tylko było jakby głuche rżenie.

Pożegnawszy młodego strzelca, przypomniał mu jeszcze, że ma koniecznie widzieć się z Indianinem i leczyć się jego ziołami po czym zawrócił w stronę lasu i wkrótce wraz ze swymi psami zniknął z oczu podróżnym na zakręcie drogi.

Rozdział II - Przeszłość Marmaduka Templa. Przygoda w podróży

Jeden z przodków Marmaduka Templa przybył do Pensylwanii wraz ze słynnym założycielem tej osady, Wilhelmem Pennem. Spieniężywszy całą swą majątność w Anglii, przywiózł z sobą do Ameryki dość znaczną sumę, za którą nabył dużą ilość ziemi, żył bardzo dostatnio, piastował wysokie urzędy i zmarł w porę, nie mając pojęcia o tym, że jest właściwie całkiem ubogi. Zwykła to jest kolej ludzi przybywających ze znacznymi kapitałami do Ameryki; najczęściej ubożeją stopniowo, nie mogąc się dostosować do nowych warunków, inni zaś, zawdzięczający dobrobyt własnej tylko pracy, umieją go utrzymać. Potomkowie Templa żyli w wielkim niedostatku, ale, powodowani ambicją, postanowili odzyskać majątek i znaczenie. Ojciec sędziego Marmaduka Templa ożenił się bogato i dał synowi staranne wychowanie. Ten ostatni zaprzyjaźnił się ze swym rówieśnikiem, Edwardem Effinghamem, pobierającym wraz z nim nauki. Ojciec Edwarda służył w wojsku od młodości, uczestniczył w wielu bitwach z Francuzami i odznaczył się wielką walecznością, zyskując sławę i zaszczyty. Po otrzymaniu dymisji w randze majora, nie chciał korzystać z proponowanych mu urzędów, uważano go więc w sferach rządowych za oryginała i dziwaka pogardzającego pieniędzmi. Odtąd zamieszkał we własnej siedzibie, ciesząc się ogólnym poważaniem, ale gdy jego jedyny syn postanowił ustalić swój los i wstąpił w związki małżeńskie z wybranką serca, major oddał mu cały majątek, składający się z kapitałów w banku, wielu posiadłości oraz znacznej przestrzeni ziemi w stronach niezamieszkałych przez osadników, poprzestając na rencie wypłacanej mu przez syna.

Skoro Edward objął to wszystko w posiadanie, natychmiast odszukał przyjaciela swego Marmaduka, któremu bezgranicznie mógł zaufać i zaczęli wspólnie prowadzić interesy. Wobec tego Marmaduk najzupełniej uczciwą drogą dorobił się wkrótce ładnej fortuny i kupił posiadłość nad źródłami rzeki Suskehanny. Przy zasobach pieniężnych, staraniu i wytrwałości podwoił w szybkim czasie wartość ziemi, a w chwili gdy się opowieść nasza zaczyna, uchodził za najbogatszego obywatela w tej okolicy. Gdy

wybuchła wojna o niepodległość, Edward służył w wojsku angielskim i bronił praw swego rządu, a Temple stał po stronie powstańców. Po zwycięstwie tych ostatnich, Edward opuścił Amerykę, pozostawiwszy wszystkie dokumenty majątkowe i kapitały w ręku Marmaduka, który otrzymał wiadomość, że Effingham utonął podczas burzy na morzu w drodze do Stanów Zjednoczonych. W okręgu, w którym mieszkał Marmaduk miał opinię człowieka sprawiedliwego, o nieskazitelnym charakterze. To było powodem obrania go sędzią Sądu Najwyższego.

Po śmierci ukochanej żony przelał całe swe uczucie na jedynaczkę Elżunię, która właśnie powracała teraz po skończeniu pensji do rodzinnego domu.

W chwili, gdy konie ruszyły, Marmaduk począł się przyglądać uważnie młodemu strzelcowi, siedzącemu naprzeciw niego. Był to młodzian smukły, lat dwudziestu trzech najwyżej; miał na sobie opończę z grubego krajowego sukna, przepasaną wełnianym pasem.

- Twarz pana nie jest mi obca - rzekł sędzia Temple, starając się sobie przypomnieć kiedy i w jakich okolicznościach mógł go już przedtem spotkać.

- Jestem tu dopiero od trzech tygodni, a zdaje się, że pan przez czas dłuższy był nieobecny - odrzekł strzelec zimnym tonem, jakby nie okazując chęci prowadzenia rozmowy.

- Tak jest, miesiąc już upłynął od czasu mego wyjazdu - ciągnął sędzia - ale pomimo to rysy pana twarzy są mi znajome, widziałem je chyba we śnie. Jak myślisz Elżuniu? Czy nie zaczynam pleść od rzeczy? Może mi się pomieszało w głowie? Jakże będę mógł sądzić sprawy, a co ważniejsze w danej chwili, czy będę w stanie ugościć naszych przyjaciół, mających przybyć do nas na święta - żartował Temple, chcąc rozweselić córkę.

- Jedno i drugie na pewno lepiej ci się, mój ojczulku, powiedzie - zawołała wesoło Elżunia - niż zabijanie daniela z małej fuzyjki!

Młody strzelec uśmiechnął się, rzuciwszy nieco wzgardliwe spojrzenie na sędziego. Nagle konie przyspieszyły biegu, czując, że stajnia niedaleko. Widać już było dolinę, miasteczko i dom sędziego, co wprowadziło go w doskonały humor.

- Patrz, Elżuniu - rzekł wskazując dym unoszący się z kominów ich domu - oto jest twoja siedziba, gdzie masz odtąd pędzić życie. I pan również gościem naszym będzie, o ile zechce pozostać z nami - dodał uprzejmie zwracając się do młodzieńca.

Oboje młodzi rzucili na siebie przelotne spojrzenie, jakby zdumieni tym nagłym zwrotem i przypuszczeniem, że nieznajomy mógłby być zaliczony do koła domowego w sędziowskim dworze.

Murzyn ścigał lejce przy spuszczeniu się z góry w dolinę, Elżbieta przyglądała się teraz uważnie krajobrazowi niewidzianemu od lat kilku, obserwując zaszłe tu przez ten czas zmiany. Dolina otoczona była górami pokrytymi lasem. W niektórych miejscach widać było nad drzewami lekką mgłę dymu, zwiastującą mieszkania ludzi i coraz liczniejsze wykarczowane już grunta przygotowane do uprawy. Nowe osady, z początku odosobnione, szybko się powiększały, a dom Temple stanowił teraz punkt centralny sporego miasteczka, zabudowanego dość fantastycznie, bez zachowania najelementarniejszych zasad architektonicznych. Okna domków miały okiennice malowane na zielono, przed gankiem każdego z nich wznosiło się kilka drzewek ogołoconych z gałęzi, podobnych do grenadierów pełniących straż przed pałacem. Mieszkało w takich domostwach paru adwokatów, kilku kupców, jeden doktor. Siedziba sędziego Temple była najokazalsza, otaczał ją duży ogród owocowy; podwójny szereg topoli tworzył ulicę prowadzącą

do bramy wjazdowej. Brat przyrodni Templa, Ryszard Jones wybudował według swego planu dwa domy sędziego, jeden z nich był trzypiętrowy. Przy spuszczeniu się z góry w dolinę uderzał widok dużej płaszczyny jeziora, pokrytego teraz lodem i śniegiem.

Elżbieta przyglądała się w milczeniu, przypominając różne chwile z lat dzieciennych spędzonych w Templonie pod okiem troskliwej matki. Nagle brzęk dzwonek zwrócił uwagę podróżnych i oznajmił o zbliżaniu się drugiego zaprzęgu, pędzącego z wielkim pośpiechem pomimo górzystej drogi. Sędzia poznał od razu jadących. Powoził człowiek małego wzrostu, w opończy obszytej futrem, głowę trzymał podniesioną do góry i ponaglał konie do biegu, używając ku temu głosu i bicia. Za nim, na przednim siedzeniu, siedział mężczyzna wysokiego wzrostu, niemłody, o żołnierskiej postawie. W głębi, w płaszczu futrzanym i kuniej czapce, nasuniętej na uszy, widać było podróżnego o twarzy okrągłej, oczach żywych i uśmiechniętych; czwarty wreszcie o rysach ściągniętych, w czarnym płaszczu, i poważnym wyrazie twarzy wyglądał na duchownego. Kiedy się sanie spotkały z powozem, siedzący na koźle zawołał do Murzyna:

- Z drogi Adży, na bok, bo nie potrafię wyminąć! Jak się masz, kochany Marmaduku! Jak się masz, Czarnooka! Wyjechaliśmy na wasze spotkanie - mówił Ryszard wesoło - dla pośpiechu kazałem zaprząć czwórkę, ale konie narowiste, ja tylko potrafię dać sobie z nimi radę. Musisz koniecznie sprzedać je, bracie, mam na nie nawet kupca.

- Sprzedawaj co chcesz, Ryszardzie - odpowiedział sędzia dobrodusznym tonem - bylebyś mi moją córkę i grunta zostawił. - Frym, mój stary przyjacielu - dodał zwracając się do podeszłego w latach mężczyzny o żołnierskim wyglądzie - kiedy siedemdziesiąt lat wychodzi na spotkanie czterdziestu pięciu, jest to rzetelny dowód życzliwości! Jakże się pan miewa, panie Le Quoi? Panie Grant, uprzejmość pana mnie rozczuła! Kochani moi, oto moja córka, którą już znacie, a dla niej również nie jesteście obcymi. Czy poznajesz, Elżuniu, majora Hartmana?

- Wszak jesteśmy starymi przyjaciółmi - zaśmiało się dziewczę, gdy tymczasem pan Le Quoi powstał z pewnym trudem z powodu mnóstwa okryć otulających mu nogi i zdjęwszy czapkę, wsparty o ramię Ryszarda, przemówił pół po francusku, pół po angielsku:

- Panie Temple, widok pana cieszy mnie i zachwyca! Panno Elżbieto, najniższy jej sługa.

- Przykryj twą pałkę, Gallu, przykryj pałkę! - zawołał Ryszard Jones. - Inaczej stracisz resztę włosów, na zbytek których nie masz potrzeby się użalać. Gdyby ich Absalon nie posiadał w większej ilości, żyłby może po dziś dzień!

Żarty Ryszarda zawsze prawie wzbudzały wesołość, jeśli jednak nie śmieli się słuchacze, on sam wybuchał głośnym śmiechem. Pastor Grant skromnie powinszował Templowi i córce ich szczęśliwego przybycia, a Ryszard starał się zrećnie zawrócić konie, ale droga była tak wąska, że trudno było wyminąć na miejscu, gdyż tuż obok znajdowały się doły powstałe z powodu

wydobywania kamieni do budowy miasteczka. Adży radził wyprząc dwa przednie konie, Marmaduk także podzielał jego zdanie, ale Ryszard wszelkie uwagi puszczał mimo uszu, dowodząc, że nikt nie potrafi lepiej od niego zażyć koni.

- Pan Le Quoi może to potwierdzić, ponieważ nieraz odbywaliśmy przejażdżki - dodał z przekonaniem.

Grzeczność właściwa Francuzom nie pozwoliła panu Le Quoi zaprzeczyć, jednakże nic nie odpowiedział, wpatrując się z przerażeniem w przepaść odległą zaledwie o dwa kroki. Grant trzymał się oburącz pojazdu, jak gdyby gotów w każdej chwili wyskoczyć, a major uśmiechał się złośliwie z chępliwości Ryszarda, ten zaś za pomocą bicia zmuszał konie do zjechania z gościńca i skierowania się wąską drożyną, wiodącą po zboczu góry, ale za każdym krokiem nogi ich grzęzły w śniegu, a lodowa skorupa łamała się i boleśnie kaleczyła, więc przednie konie cofały się ku dyszlowym i w ten sposób odpychały w tył pojazd do połowy już zawrócony. Dwa koła z lewej strony były na kilka zaledwie cali od przepaści przeszło dwieście stóp głębokiej.

- Strzeż się pan, panie Ryszardzie! Położenie jest groźne - zawołał Francuz.

- Chcesz pan koniecznie złamać powóz i pozabijać konie? - oburzył się major.

- Kochany panie Jones, bądź roztropnym - odezwał się Grant, blednąc ze strachu.

- Dalej, naprzód! - wołał Ryszard, bijąc konie nielitościwie, chciał bowiem co prędzej wybrnąć z położenia, którego całe niebezpieczeństwo jasnym mu się stało. - Panie Le Quoi, uwolnijże mi nogę; jeśli będziesz mnie ciągnął, jakże sobie z tymi wariackimi końmi dam radę? Marmaduk, musisz sprzedać jedną parę, powiadam ci, są zupełnie znarowione!

- O Boże! - krzyknął Temple. - Oni wszyscy zginą!...

Elżbieta również wydała okrzyk przerażenia, a nawet Adży zdawał się mocno zaniepokojony. Tymczasem krnąbrne konie ciągle się cofały i każda sekunda pomnażała grożące podróżnym niebezpieczeństwo.

W tej decydującej chwili młody myśliwy wyskoczył z sani, pobiegł ku koniom i mocno je pociągnął naprzód. Uratowało to od wpadnięcia w przepaść, jednakże konie ciągle się wspinały i jeden rzucił się nagle na lewo, wobec czego tylne i przednie koło zapadły tak głęboko, że równowaga została naruszona i wszyscy czterej podróżni wpadli w śnieg. Major i Grant odrzuceni byli niezbyt daleko, Ryszard zatoczył wielki łuk w powietrzu i upadł o piętnaście blisko stóp na drogę, trzymając wciąż wodze w zaciśniętej kurczowo dłoni, tym sposobem ciało jego stanowiło jakby kotwicę utrzymującą konie. Francuz, gotujący się do skoku właśnie wtedy, gdy się pojazd wywracał, głowę pogrążył w śniegu. Żaden z tych panów nie doznał poważnego obrażenia, a major Hartman, który zachował najwięcej zimnej krwi, pierwszy podniósł się na nogi i zawołał:

- A to ci wspaniała jazda! Panie Ryszardzie, masz osobliwy sposób wyładowywania

wiezionego towaru!

Jones z dobrą miną otrząsnął się ze śniegu i odrzekł z niezmaconym spokojem:

- Cóż chcecie? Wywinęliśmy się gładko! Z innym woźnicą moglibyście, jak nic, znaleźć się na dnie przepaści! Uważałeś, kochany Marmaduku, jak zręcznie i w porę śmignąłem ostatni raz biczem? A co za przytomność umysłu miałem zatrzymując lejce w ręku!

- Twoje śmignięcie biczem, twoja przytomność umysłu!... - odrzekł sędzia drwiąco - powiedz raczej, że bez pomocy tego dzielnego młodziana ani ty, ani nasi przyjaciele nie bylibyście już na świecie! Ale gdzież jest Le Quoi?

- Najmilszy panie sędzio! Ryszardzie! Panie Grant! Adży! Przyjdźcie mi z pomocą, bo nie mogę wygramolić się ze śniegu - wołał przytłumiony głos.

Okazało się, że Francuz ugrzązł w miejscu, gdzie wiatr nawiał śniegu na jakie sześć stóp co najmniej. Grant i major pośpieszyli na ratunek i wydobyli pana Le Quoi, który wnet odzyskał humor. Dostrzegłszy Ryszarda, pomagającego Adżemu w odprężeniu dwóch siwoszów, uznał bowiem, choć zbyt późno, konieczną tego potrzebę, Le Quoi zapytał złośliwie.

- Cóż jeszcze wymyśliłeś, panie Ryszardzie? Czy masz zamiar dokonać nowej próby?

- Przede wszystkim niech nauczy się powozić - wtrącił sędzia zajęty wyrzucaniem na śnieg paczek, których pełno było dokoła. - Siadajcie panowie z nami, znajdzie się miejsce dla wszystkich, będę waszym woźnicą, a Ryszard i Adży zajmą się podniesieniem sani, po czym zabiorą rzeczy. Adży, pilnuj mojego daniela - dodał zwracając się do Murzyna, podkreśliwszy wyraz "mojego", zarazem mrugnięciem nakazując dyskrecję - a ja z mojej strony będę pamiętał o tobie.

Murzyn zrozumiał, że sędziemu chodzi o zachowanie tajemnicy i opinii dobrego myśliwego.

Ryszard mruczał pod nosem:

- Nauczyć się powozić, powiadasz, a któż to lepiej ode mnie potrafi? Kto ujeździł twoją kasztankę, której nikt dosiąść się nie odważył? Wprawdzie twój stangret utrzymywał, iż przede mną jeszcze jej dosiadał, ale wszyscy wiedzą, że to jest wierutne kłamstwo!

Podróżni ulokowali się w wielkich saniach sędziego i wyruszyli ku domowi. Ryszard, pozostawszy z Murzynem na drodze, jał przyglądać się rozciągniętemu na śniegu danielowi i wypytywać, czy istotnie Temple własnoręcznie go zabił. Adży utrzymywał, że tak było niewątpliwie, chociaż miał wielką ochotę do śmiechu.

- Pamiętasz, jakem położył trupem daniela zeszłej zimy? - przechwalał się Ryszard.

- Doskonale sobie przypominam - odrzekł Murzyn. Natty Bumpo wystrzelił jednocześnie i wielu utrzymywało, że to on zabił rogacza.

- Kłamstwo, wierutne kłamstwo, czarny diabełku! - zawołał Ryszard z oburzeniem. - Jakże świat jest zawistny! Nie będę się też dziwił - dodał po chwili - jeżeli ten młodzik będzie się przechwalał, że nam wszystkim uratował życie! Rzucił się, jak szalony, przed moje konie, a gdyby pozostał spokojnie na miejscu, w pół minuty zawróciłbym bez żadnego wypadku. Nic tak nie kaleczy pyska końskiego, jak ciągnięcie naprzód za cugle! Kto to jest ten młodzieniec, Adży? Nie przypominam sobie, abym go widział kiedykolwiek.

Murzyn rzekł, że podróżni spotkawszy na stromej górze idącego pieszo młodziana prosili, aby jechał z nimi. Ponieważ było to we zwyczaju podczas złej pogody, Ryszard zadowolił się na razie tym wyjaśnieniem. Po chwili znów krążył wokoło tego samego tematu.

- Wygląda na uczciwego chłopca - mówił - i gdyby go nie zepsuto pochwałami, miałbym dla niego pewne względy, ponieważ w gruncie rzeczy żywił dobre zamiary. Ale co on robił właściwie, czy miał jakie rzeczy z sobą? Może jest wędrownym kramarzem?

Murzyn zakłopotany podnosił i spuszczał oczy, nie dając żadnej odpowiedzi.

- Gadaj zaraz, czarny, czy miał tobolek na plecach? Kij w rękę?

- Nie - panie, miał tylko fuzję.

- Fuzję? - podchwycił Ryszard, a dostrzegłszy zmieszanie na twarzy Murzyna, zawołał: - Założyłbym się, że to nie Marmaduk, a ten młodzik zabił daniela! Zgadłem od razu. Powiedz śmiało, czy sędzia kupił od strzelca tę zwierzynę?

Murzyn chcąc zachować dla Temple część zaszczytu i niezupełnie skłamać, odrzekł wymijająco:

- Wszak pan sam zauważył przed chwilą, że daniel zabity został dwoma strzałami.

Ryszard się nasrożył i klasnąwszy batem, krzyknął:

- Nie kłam, Murzynie, oto tym batem prawdę z ciebie wydobędę!

Adży padł na kolana i powiedziawszy w krótkich słowach co widział w lesie, prosił, aby Jones raczył go zasłonić swą opieką od sędziowskiego gniewu.

- Nie bój się, włos ci z głowy nie spadnie - odpowiedział Ryszard, zacierając ręce. - Nie zdradź, że wiem o wszystkim, zostaw mi przyjemność naśmiania się z Marmaduka. Jakże się ubawię! Musimy pośpieszyć, będę pomagał doktorowi wydobywać kulę.

Pomknęli klusem do miasteczka. Ryszard był w świetnym humorze, zachęcał Murzyna, aby zaciął konie, a jednocześnie czynił uwagi:

- Więc to ten młody strzelec i stary Bumpo polowali na daniela, a brat Marmaduk zdobył się tylko na wpakowanie kuli w rękę człowieka ukrytego za sosną! Przewyborna historia!

Nie opodal domu sędziego, wziął cugle z rąk Murzyna i wjechał triumfalnie w długą aleję, zauważył bowiem, że dużo ciekawych zebrało się, aby powitać sędziego powracającego z córką z

dalekiej podróży.

Na ganku oczekiwała ich służba. Na pierwszym planie ochmistrz, mający twarz niezmiernie długą, nos płaski, jak u małpy, usta od ucha do ucha, włosy związane w harcap, spodnie i kamizelkę z czerwonego pluszu, na guzach przy brązowym fraku wryte były kotwice. Był to Benjamin Pengillan, rodem z Anglii; w młodości służył na okręcie i lubił opowiadać o swych nadzwyczajnych przygodach, chociaż nie miał ich zbyt wiele. Ponieważ często wspominał o trudach poniesionych niegdyś przy pompach okrętowych dla zapobieżenia zatonięciu, przewano go Ben Pompo.

Drugim typem oryginalnym w swoim rodzaju była ochmistrzyni ubrana w białą suknię, odbijającą jaskrawo przy tabaczkowej cerze i szafranowych zębach. Miała nos i brodę spiczaste, czoło płaskie, zażywała co chwila tabaki. Marmaduk Temple powierzył jej rządy domu po śmierci żony, nie znała więc Elzuni i spoglądała na nią nieufnie.

W chwili przybycia podróżnych dało się słyszeć straszliwe ujadanie psów, które Jones sam począł przedrzeźniać wrzaskliwie, czyniąc jeszcze większe zamieszanie. Jeden tylko olbrzymi pies mający miedzianą obrozę z literami swego pana zachowywał milczenie, ale nie odstępował na krok sędziego, a pogłaskany przez niego, wymownie kręcił ogonem. Elzunia przywitała go, nazywając dzielnym staruszkiem.

Podróżni weszli do wielkiej sali, w której paliły się świece w ciężkich miedzianych lichtarzach. Ciepło było w całym mieszkaniu; wielki piec żelazny, do czerwoności rozpalony, stał w środku sali, a na wierzchu naczynie z wodą służyło do odświeżenia zbyt suchego powietrza.

Meble były częściowo sprowadzone z New Yorku, a po części sporządzone w Templonie. W kącie stał staroświecki zegar z miedzianym cyferblatem, w szafce z orzechowego drzewa. Ogromna sofa przykryta materią indyjską zajmowała całą długość ściany; wielki kredens, wysadzany kością słoniową, pełen był srebrnych naczyń.

Ryszard wszedłszy ostatni do salonu, pierwszy przerwał milczenie:

- Cóż to Beniaminie? Cóż to Pompo? Także przyjmujecie dziedziczkę? - zawołał groźnie. - Dalejże, zapalać światło, żebyśmy przecież mogli widzieć się nawzajem. Wybacz - dodał, zwracając się do Elzuni - ale za chwilę wszystko będzie w porządku. Kochany Marmaduku, przywiozłem twego daniela, co z nim zrobimy?

Elzunia i sędzia zachowywali milczenie, obojgu bowiem przypomniawszy się poniesiona przez nich strata, jakby cień zmarłej stanął nagle pomiędzy nimi. Słudzy tymczasem u zwierciadeł i pajaków zapalili świece i wnet zrobiło się jasno. Elzunia zrzuciła osłaniający ją płaszcz, czarny kapturek i szale. Ochmistrzyni dopomagała jej w tym, przyglądając się zarazem ciekawie młodziutkiej osobce, która miała jej odebrać rządy w domu. Długie splety kruczycich włosów

widniały nad czołem Elżuni, nosek miała foremny, usta ślicznie wykrojone, figurę zgrabną, oczy pełne ognia. Amazonka z niebieskiego sukna dodawała jeszcze wdzięku uroczej dziewczeczce. Rzuciwszy okiem dokoła, dostrzegła stojącego w pobliżu wejścia młodego strzelca o szlachetnych rysach twarzy. Włosy jego ciemne i lśniące nie ustępowały w barwie splotom Elżuni. W rękę trzymał czapkę, opierając się z lekka na małym szpincie wysadzonym kością słoniową. Nie okazywał ani zbytecznej bojaźliwości, ani zuchwałej swobody ludzi nieobytych z towarzystwem.

- Ojcie drogi - zawołała Elżunia - nie zapominajmy o naszym gościu, któremu przyrzekliśmy udzielić pomocy.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę młodego strzelca, jakby czekając wyjaśnienia.

- Moja rana jest drobnostką, przypuszczam, że chirurg nie będzie miał wiele do roboty - rzekł młodzieniec.

- Nie zapomniałem wcale o długu zaciągniętym wobec pana - zawołał sędzia.

- A więc jesteś coś winien, kochany Marmaduku? Bez wątpienia za daniela, którego zabiłeś - rzucił drwiąco Ryszard, zacierając ręce.

- Sądzę też, że rana nie jest niebezpieczna, ponieważ włada pan ręką z łatwością - rzekł sędzia, zwracając się do młodego strzelca i puszczając mimo uszu uwagę krewniaka.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - wtrącił znowu Ryszard - ja co innego! Jestem wnukiem lekarza, mam powołanie do medycyny. Są cnoty i talenty dziedziczne.

Beniamin skorzystał z okazji, aby rozpocząć jakąś historię o lekarzu okrętowym, ale Elżunia przerwała mu, polecając przygotować pokój, w którym będzie można opatrzyć rannego.

- Sam się tym zajmę - rzucił Ryszard z pośpiechem - proszę za mną, zobaczę czy głęboko uwięzła kula.

- Zaczekam do przybycia chirurga - rzekł zimno strzelec. - Sądzę, że nie będziemy długo czekali, więc uniknie pan próżnego zachodu.

Ryszard zmierzył nieznanego zdumionym spojrzeniem, a poczytując odmowę za krok nieprzyjazny, odwrócił się, włożywszy ręce do kieszeni. Po chwili podszedł do Granta i nachylając się do jego ucha, szepnął:

- Zobaczycie, że rozpuszczą wieść po okolicy, iż ów chłystek uratował nam życie, że bez jego wtrącania się do nie swoich rzeczy wszyscy byśmy karki połamali! Jak gdybym powozić nie umiał! Należało tylko silnie skręcić na lewo i zaciąć porządnie biczem po bokach z prawej strony.

Przybycie doktora przerwało dalsze wywody upartego zwolennika własnej jazdy i powożenia.

Rozdział III - Wyjęcie kuli z ramienia Oliwiera

Doktor Elnatan Todd uchodził w Templtonie za człowieka obdarzonego niezwykleymi zdolnościami. Wzrostu wysokiego, niezmiernie szczupły, głowę miał małą, twarz marszczącą się co chwila. Nie posiadając żadnej wiedzy, odważał się nawet na ryzykowne operacje, a ponieważ miał, jak to mówią, szczęśliwą rękę, dokonywał różnych pomyślnych doświadczeń na pacjentach i coraz większą cieszył się wziętością.

Wszedł do salonu uzbrojony w dwa futerały, zawierające chirurgiczne narzędzia, gdyż uprzedzono go, iż będzie miał do czynienia z raną od broni palnej. W pierwszej chwili spojrzenie doktora Todda spoczęło na kształtnej postaci Elżuni, której amazonka szamerowana złotymi sznurami obudziła w nim przypuszczenie, że będzie miał do czynienia z rannym oficerem; nie mógł wszakże trwać długo w błędzie, spoglądał więc na przemian to na Temple, który się ku niemu zbliżał z głębi sali, to na Jonesa, przechadzającego się wielkimi krokami z widocznym niezadowoleniem, że strzelec jakby nie dowierza jego wrodzonym zdolnościom do medycyny. Następnie doktor przeniósł wzrok na majora Hartmana, zapalającego fajkę osadzoną na długim cybuchu, na Granta przeglądającego uważnie jakiś rękopis, na ochmistrzynię, która ze skrzyżowanymi rękoma podziwiała modny ubiór swej młodej pani z nieco zazdrosnym wyrazem.

Żadna z obecnych osób nie wyglądała na chorą i potrzebującą pomocy chirurga, który przedtem był w strachu, że wypadnie dokonać operacji na kimkolwiek z domowników lub dobrych przyjaciół sędziego. Uspokoił się znacznie, gdy Temple, zbliżywszy się ku niemu, rzekł, biorąc go za rękę:

- W porę przybywasz, kochany doktorze, oto jest młodzieniec, którego miałem nieszczęście zranić, strzelając do daniela.

Oczy Todda podążyły we wskazanym kierunku. Strzelec zrzucił wierzchnie okrycie, pod którym miał odzież z grubego sukna i zamierzał właśnie oswobodzić ramię z rękawa, lecz spojrzawszy na Elżunię, zarumienił się i rzekł, zwracając się do doktora:

- Widok krwi może zatrwożyć miss Temple, lepiej będzie dokonać opatrunku na osobności.

- Dobre oświetlenie w tym miejscu byłoby bardzo dogodnie do operacji - odrzekł doktor Todd, który odzyskał pewność siebie widząc, że ma do czynienia z człowiekiem o skromnym wyglądzie i zupełnie w miasteczku nie znanym.

Elżunia, usłyszawszy uwagę młodego strzelca splonęła rumieńcem i skinąwszy na Murzynkę, mającą jej służyć za pokojówkę, wyszła z salonu. Wówczas lekarz zabrał się do oględzin rannego, Beniamin przyniósł mu stare płótno, z którego pociął bandażę, a Ryszard zbliżył się ofiarując swą pomoc. Todd, podając mu kawałek płótna, rzekł z przesadną uprzejmością:

- Pan, który nie jesteś nowicjuszem w operacjach chirurgicznych, zechcesz mi naskubać szarpia. Tylko proszę brać wyłącznie nitki lniane, a włókna bawełny odrzucać, gdyż mogłyby zatruć ranę.

- Wiem o tym, doktorze - odrzekł Ryszard - rzuciwszy na Marmaduka spojrzenie mówiące wyraźnie: "Widzisz, że się chirurg bez mnie nie może obejść".

Podsunięto stół doktorowi, który rozkładał jedno po drugim flaszki zawierające różnobarwne płyny oraz piłki, lancety, sondy etc., po czym wycierał je starannie czerwoną jedwabną chustką, zwracając niekiedy wzrok na widzów, jakby chcąc zbadać jakie te przygotowania sprawiają na nich wrażenie.

- Słowo daję - zauważył Hartman - masz pan piękny arsenał instrumentów, a lekarstwa owe zapewne przyjemniejsze są dla oka niż dla gęby!

- Słusznie, panie majorze, bardzo słusznie - odrzekł Todd, z miną człowieka znającego się na rzeczy. - Roztropny lekarz zawsze stara się, aby jego lekarstwa przyjemnie wpadały w oko, chociaż często się trafia, że ich smak przykry jest dla podniebienia. Ważne jest umieć nakłonić pacjenta do czynienia tego, czego zdrowie wymaga, chociażby leki wzbudzały w nim wstręt.

- Moi panowie - zawołał sędzia zniecierpliwiony - czas już przystąpić do roboty, bo czytam z oczu naszego rannego, że nic go tak nie nuży, jak oczekiwanie!

Młody nieznajomy bez niczyjej pomocy obnażył ramię, na którym widać było ranę od kuli. Silne zimno widocznie zatamowało krew, chirurg śmiało zabrał się do sondowania rany, ale młodzieniec odtrącił jego rękę pogardliwym ruchem i rzekł:

- Można się obejść bez sondowania, panie doktorze, kula przeszła ciało, nie dotknąwszy kości, czuję ją tu pod skórą - dodał, wskazując palcem - i łatwo panu będzie ją wydobyć.

Doktor zwrócił się do Ryszarda, a biorąc przygotowane przez niego szarpie, począł zachwycać się, iż są tak doskonale skubane. Ryszard ogromnie był dumny z pochwały, zapewniał, że jego dziad i ojciec słynęli ze swych chirurgicznych zdolności i że on, Ryszard posiada dar ten we krwi.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - wtrącił Benjamin, mieszając się do rozmowy - sam widziałem dzieci flisów wążące na wierzchołek wysokiego masztu, zanim się nauczyły chodzić.

- Nieraz też pewno widział Benjamin wyjmowanie kuli, będąc jeszcze na okręcie, niech więc trzyma miednicę, ponieważ widoku krwi się nie lęka.

- O tak, byłem obecny przy wydobywaniu kuli dwunastofuntowej z boku kapitana okrętu "Piorun".

- Co? Kula dwunastofuntowa - zdziwił się Grant, opuszczając rękopis na kolana i podnosząc okulary na czoło.

- Widziałem na własne oczy - zapewnił Beniamin. - Można by wydobyć i dwudziestoczerofuntową, byleby chirurg zręcznie wziął się do rzeczy. Panie doktorze - dodał - czyż nie zdarzają się jeszcze bardziej zadziwiające wypadki?

Doktor Todd przeciął w tej chwili skórę pacjenta i ujął w dwa palce szczypce ze stolika, a jednocześnie przy poruszeniu się młodego strzelca, kula wypadła na ziemię. Todd pochwycił ją jedną ręką, a drugą - uzbrojoną w szczypce - zręcznie wykonał manewr, aby widzowie przypuszczali, iż doktor sam wydobył ją z ramienia.

- Znakomicie - zawołał Ryszard - nigdy nie widziałem jeszcze tak szybko i zręcznie dokonanej operacji! Sądzę, że i Beniamin to potwierdzi?

- Tak jest, istotnie - odrzekł Beniamin - a teraz, mówiąc żeglarskim stylem, pozostaje tylko zatkać dziurę i okręt może, rozwiniąwszy żagle, puścić się na pełne morze!

Doktor zbliżył się, chcąc włożyć szarpie w ranę, ale pacjent odsunął go z lekka i rzekł, patrząc w stronę otwartych drzwi:

- Dziękuję panu za poniesione trudy, ale oto jest ktoś, kto oszczędzi panu fatygi.

Wszyscy zwrócili oczy ku drzwiom. W progu stał Mohikanin, znany ogólnie pod imieniem Johna Indianina.

Rozdział IV - Wielki Wąż i Młody Orzeł

Zanim Europejczycy zawładnęli tą przestrzenią kraju, która stanowi Nową Anglię oraz Stany Ameryki w głąb, na zachód od gór wysunięte, zamieszkiwały dwa wielkie indiańskie plemiona. Każde z nich miało odrębny język, prowadziły wojnę pomiędzy sobą, aż wreszcie biali większą część ich pokoleń przywiedli do podległości. Jedno z tych plemion stanowili Irokezi, drugie zwano Delawarami, ponieważ obrady swe odbywali przeważnie nad rzeką Delawarą. Do tych ostatnich należeli Mohikanie, osiedleni pomiędzy rzeką Hudson i Oceanem. Te dwa pokolenia były pierwszymi, które Europejczycy wyzuli z ich posiadłości. Mohikanie zniknęli powoli, szukając w innych stronach schronienia, zaledwie kilkanaście rodzin pozostało i te pracowały spokojnie na ojczystym zagonie, zaprzestawszy wszelkich wojen. Irokezi przezwali ich z tego powodu "zniewieściami". Taki stan rzeczy przetrwał aż do początku wojny o niepodległość Ameryki. W tej epoce wielu Mohikanów połączyło się z Delawarami, którzy ogłosili się niepodległymi i wybrawszy najdzielniejszych wojowników od czasu do czasu zaczęli robić wyprawy przeciwko dawnym swoim nieprzyjaciółom, a niekiedy nawet staczali boje z Europejczykami.

Pomiędzy Mohikanami jedna zwłaszcza rodzina wyróżniała się bohaterską odwagą i niezrównaną dzielnością, zyskując sławę i uznanie wśród współbraci. Z tego doszczętnie wygasłego już rodu pochodził Indianin, zwany Johnem, który wszedł właśnie do mieszkania sędziego Templę. Indianin ów długi czas przebywał z białymi, przyjął ich wiarę i obyczaje, srodze wszakże ucierpiał podczas wojny, pochwycony bowiem ze swym oddziałem przez nieprzyjaciół, musiał być świadkiem jak całą jego rodzinę wymordowano. Kiedy niedobitki plemienia dotarły do brzegów Delawary, w nadziei zapuszczenia się w głąb kraju, John nie chciał podążyć za nimi. Pragnął, aby jego zwłoki pokryła ta sama ziemia, pod którą przodkowie jego spoczywali i gdzie on sam przez czas pewien sprawował władzę.

Jednakże dopiero od kilku miesięcy ukazał się John w górach znajdujących się w pobliżu Templtonu. Często odwiedzał ubogą chatkę Nattiego, z którym łączyła go wielka zażyłość, zamieszkali nawet razem, co nikogo nie dziwiło, Natty bowiem w swych zamiłowaniach dużo miał wspólnego z dzikimi.

Dawny naczelny wódz Mohikanów, mówiąc o sobie zwał się Czyngaszgukiem, co oznaczało w jego języku "Wielki Wąż". Imię to otrzymał w młodości za swoje męstwo i roztropność. Ubiór jego był na wpół narodowy, na pół europejski. Nie zważając na zimno, głowę pokrytą bujnym włosiem miał odkrytą, szlachetne czoło, nos rzymski, usta kształtne, zęby zdrowe i białe, pomimo że liczył już lat siedemdziesiąt. Oczy jego, niezbyt duże, błyszczały jak gwiazdy.

Zbliżył się do młodego strzelca i nie przemówiwszy ani słowa, utkwił wzrok w ranie, po czym spojrzął na sędziego znacząco, jakby z wyrzutem.

Temple podał mu rękę i przywitał uprzejmie, mówiąc:

- Ten młodzieniec zdaje się ma wysokie mniemanie o twych zdolnościach leczniczych, przedkładając je nad zabiegi doktora.

Mohikanin odpowiedział w języku angielskim zupełnie poprawnie, ale tonem cichym, monotonnym i gardłowym:

- Dzieci Mikona (Wilhelma Penna) nie lubią widoku krwi, a przecież Młody Orzeł ugodzony został ręką, która od przyczynienia mu najmniejszej krzywdy powstrzymać by się powinna!

- Johnie! - zawołał sędzia z przerażeniem. - Czyż sądzisz, że moja ręka kiedykolwiek dobrowolnie wytoczyła ludzką krew? Wstydz się, stary, powinieneś mieć lepsze przekonanie o twoich bliźnich!

Mówiąc to sędzia zwrócił swą szczerą i otwartą twarz ku rannemu, jakby czekając potwierdzenia.

- Nieczysta siła nieraz do najlepszego serca się wkrada - odrzekł Indianin nie spuszczać oczu z twarzy Temple, - ale brat mój prawdę mówi, ręka jego nikogo nie pozbawiła życia, nawet wtenczas, kiedy synowie potężnej Anglii zrumienili wody naszych rzek krwią jego ludu.

- Zapewne pamiętasz Johnie te wielkie słowa: "Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni". Jakież mógłby mieć powód sędzia Temple zranienia nieznanego sobie młodzieńca? - zapytał Grant.

Indianin nie przestawał wpatrywać się w twarz sędziego, aż wreszcie rzekł, wyciągając rękę ku niemu:

- Nie winien jest, brat mój nie miał złych zamysłów.

Przez ten czas ranny przyglądał się mówiącym ze wzgardliwym nieco uśmiechem; wreszcie Indianin zabrał się do opatrzenia rany, a doktor uprzejmie ustąpił mu swego miejsca, mówiąc półgłosem do Le Quoi:

- Szczęście, że się kulę wyjęło przed przybyciem tego starca; teraz lada baba potrafi dać radę! Widocznie ten strzelec mieszka razem z Bumpo i Johnem, więc jemu więcej niż innym ufa.

Ryszard, który miał wiele uznania dla leczniczych wiadomości Indianina, chciał koniecznie asystować przy opatunku i rzekł przyjacielskim tonem:

- Pozwolisz, Johnie, że ci pomogę, wiesz jaką mam lekką rękę w takich wypadkach. Pamiętasz jakśmy nastawili Nattiemu zwichnięty palec u lewej ręki, który wywichnął ześlizgnąwszy się ze skały, szukając spadłego tam bażanta. Nigdy nie mogłem dowiedzieć się, czy to Natty, czy też ja go zastrzeliłem?

Indianin, nie odrzekłszy ani słowa, podał Ryszardowi koszyk z lekami do trzymania, co pozwoliło następnie chełpliwemu Jonesowi przechwalać się, że kulę wydobywał z doktorem Toddem, a ranę opatrywał z Johnem. Niedługo to trwało, gdyż Mohikanin poprzestał na przyłożeniu do rany kory utłuczonej z sokiem jakichś roślin uzbieranych w lesie. W chwili, gdy bandażował ramię, Ryszard oddał doktorowi koszyk z ziołami Johna, a sam mu niby pomagał, trzymając koniec bandaża. Doktor nie omieszkął skorzystać z okazji zbadania wnętrza koszyka i nieznacznie wyciągnął trochę kory i ziół, ukrywając je w kieszeni. Sędzia zauważył ten manewr, doktor więc szepnął mu na ucho:

- Indianie znają niewątpliwie skuteczne leki na niektóre choroby, na przykład na raka, i 2opuchliwą wodną. Wziąłem próbki dla zbadania właściwości tych roślin.

Dzięki owemu wydarzeniu, doktor Todd otrzymał później stopień starszego chirurga w milicyjnej brygadzie. Zastosowawszy skutecznie zioła użyte przez Indianina, gdy chodziło o zagojenie rany pewnego oficera postrzelonego w pojedynku.

Młody strzelec wydawał się bardzo zadowolony, gdy mógł wreszcie ubrać się i przestano się nim zajmować.

- Nie będę nadużywał dłużej uprzejmości państwa - rzekł do sędziego - pozostaje jeszcze, załatwienie jednej sprawy, mianowicie rozstrzygnięcie do kogo należy daniel?

- Zrzekam się wszelkich pretensji - szepnął Temple - ale jeszcze mam z panem do pomówienia. Zechce pan odwiedzić nas jutro z rana. Elżuniu - dodał zwracając się do córki, która weszła właśnie - każ, dziecko, dać jakiś posiłek gościowi; Adży niech przygotuje powóz, dla odwiezienia go, dokąd będzie sobie życzył. Beniaminie, każ włożyć do sanek całego daniela. Ostatnie słowa wymówił z pewnym smutkiem w głosie. Więc do jutra, panie...

- Nazywam się Oliwier Edwards. Mieszkam niedaleko stąd - pośpieszył wyjaśnić strzelec.

- Miło nam będzie zobaczyć się z panem jutro rano - rzekła Elżunia. - Mam nadzieję, że nie odmówi pan przyjęcia dowodów naszego żalu z powodu tego nieszczęśliwego wypadku.

Edwards spojrział na dziewczynę wzrokiem pełnym zachwytu i szepnął spuściwszy oczy.

- Dziękuję, powrócę jutro. Powiódł następnie wzrokiem posępnym po obecnych, skłonił się i wyszedł.

- Musi mu dolegać rana - rzekł Temple po jego odejściu - ale w świetle jutrzejszego poranka ujrzymy go spokojniejszym i przystępniejszym.

- Ja bym, na twoim miejscu, nie odstąpił mu całego daniela - zawołał Ryszard. - Jakim prawem Natty i ów Oliwier polują w twoim lesie? Moim zdaniem należy zredagować obwieszczenie zabraniające stanowczo wszelkich polowań na twojej ziemi.

- Fuzja jest większym nad prawo panem - rzekł major, strząsając popiół z fajki do komina.

- A po cóż by istniały prawa? Ja sam gotów jestem pozwać do sądu tego chłystka, za to, że śmiał wtrącać się do moich koni - zawołał Ryszard poirytowany. - Nie lękam się jego fuzji. Wieleż to razy przesyłem kulą dolara o sto kroków.

- Więcej chybiłeś niż trafiłeś - zaśmiał się Temple - ale oto ochmistrzyni daje znać, że wieczerzę podano. Panie Le Quoi, zechciej pan podać rękę mojej córce.

- Jakżem szczęśliwy - szepnął Francuz, prowadząc Elżunię do jadalni - jakąż pociechą dla wygnańca jest uśmiech uroczego zjawiska.

Wszyscy w dobrym nastroju zasiedli do wieczerzy, a John powędrował za Młodym Orłem do chałupy Nattiego.

Rozdział V - Goście i osadnicy Templtonu. - Nauki pastora Granta. - Młody Orzeł - tłum
w sobie gniew - za doznane krzywdy

Przedstawiwszy czytelnikom główne osoby tego opowiadania, musimy pokrótce wyjaśnić, w jaki sposób ci ludzie znaleźli się razem, chociaż z różnych pochodzili krajów. Były to właśnie czasy rewolucji francuskiej, gdy Ludwik XVI został stracony, a tysiące Francuzów musiało szukać schronienia wśród obcych. Pan Le Quoi był z liczby tych, którzy dostali się aż za ocean. Polecił go sędziemu Temple właściciel domu handlowego w New Yorku, z którym był w zażyłych stosunkach. Sędzia od pierwszej chwili poznania ocenił przybysza jako człowieka bardzo dobrych manier, który widocznie, otrzymał staranne wychowanie. Le Quoi ocalił trochę ze swej fortuny i pragnął uruchomić jakieś korzystne przedsiębiorstwo. Temple doradził mu zakupić herbaty, tabaki, fajansu oraz galanterii i otworzyć sklep w Templtonie. Okazało się, że pomysł ten był doskonały; emigrant z wielkim powodzeniem sam stanął za ladą i swą uprzejmością tak liczną zjednał sobie klientelę wśród osadników, że w krótkim czasie osiągnął bardzo poważne zyski.

Major Fryderyk Hartman był potomkiem rodziny, która wyemigrowała z Niemiec; posiadał on wszystkie wady i zalety swych rodaków. Gniewny, milczący, uparty nie ufał cudzoziemcom. Mężny i śmiały umiał dochować przyjaźni, zażyłość jego z sędzią trwała już długie lata, był to jedyny człowiek, który nie umiejąc po niemiecku, pozyskał jego zaufanie. Cztery razy do roku odwiedzał Temple, opuszczając swoją siedzibę położoną od Templtonu o trzydzieści mil, bawił zazwyczaj tydzień; właśnie przybył na godzinę zaledwie przed powrotem sędziego i od razu porwany został przez Ryszarda, aby jechać na spotkanie Marmaduka i jego córki.

Grant był od niedawna mieszkańcem miasteczka, w którym miał pełnić urząd pastora.

Wchodząc do jadalni, sędzia zwrócił uwagę, że na kominku płonie jaworowe drzewo. Zachmurzył się na ten widok i rzekł do Ryszarda:

- Nie przystoi właścicielowi lasów dawać zły przykład mieszkańcom, którzy i tak są pochopni w niszczeniu drzew, jak gdyby to był skarb niewyczerpany. Muszę koniecznie zarządzić poszukiwania węgla kamiennego w okolicznych górach - dodał po chwili.

- Węgla? - powtórzył Ryszard, a któż, u licha, zechce się bawić wygrzebywaniem go z ziemi? Przecież zanim się miarkę wydobędzie można zbierać tyle gałęzi i korzeni, że na rok starczy. Przestań utyskiwać na marnotrawstwo, kochany Marmaduku, to ja właśnie kazałem rozniecić ognisko dla rozgrzania twojej Elzuni.

- To cię po części tłumaczy - zaśmiał się sędzia, zachęcając wszystkich do zajęcia miejsc przy stole.

Ryszard wziął się z zapalem do krajania indyka, a Elzunia spoglądała z podziwem na obfitą

zastawę.

- Nasza ochmistrzyni przeszła sama siebie - zauważył sędzia - liczyła snąć na to, że zimno doda nam apetytu.

- Szczęśliwa jestem, że pan wydaje się być zadowolony - odrzekła Petibona - sądziłam, że należy wystąpić jak najświetniej na przyjęcie Elżuni.

Sędzia zmarszczył brwi i rzekł tonem surowym:

- Moja córka jest panią domu, więc wszyscy domownicy powinni nazywać ją "miss Temple".

- Widziane to rzeczy, żeby do młodzieńczego dziewczątka nie mówić po imieniu - szepnęła ochmistrzyni, stropiona otrzymanym napomnieniem.

Stół uginał się od półmisków z jadłem. Był tam jeden indyk pieczony, drugi gotowany, grzbiet niedźwiedzi, baranina, frykasy z szarych wiewiórek i ze zwierzyny. Ogromna moc ciast ustawionych w piramidy, sosów do mięsa, wódek, araku, win, piwa, jabłecznika itp. Zaledwie gdzieś widać było pod tym stosem przedziwnych smakołyków obrus śnieżnej białości.

Mężczyźni nie kazali się prosić i zmiatali szybko smaczne kąski.

Temple miał wciąż na myśli młodego strzelca i zadawał sobie pytanie kim jest ów Edwards, którego zachowanie jest zupełnie odmienne od innych mieszkańców lasów.

Le Quoi twierdził również, że nieznajomy wygląda na kogoś lepszego, mówi przy tym poprawnie po angielsku.

Ryszard zaśmiał się, słysząc tę uwagę Francuza i rzekł:

- Tobie to, Gallu, o tym sądzić! W każdym razie zasłużył na postawienie go pod pręgierz za owo natrętne wtrącanie się do nie swoich rzeczy, chcąc niby ratować nas od wypadku. Nie ma wyobrażenia o tym, co to jest koń! Założyłbym się, że tylko woły potrafi poganiać!

- niesprawiedliwie go sądzisz, - odrzekł sędzia - okazał bowiem dużo zimnej krwi i odwagi, na którą by się nie każdy zdobył. Nieprawdaż Elżuniu?

To nagłe pytanie wywołało rumieniec na twarzy dziewczęcia.

- Tak, bez wątpienia - odpowiedziała - sposób bycia tego pana zdradza dobre wychowanie.

- Czy to na pensji nauczono was, tak łatwo oceniać ludzi i sądzić o ich sposobie bycia? - zapytał szyderczo Ryszard.

- Z postępowania mężczyzny z kobietami można wnioskować o tym - odrzekła Elżunia, dotknięta widocznie uwagą krewnego - ten młodzian umie zachować względy przyzwoitości i uszanowania.

- Pozyskał uznanie młodej osóbkii, nie chcąc w jej obecności pokazać doktorowi zranionej ręki - powiedział Ryszard z uśmiechem. - Niech i tak będzie. Oddaję mu sprawiedliwość, że jest

dobrym strzelcem, ponieważ on to, a nie kto inny położył trupem daniela, kochany Marmaduku.

- Ten zacny młodzieniec uratował nam życie, to nie ulega wątpliwości. Dopóki będę miał dach nad głową, zawsze gotów jestem wziąć go pod swoją opiekę.

- Weź go, weź, zaręczam, że nie miał nigdy lepszego schronienia, niż będę w rodzaju chatki Bumpa, więc twój murowany dom pałacem mu się wyda.

- Moja to rzecz, majorze, zająć się jego losem - odparł sędzia. - Bezwzględnie za ocalenie życia moim przyjaciołom, zaciągnąłem dług wielki względem niego. Ale obawiam się, że nie zechce przyjąć gościny, ani pomocy.

- Zapytaj, ojczy, Beniamina, czy nie mógłby udzielić o tym nieznanym jakich wiadomości, on zazwyczaj wie o wszystkim co się dzieje dokoła - wtrąciła Elżunia, rumieniąc się znowu i spuszczając oczy.

- Bez wątpienia - rzekł Beniamin - zadowolony wielce ze sposobności wmieszania się do rozmowy - zawsze ów młodzik żegluje na jednej z łodzi z Natty Bumpo, to jest chodzi z nim na polowania w góry. Nikt lepiej od niego nie umie celować, tak mi mówił Bumpo. Jeżeli to prawda, że nigdy nie chybi, chciałbym aby się spotkał z panterą, której wycie słyszano w lesie od strony jeziora.

- Czy zamieszkał u Bumpa? - zapytał sędzia z pewnym zainteresowaniem.

- Tak, są zawsze razem. Od trzech tygodni przebywa w tych stronach. Zabili wspólnie wilka. Natty przyniósł głowę i skórę dla otrzymania nagrody przyrzeczonej za tępienie szkodliwych zwierząt. Nikt z pewnością od niego nie zdejmuje skóry z głowy wilka; nic w tym dziwnego, jeśli, jak powiadają, skalpował też ludzi, a w takim razie - dodał Beniamin - zasługiwałby na surową karę.

- Nie należy dawać wiary niedorzecznym pogłoskom - rzekł sędzia Temple - istnieje prawo zarabiania na życie w tych górach polowaniem na zwierzyne, więc gdyby kto powążył się Nattiemu wyrządzić krzywdę, miałby z prawem do czynienia.

- Fuzja to lepszy opiekun niż prawo - rzucił major.

- Co się tyczy fuzji, lepiej od niego potrafię się z nią obejść - począł przechwalać się Ryszard, ale musiał przerwać, ponieważ wszyscy powstali od stołu i zamierzali udać się do domu modlitwy, gdzie Grant miał przemawiać po raz pierwszy.

Księżyc świecił wspaniale, oblewając potokami światła lasy sosnowe, wieńczące góry od strony wschodu.

Jechano z wolna, co dawało Elżuni możliwość przyglądania się domom w miasteczku, a nawet odczytywania nazwisk na szyldach. Dużo spotykała nowych, jak również twarze widziane po drodze w większej części okazały się jej nieznane. Mężczyźni odziani byli w długie surduty i

obszerne płaszcze, okrywające ich od stóp do głów, a kobiety miały na głowie kaptury podszyte futrem. Wszyscy podążali w tę samą stronę do, nazwanej szumnie akademią, szkoły, gdzie miał przemawiać Grant.

Przejeżdżano właśnie obok oberży, nad którą widniał napis: "Śmiały Dragon". Szyld przedstawiał jeźdźca w czapce niedźwiedziej, uzbrojonego w szablę i pistolety. Z oberży wychodzili w tej chwili jej właściciele. Sierżant Hollister, chociaż kulawy, szedł z miną dzielną, żona jego miała wygląd niefrasobliwy. Promienie księżyca oświetlały jej twarz pełną, szeroką, rumianą o męskich rysach, pod czepcem obszytym lichymi koronkami i wypłowiałą wstążką. Na czepiec wsunięty był czarny kapelusz nieco przechylony w tył. Dostrzegłszy sanie sędziego, oberżystka sadziła wielkimi krokami przez śnieżne zasy, aby się zbliżyć ku jadącym, co widząc Temple kazał woźnicy zatrzymać konie.

- Witam szczęśliwie wracającego - zawołała pani Hollister z mocno irlandzkim akcentem - a oto i panna Elżbieta, zapewne, bardzo urodziwa osoba, niech się młodzieńcy mają na baczności! Witam, witam, zwróciła się do Hartmana. Czy mam dziś przygotować wazę "toddy" * dla pana majora?

Major skinął tylko głową w milczeniu.

Pani Hollister znaną była ze swego gadulstwa, więc jeszcze rozprawiała chwilę o szyldzie nad oberżą, na który Elżunia zwróciła uwagę, a który miał wyobrażać Hollistera w wojennym rynsztunku, oberżysta tymczasem zamienił kilka słów z sędzią, po czym wszyscy podążyli ku akademii stanowiącej chlubę Ryszarda, gdyż sam robił plany i doglądał robót, koszta wszakże poniósł wyłącznie Temple.

Rodzaj ponczu robionego z wódki.

Ryszard Jones i Hiram Dulitl odegrali rolę architektów z wielkim powodzeniem, oni to bowiem, jakeśmy już wspomnieli, zbudowali dom sędziego, akademię i więzienie, najokazalsze gmachy w miasteczku.

Dulitl był zarazem sędzią i architektem. Wysoki, chudy, miał pospolite rysy twarzy wyrażające zadowolenie i chytryść.

Gdy się już wszyscy zgromadzili i zasiedli na ławkach akademii, Elżbieta zauważyła, że równie jak pastor Grant, zwracała na siebie uwagę obecnych; patrzono na nią z widocznym zaciekawieniem.

Zanim Grant rozpoczął przemówienie i uciszyło się dokoła, dało się słyszeć mocne tupanie nogami w przedsiionku, jak gdyby nowo przybywający otrząsali śnieg przylegający do obuwia i jednocześnie weszli do sali Natty Bumpo, stary Indianin i młody strzelec.

John wysunął się z powagą naprzód i widząc miejsce puste na ławie sędziego, zajął je z

miną zdającą się mówić, iż jako dawny wódz swego plemienia ma prawo do tego zaszczytu. Natty zatrzymał się przy kominku, usiadł na wiązce drzewa przygotowanego do palenia i oparłszy strzelbę, pogрузzył się w zadumie. Młodzieniec zajął pierwsze wolne na ławce miejsce.

Grant rozpoczął wzniosłą przepowiednię proroka hebrajskiego: "Pan jest w świątyni, niech wszystka ziemia przed Nim umilknie".

Gdy przysła kolej na modlitwy, wymagające odpowiedzi okazało się, że Jones który miał je wypowiedzieć, zniknął gdzieś i zapanowała chwila kłopotliwego milczenia.

Wtedy odezwał się dźwięczny głosik kobiecy. Była to młoda dziewczyna o twarzy bladej, łagodnej i miłej, jak się później okazało, córka pastora Granta. Kiedy powtórnie trzeba było odpowiedzieć według zwyczaju, znowu dał się słyszeć ten sam głos, a jednocześnie odezwał się młody mężczyzna, w którym Elżbieta poznała wnet Edwardsa. Wówczas starając się przezwyciężyć swą bojaźliwość, za trzecim razem przyłączyła swój głos do dwóch poprzednich. Następnie Grant przystąpił do nauki. Znał doskonale charakter swych słuchaczy, którzy ze względu na obyczaje byli niemal pierwotnym ludem. Mówca czerpał z wielkiej księgi przyrody otwartej dla wszystkich, którzy chcą z niej czytać; nie przybierając tonu wyższości, przemawiał tylko językiem rozumu i przekonania.

- Jakąż przestrozę dla każdego z nas - powiedział między innymi - daje wspomnienie o pierwszych latach życia! Owe skarcenia przez ojca za popełnione przez nas winy, wydające się tak srogimi w dzieciństwie, czyż takimi okazują się, gdy spoglądamy na nie doszedłszy do wieku męskiego? Tak też przyszedłszy do rozumu każdy człowiek niech się zastanowi i uzna mądrość Boga w tym, co przed nami zakryła, równie jak w tym, co się jej podobało nam objawić. Niech pokora oczyści serca nasze i umocni słabość, dając poznać niedoskonałość ludzką, nie pozwalając próżności wmawiać w nas, iż jesteśmy mocnymi, a natomiast ukaże jak mało mamy prawa do chęłpienia się z naszych wiadomości.

Dużo i pięknie mówił Grant na ten temat. Słuchano go z uwagą i uszanowaniem.

Kiedy się już wszyscy rozchodzili, pastor Grant zbliżył się do sędziego i Elżuni przedstawiając im swą córkę Ludwikę. Obie panienki spojrzały na siebie z życzliwością świadczącą, że będą odtąd żyły w przyjaźni. Ułożyły następnie pomiędzy sobą, jak mają spędzić razem dzień jutrzejszy i już poczęły projektować na dalszą metę, gdy Grant przerwał im, mówiąc z uśmiechem:

- Powoli, powoli, proszę pamiętać o tym, że Ludwika jest moją gospodynią, jeżeli więc przyjmie choćby połowę tych propozycji, moje sprawy domowe wielce ucierpią na tym!

- W takim razie najlepiej będzie przenieść się do tatusia na mieszkanie - zawołała Elżunia. - Dom obszerny, miejsca dosyć, a drzwi same się otworzą na przyjęcie tak miłych gości.

- Poznałem już gościnność pana sędziego, widzę że i córka wstępuje w jego ślady - odrzekł Grant - ale nie powinniśmy nadużywać grzeczności państwa. Zapewniam wszakże, iż Ludwinia będzie częstym gościem pani.

- Proszę pamiętać, że jutro obiadujemy razem pod moim dachem - powiedział Temple uprzejmie - a teraz dobrej nocy, pora nam wracać do domu.

Indianin siedział wciąż na tym samym miejscu i zdawał się nie zwracać wcale uwagi na otaczających, którzy mu się pilnie przypatrywali. Natty również nie zmienił położenia, oparłszy głowę na rękę, drugą trzymał swą strzelbę położoną na kolanach. Wyraz twarzy starego strzelca zdradzał pewien niepokój. Oczekiwał na Indianina, któremu okazywał zawsze wysoką cześć, pomimo wrodzonej opryskliwości. Młody towarzysz dwóch mieszkańców lasu stał przed kominkiem, czekając na swych przyjaciół.

Grant z córką pozostał jeszcze chwilę po odjeździe Templów, a wówczas John zbliżył się ku niemu, wstrząsnął czarną grzywą i rzekł z powagą:

- Słowa wasze od czasu jak się księżyc podniósł, wzbily się wysoko i zadowolily Wielkiego Ducha.

Zatrzymał się chwilę, jakby ważąc słowa i przybierając dumną postawę naczelnika plemienia, dodał:

- Jeżeli Czyngaszguk kiedykolwiek powróci do swego narodu, tam, kędy słońce zachodzi, a Wielki Duch, tchnąwszy weń życie, dozwoli mu przebyć jeziora i góry, opowie on swym towarzyszom, o czym sam dziś slyszal, a oni mu uwierzą, bo któż powiedziec może, że Czyngaszguk, Wielki Wąż, jest kłamcą?

- Niech Czyngaszguk pokłada zaufanie w dobroci Boskiej - odrzekł Grant - a ta go nigdy nie zawiedzie. Kiedy serce jest pełne miłości Boga, nie ma w nim miejsca dla grzechu. Względem ciebie, młodzieńcze - zwrócił się do Oliwiera - poczuwam się do wdzięczności, wspólnie ze wszystkimi, którym ocaliłeś życie, a także winienem ci podziękować za odpowiedzi podczas służby Bożej, ponieważ przyszedłeś mi niespodziewanie z pomocą. Chciałbym cię widywać u siebie i porozmawiać swobodnie. Twój przyjaciele może zechcą również przyjść dziś do mnie.

- Nie, nie - odparł Natty opryskliwie. - Muszę koniecznie wrócić do wigwamu (tak Indianie nazywają swoje domy). Niech młody idzie z wami, stary John także może wam towarzyszyć, jeśli ma ochotę, co do mnie, nie znam zwyczajów świata, nie posiadam nauki, ale chociaż czytać i pisać nie umiem, potrafię za to upolować do dwustu bobrów w jednym miesiącu, nie licząc innej zwierzyny. Jeśli wątpicie, zapytajcie tego oto Czyngaszguka, on wie, że nigdy nie mijam się z prawdą.

- Nie wątpię, iż byłeś niegdyś dzielnym żołnierzem, jak również, że teraz jesteś dobrym

myśliwym - odpowiedział Grant - lecz potrzeba czegoś więcej dla przygotowania się do bliskiego końca, bo jak to powiadają: młody może umrzeć, a stary musi.

- Nigdy nie był tak dalece głupi, abym sądził, że zawsze będę żyć - odparł Natty, śmiejąc się na swój sposób, to jest zaciskając usta - nie można tak myśleć przebywając w lasach z dzikimi i mieszkając podczas upałów nad brzegami jezior. Mam co prawda żelazne zdrowie, nieraz mi się zdarzało pić wodę z Onondago, gdym tropił zwierzynę i chciałem ugasić pragnienie, a wiadomo że od tego każdy może nabawić się febry. Ale mnie tam nic nie bierze, co jednak nie budzi we mnie pewności, że wieki żyć będę. Wszystko ma swój koniec na ziemi.

- Tak, wszystko to doczesne - odrzekł Grant coraz bardziej zainteresowany tym nowym dla siebie okazem - a tobie właśnie wypadałoby się przygotować do wieczności.

To rzekłszy, zwrócił się znowu do młodzieńca prosząc, aby mu towarzyszył. Indianin również przyjął zaproszenie i we czworo poszli do mieszkania Grantów dość daleko położonego.

Wąska ścieżka z obu stron ogrodzona parkanem, nie pozwalała dwu osobom iść obok siebie. Zimno było przejmujące, śnieg skrzypiał pod nogami, a księżyc doskonale oświetlał drogę. Grant szedł przodem, za nim Mohikanin owinięty opończą, z głową odkrytą i rozwichrzonym długim włosiem. Patrząc na jego ogorzałą twarz, spokojną postawę i muskuły przez wiek stężałe zdawało się, że jest obrazem wytrwałej starości, nie złamanej przebyciem siedemdziesięciu zim, lecz spojrzawszy w czarne, pełne blasku oczy wyczuwało się duszę jeszcze młodą i gorącą.

Wysmukła postać panny Grant, postępującej tuż za nim, stanowiła uderzającą sprzeczność z całą postawą starego Indianina, była bowiem biała i wiotka jak młoda topola.

Młodzian, zamykający pochód, zastanawiał się właśnie nad tym, gdy oboje obejrzelik się naraz, podziwiając światło księżyca.

Grant zapytał młodego strzelca:

- W którym z naszych Stanów urodzony jesteś, panie Oliwierze, bo tak ci podobno na imię?

- W tutejszym - odrzekł krótko strzelec.

- W mowie pana nie wyczuwam akcentu ani dialektu żadnego ze Stanów Zjednoczonych - ciągnął dalej Grant swój wywiad - zapewne musiałeś przebywać ciągle w jakimś dużym mieście?

Edwards uśmiechnął się w milczeniu.

- W każdym razie sądzę, że swym przykładem będzie pan zachęcał innych do pobożności - rzekł Grant po chwili. - Może zechcesz mi jutro dopomóc, tak jak to dziś dobrowolnie uczyniłeś?

- Nie czuję się godnym tego zaszczytu - odpowiedział Edwards - myśli moje są tak rozproszone, że nie zawsze potrafię się dostatecznie skupić.

- Każdy jest, a przynajmniej powinien być, sędzią samego siebie - rzekł Grant. - Zauważyłem istotnie w pańskim obejściu się z Templem jakąś niechęć, pomimo że nie możesz pan

wątpić ani na chwilę, iż nie miał zamiaru wyrządzenia panu krzywdy, a przebaczenie jest naszym obowiązkiem.

Tu naraz Mohikanin wtrącił się do rozmowy:

- Człowiek biały może to robić, czego ojcowie go nauczyli - zawołał - ale w żyłach Młodego Orła płynie krew wodza Delawarów, krew purpurowa, a plama przez nią zrobiona tylko krwią Mingo zmyta być może!

Grant wiedział, że Mingami nazywają Indianie swych nieprzyjaciół, począł więc wyjaśniać, że Mohikanin ma fałszywe pojęcie o konieczności zemsty i, że należy czynić dobrze nawet wrogom, którzy nas trapią i prześladują.

Indianin słuchał go z uwagą. Ogień pałający w jego oczach uśmierzał się powoli, szli więc dalej przyspieszwszy nieco kroku. Ludwika jednak nie miała już siły podążać tak szybko za nimi i pozostała nieco w tyle. Ponieważ ścieżka była szersza w tym miejscu, Edwards zaproponował panie Grant, aby się wsparła na jego ramieniu.

- Mogłabym jeszcze iść dalej - szepnęła Ludwika - ale ów Indianin przeraził mnie swym strasznym spojrzeniem, gdy przemówił do ojca.

- Nie zna pani ludzi tej rasy - odrzekł Edwards - zemsta poczytywana jest za pierwszorzędną cnotę wśród Indian. Uczą ich od małego dziecka, aby nigdy nie zapomnieli i nie przebaczyli krzywdy. Tylko prawa gościnności biorą górę nad ich zawziętym gniewem.

- Spodziewam się, że nie byłeś pan w takich zasadach chowany? - rzekła Ludwika, wysuwając mimo woli rękę opartą na ramieniu Edwardsa.

- Uczono mnie przebaczać, tak jak to ojciec pani wykladał przed chwilą; ale nie tylko teoretycznie ale i praktycznie otrzymałem naukę przebaczenia i puszczania krzywdy w niepamięć. Sądzę, że niewiele mam sobie pod tym względem do zarzucenia, a mniej jeszcze mieć będę w przyszłości. Staram się przemóc lecz walka to ciężka.

To mówiąc znowu podał rękę i Ludwika wsparła się na niej. Rozmawiali już o rzeczach obojętnych i wkrótce zatrzymali się przed domem stojącym w polu pełnym jeszcze pniaków sosnowych, wyglądających gdzieniegdzie spod zasp śnieżnych.

Zewnątrz siedziba Grantów wyglądała dość niepozornie i nosiła ślady zaniedbania i pośpiechu, z jakim budowano pierwsze domy w świeżo zamieszkałych osadach, lecz wewnętrzne urządzenie było wygodne, a przy tym panowała tam wielka czystość i porządek. Pierwszy pokój, do którego weszli, była to jadalnia. Ogień rozniecony przy kominku oświetlał ją jaskrawo. Dywan krajowego wyrobu pokrywał podłogę, duży stół stał na środku. Szafa na książki, staroświecka z akacjowego drzewa, stanowiła jedyny sprzęt wartościowy, zresztą wszystko tu było proste i tanie. Na ścianach wisiały widoki wyszyte na kanwie. Jeden przedstawiał grób, przy nim płaczącą

dziewicę. Na płycie grobowej wypisane były imiona osób noszących nazwisko Grant. W ten sposób Edwards dowiedział się z pierwszego rzutu oka, że Grant był wdowcem i że Ludwika jedna mu tylko pozostała z sześciorga dzieci.

Usadowiono się przed kominkiem, Grant rozpoczął znowu rozmowę na poprzednio poruszony temat.

- Mam nadzieję - rzekł łagodnym tonem - że wychowanie jakieś otrzymał, skłoni cię do zapomnienia urazy i chęci zemsty, które urodzenie być może w ciebie wpoilo; gdyż z napomnień Johna wnoszę, że płynie w tobie krew Delawarów. Nie masz podstaw rumienić się z tego powodu; ani barwa skóry, ani urodzenie nie mają znaczenia, a człowiek połączony węzłami pokrewieństwa z dawnymi właścicielami tej ziemi, ma nawet większe prawa do przebywania w tych górach, niż ci, którzy je sobie przywłaszczyli.

- Wszystko co ujrysz wyszedłszy na najwyższą z tych gór - zawołał stary wódz ilustrując swe słowa gestami - wszystko, co ujrysz pomiędzy wschodzącym i zachodzącym słońcem powinno należeć do Młodego Orła. Ale musi być sprawiedliwość, musi być rozdzielona rzeka i ziemia na dwie równe części i powiedziane będzie: Potomku Orła Delawarów, weź swoją część i trzymaj, bądź naczelnikiem, w kraju ojców twoich.

- Nigdy! - zaprzeczył Edwards z energią i mocą. - Wilk w ostępie nie łaknie bardziej łupu od tego człowieka pożeranego żądzą złota, chociaż dla pozyskania bogactw czołga się z całą chytryością węża, udając łagodnego baranka!...

- Strzeż się, mój synu - przerwał Grant tonem ojcowskiego napomnienia. - Powściągać należy takie napady gniewu. Krzywda zupełnie przypadkowo wyrządzona ci przez pana Temple poruszyła snadź w tobie pamięć krzywd doznanych przez twoich przodków. Pierwsza była mimowolna, drugie zaś nastąpiły skutkiem jednej z tych wielkich zmian politycznych, które nieraz całe narody usuwają z widowni świata. Gdzież są owi Filistyni, trzymający niegdyś dzieci Izraela w poddaństwie? Co się stało z wyniosłym Babilonem, który w upojeniu dumy zwał się królem narodów? Pamiętaj, że tylko tyle mamy prawa do otrzymania przebaczenia od naszego Ojca niebieskiego, ile go sami udzielamy tym, którzy nas obrazili. Twoje ramię zresztą wkrótce się zagoi, nie powinienes więc żywić do sędziego tak głębokiej urazy.

- Moje ramię? - powtórzył Edwards tonem pogardy. - Wcale o nim już nie pamiętam. Nie przypuszczam również, aby Temple chciał mnie zamordować. Zbyt jest ostrożny i bojaźliwy, by się mógł dopuścić podobnej zbrodni. Niech sobie sędzia i jego córka cieszą się ze swych bogactw, przyjdzie jednak dzień porachunku.

To mówiąc wstał i począł przechadzać się wielkimi krokami po pokoju. Wystraszona Ludwika zbliżyła się do ojca i oparłszy rękę na jego ramieniu szepnęła coś z drzeniem.

- Taka jest dziedziczna gwałtowność ludzi urodzonych w tym kraju, moje dziecię - odpowiedział ojciec. - Snadź krew europejska zmieszana w tym młodzieńcu z krwią indiańską wywołuje w nim tak burzliwe wybuchy.

Chociaż mówił cicho, Edwards dosłyszał jego słowa i podnosząc głowę z uśmiechem rzekł o wiele spokojniejszym tonem.

- Niech się pani nie lęka, uniosłem się nieco, chociaż powinienem się powściągnąć. Nie mam powodu wstydzić się mego pochodzenia, a nawet dumny jestem z tego, że pochodzę od obrońcy Delawarów, wojownika będącego chlubą swego rodu.

Stary Mohikanin, wierny przyjaciel, oddaje cześć jego pamięci i zasługom. Grant widząc, że się Edwards uspokoił, przemawiał jeszcze na temat darowania win i pogody ducha, po czym pożegnał się przyjaźnie. Mohikanin poszedł ku wiosce. Młody Orzeł zwrócił się w stronę jeziora.

Ludwika stała przy oknie i w blasku księżyca widziała wyraźnie zgrabną postać Edwardsa przechodzącego szybkimi krokami przez jezioro pokryte lodem. Zmierzał widocznie do chałupy Bumpa, położonej u stóp skały, na wierzchołku której rosła sosna.

- Chciałbym wpłynąć na Oliwiera - rzekł Grant - gdyż wyczuwam w nim szlachetną dumę i mam nadzieję, że dobre porywy wezmą w nim górę nad innymi. Przypomnij mi, gdy przyjdzie do nas, abym mu dał do przeczytania książkę o bałwochwalstwie.

- Jak to, ojcie - odrzekła Ludwika ze zdumieniem - czy przypuszczasz, że mu grozi powrót do błędów jego przodków?

- Nie, moje dziecko, zanadto dobrze mu z oczu patrzy, żeby mógł coś podobnego uczynić. Lecz jest inne, nie mniej straszne bałwochwalstwo, kult naszych własnych namiętności i z tego uleczyć go pragnę.

Rozdział VI - Pod "Śmiałym Dragonem"

Oberża pod "Śmiałym Dragonem" była jedną z najokazalszych w miasteczku, a ponieważ Hollister i jego małżonka mieli dar zjednywania sobie życzliwości przez swą uprzejmość dla gości, chętniej odwiedzano ich, niż stojącą po drugiej stronie drogi kawiarnię templtońską Habakuka Futa i Jozuego Knappa.

Sala w oberży Hollisterów była przestronna; przy trzech ścianach stały ławki, czwartą wypełniały dwa kominki, pomiędzy którymi był rodzaj alkowy wypełnionej butelkami, gdzie rej wodziła oberżystka, podczas gdy jej mąż podrzucał dREW do komina i podsyczał żarzący się ogień.

- Pali się jak może najlepiej - zawołała pani Hollister - przestań zajmować się ogniskiem. Postaw raczej na stołach szklanki i przystaw do ognia garnek z jabłecznikiem zaprawnym imbirem dla doktora. Spodziewam się, że dzisiejszego wieczora będziemy mieć dużo gości.

Wkrótce zaczęli się schodzić, otrząsając z hałasem śnieg z obuwia u drzwi oberży. Zapelnily się wszystkie ławki.

Doktor Todd zajął miejsce nie opodal kominka wraz z młodzianem ubranym z cudzoziemska. Elegant ów wydobywał co chwila srebrny zegarek zawieszony na łańcuszku; miał przy koszuli szpilkę z wielkim fałszywym kamieniem i zażywał tabakę z ozdobnej tabakierki.

Oberżysci zajęci byli przygotowywaniem i podawaniem różnych napojów, co wymagało pewnej umiejętności i wprawy, każdy z gości miał swoje odrębne upodobania.

Rozmawiano głośno i z ożywieniem, naraz zapanowała cisza, gdy towarzysz doktora, Lippet, jeden z dwóch templtońskich adwokatów, zapytał:

- Podobno, doktorze, wyjęliście dziś kulę z ramienia syna Natiego Bumpo?

- Tak jest - odrzekł Todd - prostując się z powagą. - Ale nie wiedziałem, że mój pacjent jest synem Bumpa, to dla mnie nowina.

- Mniejsza o to czyim jest synem - odparł adwokat - sądzę jednak, że nie pozwoli, aby się na tym zakończyło. Żyjemy w kraju, gdzie prawa dla nikogo nie czynią wyjątków. Chciałbym wiedzieć czy człowiek, będący właścicielem stu tysięcy akrów ziemi ma większe od innych prawo strzelania bezkarnie do ludzi? Co powiesz na to, doktorze?

- Młodzian ów wkrótce się wyleczy - odrzekł Todd. - Kula została wydobyta jak należy, rana starannie obandażowana, żadnego niebezpieczeństwa nie ma.

- Panie Dulitl - zawołał adwokat zwracając się do architekta - jesteś pan urzędnikiem, wiesz na co prawo zezwala a czego zabrania, więc osądź proszę, czy rana z palnej broni jest sprawą tak prostą, jak doktor powiada. Przypuśćmy, że raniony jest robotnikiem lub rzemieślnikiem utrzymującym z pracy rąk rodzinę i że kula pozbawiła go możliwości zarobku na resztę życia. Czy w

takim razie nie powinien wymagać znacznego odszkodowania?

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na Hirama Dulitla, musiał więc z konieczności odpowiedzieć, odrzekł więc z powagą:

- Zapewne pan Lippet wie równie dobrze jak i ja, iż jeśli kto rani z zamiarem zabójstwa sąd uzna go winnym i wówczas zła to jest dla niego sprawa.

- Bardzo zła - potwierdził adwokat. - Otóż, moim zdaniem, jeżeli ów młodzieniec mieć będzie dobrych doradców, potrafi uzyskać tyle, że hojnie może opłacić doktora.

- O to mi nie chodzi - odrzekł Todd z pewnym zakłopotaniem. - Temple przyrzekł mi zapłatę.

- Doktor może w każdym razie wytoczyć proces Templowi, jeśli nie otrzyma tego, co mu się słusznie należy - dorzucił Lippet.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której drzwi się otworzyły i ujrzano Natty Bumpo, niosącego w ręku nieodłączną strzelbę. Nie zwracając uwagi na nikogo z obecnych, przysunął się do ognia. Gospodarz, z którym żył w przyjaźni, ponieważ obaj służyli niegdyś w szeregach armii, przyniósł mu dużą szklanicę wina. Adwokat tymczasem znów rozpoczął przerwana rozmowę.

- Znam sposoby, jakimi można dochodzić sprawiedliwości i ukarać sędziego Temple, czy kogokolwiek, kto pozwala sobie strzelać do ludzi - zapewniał z przebiegłym uśmiechem.

- Szczególny pomysł rozpoczynać proces z sędzią Templem, który ma worek z pieniędzmi co najmniej wysokości najwyższej sosny w lesie! - zawołała oberżystka. - A przy tym sędzia jest człowiekiem, któremu grozić nie potrzeba, gdyż z pewnością uczyni zawsze to, co sprawiedliwość nakazuje. Niezawodnie, Natty, nie będziesz tak nierozsądnym, by wbijać młodzikowi do głowy jakieś postępowanie prawne przeciw sędziemu. Powiedz temu swemu przyjacielowi, że może tu pić darmo ile zechce dopóki mu się ramię nie zagoi.

- Oto prawdziwie szlachetna ofiara ze strony pani Hollister! - zawołało kilkanaście głosów.

- Wiedziałem dobrze - odezwał się wreszcie Natty - że sędzia spuści. Z taką marną strzelbą porywać się na daniela!... Kiedym z sir Williamem szedł przeciw Francuzom ku twierdzy Niagara, nie znano innych niż długie strzelby, bo to najlepsza broń w ręku człowieka umiającego nabijać i mającego pewne oko. Wojowaliśmy z Francuzami i z Irokezami. Czyngaszguk, Wielki Wąż, mógłby wam wiele szczegółów opowiedzieć, lepiej jednak władał tomahawkiem niż fuzją. Dobre to stare czasy, zwierzyny wszędzie było pod dostatkiem, a teraz gdyby mój Hektor nie miał tak dobrego węchu, całe dni nieraz trawiłbym na próżnych poszukiwaniach.

- Niepochlebne dajesz świadectwo swemu towarzyszy zowiąc go wężem, stary John wcale dziś nie podobny jest do węża - mówiła oberżystka.

- Stary John i Czyngaszguk to zupełnie różni ludzie - odparł Bumpo, potrząsając głową. -

Podczas wojny był on mężem w pełni dojrzałym. Pamiętam jak wyglądał wspaniale w pamiętny dzień zwycięstwa! Obnażony do pasa, twarz miał z jednej strony czarną, z drugiej czerwoną, reszta ciała pomalowana była na żółto. Głowa ogolona, prócz kosmyka na wierzchu, na którym widniała kita z orlich piór. Bardziej wojowniczej postaci z nożem i tomahawkiem w ręku nie można sobie wyobrazić. Nazajutrz po bitwie, widziałem trzynaście czupryn przywiązanych na jego kiju, a wszystkie własnoręcznie zdobyte.

Pani Hollister westchnęła z oburzeniem i zwracając się do męża, zapytała:

- Spodziewam się sierzancie, żeś nigdy nie pomagał w skalpowaniu ludzi?

- Moją powinnością było stać w szeregu i oczekiwać tam kuli lub bagnetu - odrzekł Hollister. - Byłem wówczas w twierdzy, a że rzadko wychodziłem, nie widywałem dzikich, którzy wiedli bój na skrzydłach, przypominam sobie jednak, że słyszałem o Wielkim Wężu jako o sławnym wodzu i nigdy nie spodziewałem się widzieć go nawróconym.

- Gdyby te góry należały jeszcze do prawego właściciela, który by udźwignął taką strzelbę jak moja i mającego pewne oko, wszystko by szło inaczej - mrucał Bumpo jakby do siebie. - Ha, krzywda się stała, krzywda dotąd nie pomszczona...

Gdy Natty mówił te słowa, dały się słyszeć głosy nowych gości u wejścia. Był to sędzia Temple, major Hartman, Le Quoi i Ryszard Jones. Na ich widok adwokat Lippet umknął, korzystając z ogólnego poruszenia.

Wielu z obecnych zbliżyło się do sędziego witając go przyjaźnie. Major tymczasem zasiadł spokojnie na ławie, zdjął kapelusz i perukę i przywdział wełnianą szlafmycę, a nasunawszy ją na uszy, wydobyl z kieszeni puszkę z tytoniem, nałożył fajkę i zapaliwszy ją, puścił kłąb dymu. Po czym zwracając się do gospodyni zapytał:

- Mój "toddy" zapewne już gotów?

Sędzia usadowił się obok majora: Ryszard szukał oczyma po sali najdogodniejszego dla siebie miejsca; Le Quoi usiadł w pobliżu kominka; stary John, który wszedł w tej chwili, zajął w milczeniu ką na ławie.

- Johnie, oto szklanica jabłeczniaka z imbirem - odezwała się uprzejmie oberżystka, po czym dodała: - Indianin choćby nie miał pragnienia, pić może!

- Jakież nowiny przywiózł pan sędzia z New Yorku? Co tam Kongres uchwalił? - zagadnął Hiram Dulitl.

- Wiele praw ustanowił, które nam bardzo były potrzebne. Pomiedzy innymi zabronił łowić ryby niewodem w niewłaściwym czasie, następnie ograniczył zabijanie saren, a mam nadzieję iż przyjdzie pora kiedy i drzewa zostaną wzięte w opiekę i nie wolno będzie wyrąbywać ich bez potrzeby.

Natty Bumpo słuchał z natężoną uwagą, następnie począł śmiać się po swojemu nie wydobywając wcale głosu.

- Uchwalajcie prawa, wydawajcie ustawy - rzekł na koniec - lecz gdzie znajdziecie tylu ludzi, aby potrafili upilnować gór lub jezior podczas nocy? O ile tylko pamięcią sięgnąć mogę, zwierzynę wolno było zabijać każdemu, kto ją wytropi. Odgłos strzału powtarza echo, któż może zgadnąć gdzie stał człowiek, który strzelił?

- Roztropny urzędnik zbrojny powagą prawa - odrzekł sędzia - może zapobiec wielu nadużyciom, wobec których zwierzyna staje się coraz rzadsza. Prawa właściciela do zwierzyny muszą być w takim poszanowaniu jak grunta dzierżawne.

- Wasze prawa i dzierżawy - zawołał Natty - wszystko to zaczęło się od wczoraj! Prawa powinny być bezstronne i nie sprzyjać jednemu z pokrzywdzeniem drugiego. Przykro jest widzieć się pozbawionym środków utrzymania, nie móc łowić ryb, ani polować w każdym czasie!

Oberżystka podała Ryszardowi wybornie przyrządzony przez siebie napój.

- Doskonały! - zapewniał Ryszard popijając ze smakiem i począł śpiewać, ułożoną przez siebie piosenkę na wesołą nutę.

- Jakże ci się Johnie podoba ta melodia? - zapytał. - Czy może porównać się z waszymi pieśniami wojennymi?

- Dobra jest - odrzekł Indianin - któremu pod wpływem trunku szumiało nieco w głowie.

- Brawo! Brawo Ryszardzie! - wykrzyknął major - kiwając się nad mocnym "toddy". Bravissimo! Wyborna jest twoja piosenka, lecz Natty Bumpo umie lepszą. Dalejże stary, zaśpiewaj nam o zwierzynie.

- Nie, majorze, nie - odpowiedział Bumpo wstrząsając głową ze smutkiem - nie mam już serca do śpiewania. Jeśli ten, który powinien być tu panem, musi pić wodę śniegową dla ugaznienia pragnienia, nie przystoi tym, co żyli z jego łaski, cieszyć się, jak gdyby wszędzie było słońce i wiosna!

To rzekłszy, ukrył twarz w dłoniach i skłonił głowę na kolana.

John pod wpływem rozgrzewającego napoju począł śpiewać, wydając dźwięki monotonne i przeciągłe i wymawiając wyrazy niezrozumiałe. Jeden Natty mógł pojąć ich znaczenie, inni słyszeli tylko jakąś melancholijną melodię, raz podnoszącą się do najwyższych tonów, następnie spadającą do niskich i drżących dźwięków, stanowiących przeważnie charakter tej muzyki.

Jednocześnie doktor Todd starał się przekonać Templa o ważności dokonanej przez siebie operacji, chcąc zapewnić sobie jak największe wynagrodzenie.

Śpiew Mohikanina stawał się coraz bardziej dziki, co przerwało ogólną rozmowę. Wówczas Natty podniósł głowę i przemówił do Johna w jego ojczystym języku:

- Na co się przyda, Czyngaszguku, śpiewać o twoich czynach i wspominać o wojownikach, których sam zabiłeś, kiedy największy nieprzyjaciel jest blisko ciebie i przywłaszcza sobie prawa Młodego Orła? I ja walczyłem w bitwach więcej od innych wojowników, lecz nie pragnę się tym chwalić w takich, jak obecne, czasach.

Indianin chciał się podnieść, nie mogąc jednak utrzymać się na nogach, całym ciężarem opuścił się na ławę.

- Sokole Oko - odrzekł ponuro - jestem Wielki Wąż Delawarów; mogę tropić Mingosów, jak gadzina unosząca jaja ptasie i jednym ciosem ich obalić. Człowiek biały dobrze mówił dzisiejszego wieczora i chciał on tomahawkowi Czyngaszguka nadać białość wód Otsego, lecz nie wyschła jeszcze na nim krew naszych wrogów.

- I dlaczegóż pozbawiłeś życia bitnych Mingosów? Czy nie dlatego, aby zapewnić dzieciom twych ojców posiadanie gór, lasów i jezior, które oddane były na uroczystej radzie Pożeraczowi Ognia?... Czyż krew bohatera nie płynie w żyłach Młodego Orła, którego głos powinien rozbrzmiewać wysoko.

Rozmowa ta dawała się przywracać Indianinowi przytomność umysłu i pobudzać do działania. Wstrząsnął głową, powstał znowu z widocznym wysiłkiem utrzymania się na nogach i utkwivszy wzrok w Marmaduku Temple, ściągnął brwi i sięgnął ręką po tomahawk, wiszący u pasa.

- Nie przelewaj krwi! - zawołał Bumpo spostrzegłszy, że stary wódz przybiera postawę wojowniczą.

Ryszard postawił przed Indianinem kubek napełniony mocnym napojem, który John duszkiem wychylił. W tejże chwili oczy jego zaćmiły się, rysy wyrażały tylko osłupienie, kubek wypadł z rąk a on osunął się na ławę, oparłszy głowę na stole.

- Oto są dzicy - rzekł Natty szydyczko - daj im pić, a będziesz miał albo psy wściekłe albo bydłeta!

Szepnął do Indianina słów kilka niezrozumiałych dla otoczenia, lecz ten już nic nie słyszał.

- Po co teraz mówić do niego? - zawołał Ryszard. - Czy nie widzicie, że jest w tej chwili głuchy, ślepy i niemy. Kapitanie Hollister, daj mu jaką izbę, kąt w stodole do przespania się, ja zapłacę. Jestem dzisiejszego wieczora bogaty, dwadzieścia razy bogatszy od ciebie, Marmaduku, z twymi lasami, gruntami, jeziorami, procentami i gotówką:

"Bo chcąc troszeczkę stawić czoło,
wziąć rozbrat z czarnym humorem,
trzeba rano i wieczorem
pić - śpiewać i żyć wesoło!...

"

Zanuciwszy znów swoją piosenkę, począł zachęcać Hiram Dulitla do wypitki.

- Tak wrzeszczysz, Ryszardzie - rzekł sędzia zniecierpliwiony - że niepodobna słyszeć co mówi doktor. Więc obawiać się należy, aby rana się nie rozjątrzyła z powodu zimna? - zwrócił się do Todda:

- Przeciwnie, mówiłem, iż nie można się lękać rozjątrzenia rany, którą starannie przewiązałem, wydobywszy z niej kulę; mam ją jeszcze w kieszeni. Ponieważ pan sędzia zamierza wziąć tego młodzieńca do siebie, przeto lepiej będzie, gdy podam jeden rachunek za operację i dalsze starania.

- Tak jest, moim zdaniem, dosyć będzie jednego rachunku - odpowiedział Temple z uśmiechem, który można było przypisać dobremu humorowi lub też ukrytej ironii człowieka czującego, że go każdy pragnie wyzyskać.

Tymczasem oberżysta z pomocą kilku gości wyniósł starego Indianina do stodoły i położył na słomie, aby przespał się spokojnie.

Major Hartman tyle wychylił kubków "toddy", ile wypalił fajek i także począł być hałaśliwie wesołym. Późno już w nocy wyszedł sędzia z Ryszardem prowadzącym majora, będącego w świetnym humorze. Temple szedł pierwszy, a gdy się obejrzał, przekonał się, że obaj jego towarzysze nie tylko pozostali w tyle, ale zupełnie zniknęli z horyzontu. Wrócił więc i znalazł ich leżących po szyję w śniegu. Z trudem postawiwszy ich na nogi, wziął obu pod ręce i wiódł, abym mówiąc słowami Beniamina "wprowadzić ich do portu bez szwanku".

Rozdział VII - Ben Pompo i Petibona

Przed wyjściem do oberży, sędzia Temple odprowadził córkę do domu. Światła w sali były pogaszone, tylko Adży podsyczał wciąż ogień na kominku w salonie.

Ochmistrzyni nie bardzo chętnym okiem spoglądała na swą młodą panią, miała wszakże nadzieję, że przy niedoświadczeniu Elżuni uda się jej zachować przynajmniej część władzy. Myśl, iż podlegać będzie musiała rozkazom młodziutkiego dziewczęcia sprawiała jej przykrość.

- Czuję się nieco znużona - rzekła Elżbieta - i chciałabym pójść do sypialni. Proszę zobaczyć czy jest ogień w moim pokoju?

Petibona miała wielką ochotę odpowiedzieć swej młodej pani, iż może to sama sprawdzić, lecz po krótkim namyśle wykonała polecenie. Elżunia oddaliła się więc, życząc dobrej nocy ochmistrzyni i Beniaminowi.

Po jej wyjściu Petibona poczęła czynić uwagi o sędziance, nie będące niby wyraźną naganą, odczuwało się jednak w jej słowach dużo niechęci. Beniamin słuchał w milczeniu, potem przysunął stoliczek do kominka i postawił na nim butelki i szklanki dla uczczenia świątecznego dnia. Petibona potrząsnęła głową i rzekła żałośnie:

- Niedługo pozostaniemy w tym domu na tej stopie, na jakiej byliśmy dotąd. Chciałbyś pan, aby jaki dudek pomiatał tobą i wydawał rozkazy? Mnie się wydaje, że to jest nazbyt przykre, panie Beniaminie!

- Tak, tak, trudno, aby sternik otrzymywał rozkazy od majtka, w takim razie sternik opuściłby rudel. Człowiek, który prze lat trzydzieści służył na okrętach wszelkiego rodzaju, nigdy się o siebie nie troszczył i dlatego też piję pani zdrowie. Ochmistrzyni lubiła niekiedy wypić szklankę dzinu, to jest osłodzonego araku z gorącą wodą.

- Musiałeś pan wiele doświadczyć w życiu? - rzekła po chwili.

- O tak, morze nastęcza wielkie korzyści, żeglarz ma sposobność nauczyć się poznawać nie tylko rozmaite narody, ale i liczne kraje. Na przykład Zatoka Biskajska to moja stara znajoma. Chciałbym, aby pani przez jedną chwilę mogła słyszeć ryk wiatru tam huczącego, włosy by stanęły na głowie!

- Życie żeglarza musi być okropne! - zawołała ochmistrzyni i dlatego nie dziwię się, że przenosisz pan nad nie służbę w tym spokojnym domu; co do mnie, nie mam zamiaru tu pozostać; łatwo mi będzie znaleźć odpowiednią posadę. Tego tylko odżalować nie mogę, że się tu dostała, ale któż mógł przewidzieć, jak się to wszystko skończy!

- Ponieważ przez czas długi żeglowałaś pani na tym statku musiałaś się przekonać, że dobrze płynie.

- Tak było dotychczas, dopóki nie przyjechała Elżunia. Przyznaję nawet, że jest powabna na pierwszy rzut oka, ale żyć z nią nie będzie można. Pan Jones przedstawiał ją jako wzór wszelkich doskonałości, lecz moim zdaniem Ludwika Grant jest sto razy miłsza od niej. Panna Temple uważa się za wielką panią i słówka przemówić nie raczy do osób niższego stanowiska. Zagadnęłam ją, czy jej przykro było nie zastać matki w tym domu, odwróciła głowę i nie raczyła mi odpowiedzieć.

- Może nie zrozumiała pani - odrzekł Beniamin - przyznać bowiem trzeba, że straszliwy masz akcent, a panna Elżunia uczyła się po angielsku u dobrych nauczycieli i włada językiem wyśmienicie. Co do wymowy musisz przyznać, że jesteś tylko majtkiem, a twoja młoda pani admirałem!

- Moja pani! Dobrze sobie! Nie jestem przecież Murzynką, niewolnicą! Elżunia nie jest moją panią i nigdy nią nie będzie.

- Mniejsza o to! Nie widzę jednak przyczyny użalania się na pannę Temple, najlepiej więc wypijmy raz jeszcze i nie myślmy o tym więcej!

- Nie zostanę dłużej w tym domu, w którym nie pozwalają mi nazywać panienki jej imieniem, a wymagają, abym mówiła do niej "pani" z wielkim uszanowaniem. Żyjemy w kraju wolnym - mówiła ochmistrzyni tonem podniesionym - wobec wymagań sędziego jutro się oddalę, albo będę jego córkę nazywać Elżunią. Mogę zresztą mówić jak mi się podoba.

- Co do tego nie ma dwóch zdań - zapewniał Beniamin. - Powstrzymać gadulstwo niewieście, gdy mu przyjazny wiatr służy, byłoby tym samym, co uciszyć huragan rozpetany nad morzem!

Obrażona ochmistrzyni podniosła się z powagą, wzięła świecę ze stołu i wyszła z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Beniamin machnął ręką ze wzgardliwym uśmiechem, wypił jeszcze szklankę grogu, skłonił głowę na piersi i zachrapał, wydając dźwięki podobne do mruczenia niedźwiedzia.

Błogi sen przerwany został po kilku godzinach powrotem sędziego z Jonesem i majorem. Beniamin na tyle odzyskał przytomność, że pomógł tym dwóm ostatnim dojść do ich pokojów, a że byli pod dobrą datą, nie zauważyli, iż Ben Pompo również podpiał sobie na potęgę. Sędzia obejrzał jeszcze, czy światła wszędzie pogaszone po czym udał się na spoczynek.

Rozdział VIII - Strzelanie do indyka

Nazajutrz znacznie się ociepliło, zapowiadała się odwilż.

Elżunia obudziła się wcześniej i zupełnie wypoczęta wybiegła przed śniadaniem przyjrzeć się jak wygląda ogród i całe otoczenie ojcowskiego domu. Ujrzała zaraz Ryszarda, który uprzejmie ją powitał przez otwarty lufcik:

- Widzę, że z ciebie ranny ptaszek - zawołał. - Zaczekaj chwilę, zaraz ci będę towarzyszył, bo chcesz pewnie zobaczyć ulepszenia, jakie podczas twojej nieobecności zostały wprowadzone. Tylko ja mogę to wszystko objaśnić, ponieważ sam układałem plany. Ojciec twój i major pewno dopiero za godzinę zejda na śniadanie, muszą wypocząć po tych wstrętnych mieszankach pani Hollister! Mamy więc czas na przechadzkę.

Elżunia skinęła główką i przyrzekła poczekać na kuzyna, który po chwili zjawił się i wzięwszy ją pod rękę, prowadził ostrożnie.

- Odwilż się zaczyna - mówił. - Co za wstrętny klimat! Wczoraj o zachodzie przenikliwie zimno, o północy już znacznie powietrze złagodniało, a następnie tak się ociepliło, że pod kołdrą uleżeć nie mogłem. Adży! Hola! Adży! Zbliź się Murzynku, masz oto dolara jako świąteczny upominek, ale uważaj dobrze, jeśli sędzia wstanie, donieś nam o tym.

- Tylko co zaglądałam do pokoju ojca, śpi jeszcze głęboko. Możemy spokojnie iść na przechadzkę, zanim się obudzi - rzekła Elżunia.

Ryszard zaczął swoim zwyczajem przechwalać się, że wszystkim lepiej od innych potrafi zarządzić i że mu każdy zazdrości.

- Nie współubiegam się jak inni o zaszczyty - mówił Ryszard - ale wiem, że dobrze wychodzi zawsze ten, kto mnie posłucha. Może nie wiesz nawet o tym, że przyczyniłem się do umieszczenia cię na pensji w New Yorku, napisałem bowiem do przyjaciela, który zebrał potrzebne wiadomości i wszystko ułatwił. Niejeden szturm musiałem przypuścić do twego ojca, aby zgodził się oddać cię na naukę, gdyż jest zazwyczaj uparty, ale wreszcie zwyciężyłem.

- Wybacz ojcu, kochany wujaszku, że czasem się upiera, ale on też dla ciebie dużo czyni - rzekła Elżunia filuternie, obracając w rękę kopertę z urzędowymi pieczęciami.

- Dla mnie?... - zapytał Ryszard, jakby chcąc odgadnąć myśl Elżuni.

- Oto jest nominacja na urząd przynoszący zaszczyt i dochody! - rzekła Elżunia wręczając mu zapieczętowany dokument. - Ojciec powiedział, abym ofiarowała ci, wujaszku, ten prezent na święta.

Ryszard rezerwał pieczętkę niecierpliwym ruchem:

- Ryszard Jones zostaje szeryfem! - zawołał zdumiony. - Istotnie, człowieka

odpowiedniejszego na to stanowisko trudno znaleźć! O tak, twój ojciec umie oceniać ludzi! Jestem mu szczerze wdzięczny za tę niespodziankę, bo jego staraniom to zawdzięczam, ale przekona się, że nie zawiodę zaufania i obowiązki będę spełniać należycie. Dziś po południu zabiorę się do opracowania planu pracy.

- Panie szeryfie - rzekła Elżunia wesołym tonem - miałeś mi pokazać różne udoskonalenia i zmiany, gdzie one są?

- Gdzie? Moja droga, ależ wszędzie, gdzie tylko rzucisz okiem. Tu właśnie mam przeprowadzić pięć ulic; gdy drzewa zostaną zrąbane i grunt się uprzątnie, domy staną z obu stron, a Templon zamieni się w piękne miasto.

- Nie rozumiem, jak można przeprowadzić ulice na tym gruncie bagnistym i pokrytym wzgórzami - rzekła Elżunia.

- Nie znasz się na tym. Wytoczamy ulice według planu, nie bacząc na przeszkody. To się nazywa kolonizacja.

Rozmawiając, oddalali się coraz bardziej od domu, przed nimi widniał spory las sosnowy. Naraz znaleźli się o parę kroków od miejsca, w którym młody strzelec, Bumpo i stary Mohikanin odbywali naradę, nie widząc przybyłych.

- Cofnijmy się - szepnęła Elżunia - nie mamy prawa podsłuchiwać tych ludzi.

- Nie mamy prawa? - odrzekł Ryszard, silniej ujmując ramię kuzynki. - Zapominasz, że jako szeryf jestem obowiązany czuwać nad utrzymaniem porządku i spokoju. Ludzie ci mogą obmyślać szkodliwe zamachy. Cicho! Posłuchajmy o czym mówią.

Elżunia opierała się, ale Ryszard był nieubłagany. Stali tak blisko rozmawiających, że dokładnie słyszeć było każde słowo.

- Musimy zdobyć tego ptaka! - rzekł Natty Bumpo. - Niezawodnie jest dobrze utuczony, ale ostatnią monetę wydałem u Francuza na kupno prochu, wy też nie macie wiele, musimy losować kto ma strzelać do indyka. Wiem, że Billy Kirby także zamierza upolować, ten może trafić. John ma wyborne oko do strzału, mnie zaś drży ręka, obawiam się chybić.

- Mam tylko jednego szylinga - powiedział Edwards ze smutnym uśmiechem - ale musisz i ty strzelać do tego indyka, na pewno odniesiesz zwycięstwo.

- Wolałbym, aby John strzelał - odpowiedział Bumpo. - Indianin niczym się nie wzrusza. Masz Johnie szylinga i moją strzelbę i ruszaj z innymi.

Indianin z miną posepną podniósł głowę i rzekł:

- Gdy John był młody, kula jego nigdy nie chybiła! Drżał Mingos, skoro dostrzegł Czyngaszguka podnoszącego strzelbę. Kiedyż Czyngaszguk celował dwa razy? Orzeł dostrzegłszy wigwam Czyngaszguka skrywał się w obłokach, musiał jednak zapłacić daninę ze swych piór. Ale

teraz? Patrzcie na te ręce, które drżą jako daniel, gdy usłyszy wycie wilka. Czy to oznaka starości? Od kiedy siedemdziesiąt zim może uczynić starym mohikańskiego wojownika? Ale to jest wina białych; ich napoje ogniste gorsze są od tomahawka, walą z nóg.

- Dlaczego więc Czyngaszguk pije? - zapytał Oliwier. - Dlaczego poniża w sobie szlachetną naturę, by stać się podobnym bydłociu?

- Bydłociu, powiadasz? Tak, słowa twoje są prawdziwe, synu Pożeracza Ognia! John stał się bydłociem! - mówił Indianin powoli, jakby ważąc każde słowo. - Dawniej nie błyskały ognie przybyszów na tych górach. Ojcowie moi przyszli znad brzegów wielkiego jeziora, żyli w spokoju, gromadzili się wokoło ogniska na rady. Przybyli do twego dziada, jeżeli podnosili tomahawki, to chyba dla roztrzaskania czaszki Mingosa. Czyngaszguk nie był wtedy bydłociem! Ale nadeszli biali, przynieśli wielkie noże i arak, pogasili ognie Indianom i opanowali ich lasy. W ich flaszkach i baryłkach siedziały złe moce, które wypuścili na nas. Tak, Młody Orle, powiedziałaś prawdę, John jest bydłociem!

- Przebacz mi, przebacz - zawołał młodzian, ściskając dłoń Mohikanina - nie powinienem był czynić ci wymówki. Niech przekłętą będzie chciwość, która zniszczyła tak szlachetne plemię!

Indianin rozchmurzył się nieco i rzekł innym już tonem: - Tyś potomkiem Orła Delawarów, mój synu, ty więc powinienes strzelać do ptaka.

- Od razu odniosłem wrażenie, że w tym hardym młodziku płynie krew indiańska - szepnął Ryszard - wnioskowałem to z jego obcesowego rzucenia się na moje konie! Pomimo to dam mu jeszcze od siebie szylinga na strzał drugi. Zdaje mi się, że już rozpoczęła się zabawa świąteczna; jak wiesz, strzelanie do indyka jest z dawna przyjętym obyczajem, słysząc tam w dali wrzawę i śmiechy. To mówiąc, Ryszard uczynił krok naprzód, wstrzymała go Elżunia.

- Niegrzecznie byłoby dać mu szylinga - szepnęła.

- Sądzisz, że odmówi? - odrzekł Ryszard drwiąco. - Mylisz się, przyjmie chętnie szylinga i kieliszka nie odmówi, chociaż tak niby powstaje przeciw pijaństwu.

- Pozwól mi załatwić tę sprawę - rzekła Elżunia i odsuwając Ryszarda, zbliżyła się do stojących na polance.

Ukazanie się jej zakłopotало Edwarda, uczynił ruch, jakby chciał się oddalić, lecz ochłonawszy nieco, uchylił czapki, pozdrowił uprzejmie pannę Temple i wsparty o strzelbę, pozostał na miejscu. Natty i Mohikanin nie okazali wcale zdziwienia. Elżbieta, zwracając się do wszystkich trzech razem, rzekła wesoło:

- Dowiaduję się, że zwyczaj strzelania do indyka w pierwszy dzień Świąt zachował się wśród tutejszych mieszkańców. Chciałabym też spróbować szczęścia. Kto podejmie się mnie wyręczyć?

- Czyż to zabawa odpowiednia dla kobiety? - odrzekł młody strzelec, bez ogródek wypowiadając myśl swoją.

- Dlaczego by nie? - odparła Elżunia zapłoniona. - Nie do pana zwracam się o zastąpienie mnie ale sądzę, że dawny mieszkaniec tych lasów, dzielny Natty Bumpo nie odmówi mi i raz za mnie odda strzał do ptaka. - To mówiąc podała mu szylinga, który wnet zniknął w jego kieszeni. Bumpo rzekł spokojnie:

- Niesłusznie Oliwier powiada, że dla kobiety nie jest to odpowiednia zabawa, sam bowiem widziałem jak holenderskie niewiasty nad brzegami Mohawku strzelały do celu i nikt im tego nie brał za złe. Jeżeli tylko Billy Kirby nie postrzelił już ptaka, to za kilka minut przyniosę go pani.

- Ale mój będzie pierwszy strzał, pamiętaj Natty - zawołał żywo Oliwier. - Niech pani wybaczy - dodał - moją niegrzeczność, ale ogromnie mi zależy na zabiciu ptaka i dlatego domagam się pierwszeństwa.

- Nie żądam wcale, abys się pan go zrzekł dla mnie - odrzekła Elżunia. - Wierzę w sprawność ręki i dobre oko Bumpa, on będzie moim rycerzem - dodała z uśmiechem, na który stary strzelec odpowiedział jakby porozumiewawczym skinieniem głowy.

Ruszono ku miejscu, z którego dolatywały głośnie śmiechy. Ryszard szepnął ze zdumieniem: - Skąd ci przyszła fantazja, moja droga, zdobyć tego indora? Przecież masz ich bez liku! Po co, okazywać tyle uprzejmości tym włóczęgom - dodał przyszły szeryf wyniosłym tonem.

- Pozwól mi postąpić, jak mi się podoba - odparła Elżunia. - Cieszę się, że pozyskać mi się udało tak niezrównanego strzelca jakim jest Bumpo.

- A więc chodźmy popatrzeć jak się bawią ludziska - zawołał Ryszard. - Nie obawiaj się niczego, gdy jesteś przy moim boku.

- Córka sędziego Templa nie zna uczucia lęku! - zapewniła Elżunia.

Zbliżyła się do placu, na którym zgromadziło się dużo osadników przyglądając się zabawie. Wobec braku widowisk, każdy najdrobniejszy fakt nabierał w Templtonie niezwyklego znaczenia. Pewien wyzwolony Murzyn sprowadzał ogromną ilość indyków na święta. Już do niektórych zaczęto strzelać, ale najlepsi strzelcy czekali na najpiękniejszego indora. Ptaka przywiązywano za nogę do sosny. Murzyn otrzymywał zapłatę za każdy oddany strzał, a ponieważ dużo ludzi chybiało, zbierał sporo szylingów ku uciesze widzów.

Przybyło już około trzydziestu strzelców, pomiędzy którymi rej wodził drwał, Billy Kirby, strzelec doskonały i gaduła jakich mało. Przechwałkom nie było końca, każdy miał coś do opowiedzenia ze swych myśliwskich przygód. Zarówno Natty Bumpo jak Billy Kirby, mieli sławę znakomitych strzelców, przy tym Kirby był ogromnie hałaśliwy i odznaczał się niebywałą siłą. Całymi tygodniami przesiadywał w oberżach, dopóki nie przepił wszystkiego, co posiadał.

Wówczas wyruszał do lasu z siekierą i strzelbą i pracował od świtu do nocy, a zarobiwszy w ten sposób nieco grosiwa, znowu wędrował po karczmach i tak ciągle w kółko.

W chwili, gdy Bumpo zwany pospolicie Skórzaną Pończochą, zbliżał się z towarzyszami, Billy płacił właśnie Murzynowi za swój strzał i stanął na wyznaczonym miejscu. Indyk był już przywiązany i cały ukryty w śniegu; widać było tylko głowę z czerwonym podgardlem. Ptaka należało trafić w szyję lub głowę; nawet jeśli kula musnęła choćby parę piórek, strzelec otrzymywał nagrodę, ale gdyby kula przebiła mu tułów ukryty pod śniegiem, indyk stawał się własnością Murzyna Bruma. Warunki te zostały obwieszczone donośnym głosem przedsiębiorcy siedzącego na śniegu nie opodał indyka.

Niespodziewane przybycie Elżuni sprawiło na obecnych pewne wrażenie. Ustały krzyki i śmiechy, ale przekonawszy się, że córka sędziego zamierza być widzem zabawy, odzyskano znów dobry humor, a uprzejmy uśmiech dziewczęcia zdawał się jeszcze bardziej zachęcać do wesołości.

- Hej, z drogi! - krzyknął drwał. - Ja teraz strzelam. Brumie, pożegnaj się ze swym indorem!

- Następny strzał mój - rzekł Oliwier Edwards, zwracając się do Murzyna. - Oto szyling ode mnie.

- Musisz mieć dużo pieniędzy, jeżeli płacisz z góry za strzał, który prawdopodobnie nie nastąpi, bo mój nie zawiedzie - przechwalał się Billy Kirby. - Masz dziurę w ramieniu, wobec czego Brum może nawet pozwolić ci strzelić za połowę opłaty, bez obawy stracenia indyka.

- Nie gadaj zbyt wiele, Billu - rzekł Bumpo - masz prawo tylko do jednego strzału, a gdyby temu młodzieńcowi nie dopisała zraniona ręka, moja rusznica jest w pogotowiu.

- Patrzcie proszę! Skórzana Pończocha tu się znalazła! Dobrze, dobrze spróbujmy kto celniej strzela! - wołał Billy. - Ale uprzedzam, że sprzątnę wam pieczone sprzed nosa!

Drwał wycelował i strzelił. Indyk zatrzepotał skrzydłami, a potem usadowił się znowu i niespokojnie rozglądał się dokoła.

- Dobry z ciebie ptak! - wrzasnęła Murzyn, tarzając się z radości po śniegu i obejmując indyka. Jeszcze jeden szyling, Billy i strzelaj po raz drugi.

- O nie, ten strzał do mnie należy - zawołał Oliwier stanowczym tonem. Złożył się, wycelował, ale Natty przeszkodził mu:

- Jesteś zbyt niespokojny, twa ręka drży, daj pokój! Pozwól mi stanąć na twoim miejscu: jeśli zabiję ptaka, łatwo ułożymy się z panną Temple.

- Sam będę strzelał! - odpowiedział krótko Edwards.

Ale i jemu szczęście nie dopisało. Kula nie utraciła nawet jednego piórka z głowy ptaka.

Elżunia dostrzegła, że twarz młodzieńca zachmurzyła się i zdziwiło ją bardzo, iż widocznie przywiązywał wagę do zdobycia nagrody o tak małej cenie.

Teraz z kolei Natty Bumpo stanął na stanowisku. Powoli zsuwał skórzany futerał ze swej długiej strzelby, wysunął prawą nogę, wymierzył, pociągnął za cyngiel, lecz tylko dał się słyszeć przygłuszony trzask, proch spalił na panewce.

Murzyn nie posiadał się z radości.

- Nie wolno strzelać powtórnie - wołał - nie wolno! Nowy strzał kosztuje nowego szylinga.

- Kto lepiej zna prawa strzeleckie? - oburzył się Bumpo. - Kto zdoła dowieść, że spalenie na panewce należy uważać za strzał?

Billy Kirby stanął po stronie Murzyna, a ten znów zwrócił się do Ryszarda, żeby wydał sąd w tej sprawie.

Ryszard, zadowolony z okazji odegrania roli w sporze, przychylił się do zdania Billy Kirby.

- W pojedynku - rzekł - spalenie na panewce uchodzi za pełny strzał. Dlaczegoż by nie miało być tak samo przy strzelaniu do celu? Jeżeli Nataniel Bumpo chce strzelać raz jeszcze, musi zapłacić szylinga.

- Chciałbym wiedzieć, co sądzi o tym panna Temple? - mruknął stary strzelec. - Jeśli powie, że nie mam racji, ustąpię natychmiast.

- Jestem tego samego zdania, co mój kuzyn - rzekła Elżunia - lecz chętnie zapłacę szylinga Brumowi, aby Bumpo mógł raz jeszcze strzelić. Wolałabym jednak, dać Murzynowi dolara za indyka i zakończyć w ten sposób tak okrutną zabawę!

Propozycja dziewczęcia nie trafiła nikomu do przekonania; obecni pragnęli, aby widowisko jak najdłużej trwało, a Murzyn spodziewał się osiągnąć daleko większe zyski za chybione strzały. Billy Kirby miał teraz pierwszeństwo, podniósł strzelbę i składał się do drugiego strzału. Wreszcie rozległ się huk donośny i w ślad za nim okrzyki Murzyna, objawiającego swą radość, indyk bowiem pozostał zdrow i cały.

- Stul dziób, podły kruku! - zawołał drwal rozgniewany. - Kto to widział, żeby trafić o sto kroków w sam łeb indyka? Głupstwo zrobiłem, zem się wdawał z tobą!

Murzyn nic sobie nie robił z tych uwag, fikał kozły, tańczył i cieszył się na swój sposób.

- Jeśli chcesz wiedzieć, jak się trafia o sto kroków, to wyteż wzrok. Teraz moja kolej - rzekł Bumpo i z wielką pewnością siebie stanął i mierzył z natężoną uwagą.

Wystrzelił wreszcie. W pierwszej chwili nic nie można było dostrzec, prócz obłoczka dymu, ale Elżbieta odgadła po wyrazie twarzy Bumpa opierającego kolbę o śnieg i po charakterystycznym jego bezgłośnym śmiechu, że tym razem odniósł triumf. Okazało się, że trafił indyka w głowę. Dzieci podniosły zabitego ptaka i podały zwycięzcy, ale on rzekł:

- Złóżcie go u nóg tej młodej pani. Dla niej strzelałem, więc do niej należy.

Elżbieta uśmiechnęła się życzliwie, mówiąc do starego strzelca:

- Byliście tak dobrym moim zastępcą, że należy się wam ode mnie podzięką. Pragnęłam przekonać się osobiście o mistrzostwie strzeleckim Skórzanej Pończochy.

Po czym dodała, zwracając się do Edwardsa:

- Panu zaś, jeśli pan pozwoli, ofiaruję tego indyka, ponieważ zranione ramię nie dozwoliło panu otrzymać nagrody zręczności.

Niepodobna opisać wyrazu, z jakim młody strzelec przyjął podarek z rąk Elżuni. Walczyły w nim sprzeczne uczucia radości i wewnętrznej niechęci. Skłonił się tylko w milczeniu i podniósł indyka z zadowoleniem.

Elżunia podała Murzynowi sztukę srebra, chcąc go pocieszyć po doznanej stracie. Zamierzała już wracać do domu, ale Ryszard prosił, aby zatrzymała się chwilę, gdyż jako wielki formalista zauważył, że sport nie odbywa się wcale według ustalonych zasad. Zaproponował więc organizatorom zabawy, żeby przybyli do niego nazajutrz na naradę, a on im ułoży ustawę strzelecką.

W chwili, gdy długo i szeroko przemawiał na ten temat do zgromadzonych, uczył naraz czyjąś rękę na swym karku. Odwrócił się, oburzony zuchwałością, ale natychmiast udobruchał się, widząc, że to sędzia Temple podszedł niepostrzeżenie, by go powitać i złożyć świąteczne życzenia przyszłemu szeryfowi.

- Masz doprawdy osobliwe pomysły - zawołał sędzia, wznosząc ramionami. - Po co było przyprowadzać Elżunię na takie widowisko?

- To ona właśnie mnie tu przywiodła - odpowiedział Ryszard - strzelanina tak ją pociągnęła, jak gdyby chowana była w obozie, a nie na pierwszorzędnej pensji. Ale, ale, przede wszystkim dziękuję ci serdecznie za łaskawą protekcję. Nigdy nie zapomnę ci tego. Co się tyczy tej niebezpiecznej zabawy, sądzę, że należałoby prawnie ją ograniczyć a nawet zabronić.

- To już twoja rzecz, panie szeryfie - odrzekł sędzia z pogodnym uśmiechem.

Ryszard prowadząc sędziego na stronę, szepnął tajemniczo:

- Ten młodzieniec z postrzeloną ręką wydaje mi się nieco podejrzany. Trzeba będzie mieć go na oku.

- To już moja rzecz, kochany Ryszardzie, właśnie rad jestem, że go tu spotykam, mam z nim do pomówienia. Zbliźmy się do strzelców.

Rozdział IX - Oliwier zostaje sekretarzem - sędziego Temple

Oliwier Edwards stał wsparty na strzelbie nie opodal Bumpa i starego Mohikanina. Sędzia podszedł wraz z Elżunią do Oliwiera i powitawszy go uprzejmie, rzekł:

- Nie zapomnę nigdy, że pana mimo woli zranił, ale mam nadzieję, że rana wkrótce przestanie już dolegać. Ponieważ mój krewny, będący dotąd moim sekretarzem i pomocnikiem pełnić będzie urząd szeryfa, chciałbym, aby pan zajął jego miejsce. Sądzę bowiem, że potrzebuje pan stałego zajęcia i nie zamierza trudnić się jedynie myślistwem. Zapewnię panu odpowiednie wynagrodzenie wraz z mieszkaniem i utrzymaniem w moim domu.

Edwards, zaskoczony niespodzianą propozycją, zmieszał się. Przez chwilę jakby toczył walkę z sobą, po czym odpowiedział.

- Nie taję, że chciałbym bardzo zarobić na swe utrzymanie, ale pracując u pana, musiałbym z konieczności zaniedbać daleko ważniejsze powinności, najlepiej więc będzie pozostać tym kim jestem dzisiaj, strzelcem utrzymującym się z myślistwa.

- Widzisz Elżuniu - szepnął Ryszard - jaką ci mieszańcy mają odrazę do życia cywilizowanego, wolą obcować z dziką przyrodą, niż pracować, jak się należy.

Sędzia starał się przełamać opór młodzieńca, dla którego uczuł wielką sympatię.

- Życie, jakie pędzi pan teraz - mówił - naraża pana na wiele niewygód; a u mnie będzie się pan czuł jak w rodzinnym domu - zapewniał Temple uprzejmym tonem.

Elżunia życzliwym spojrzeniem popierała prośbę ojca; ale najbardziej przekonujące okazały się rady starego wodza:

- Słuchaj, co mówi Wielki Wąż - rzekł Mohikanin - głos starości ma swe znaczenie. Niech Młody Orzeł zamieszka bez obawy pod dachem białego. Dlaczego brat Mikona i Młody Orzeł mieliby być wrogami? Są to dwie latorośle wyrastające z jednego pnia, ojcowie ich i matki są sobie pokrewni. Naucz się czekać, mój synu. W żyłach twoich płynie krew Delawarów, a pierwszą cnotą wojownika indiańskiego jest cierpliwość.

Słowa te dla innych niezrozumiałe, zdawały się wywierać wielkie wrażenie na młodzieńcu. Pod ich wpływem zgodził się przyjąć proponowaną posadę, pod warunkiem jednak, że będzie to tylko próba i że każda ze stron ma prawo odstąpić od umowy, o ile to uzna za stosowne.

Rozstano się w wielkiej zgodzie. Sędzia z Ryszardem i Elżunią udali się do domu, a Bumpo z Edwardsem i Mohikaninem do lasu.

Młodzieniec szedł zamyślony ze spuszczoną głową.

- Któż by przewidział przed miesiącem, że zgodzę się żyć pod jednym dachem z największym wrogiem? - zawołał z goryczą. - Lecz to upokarzające położenie nie potrwa długo,

niebawem otrząsnę z siebie te pęta!

- W czymże okazał się twym wrogiem? - zapytał Mohikanin. - Wojownik delawarski spokojnie umie oczekiwać na Wielkiego Ducha zrządzenia. Nie krzyczy jak kobieta lub dziecko i nie narzeka.

Natty Bumpo, wiecznie niezadowolony ze stanu rzeczy, począł mruzczyć po swojemu:

- Podobno mają wyjść jakieś nowe ustawy w kraju. Wszystko się zmieniło w naszych górach! Lasy rzedną powoli, zaledwie poznać można jeziora i rzeki. Nie dowierzam pięknym słówkom białych; przemawiają kusząco, a chcieliby zagarnąć jak najwięcej ziemi należącej z dawien dawna do Indian. Powiadam to wam szczerze, choć sam należę do rasy białych i urodzony jestem niedaleko Yorku.

- Poddaję się konieczności - będę się starał zapomnieć kim jestem - rzekł Edwards - nie przypominajcie mi, że pochodzę od wodza delawarskiego, do którego należały niegdyś te piękne jeziora i przepyszne góry. Stanę się na pewien czas sługą i niewolnikiem. Powiedz mi stary Mohikaninie, czyż nie jest zaszczytna przyczyna mojej niewoli?

- Stary, powiadasz? - podchwycił Indianin tonem uroczystym i przeciągłym. Tak, Czyngaszguk jest stary, synu mojego brata. Gdyby był młody, czyż strzelba jego odpoczywałaby kiedykolwiek? Jaki zwierz ukryłby się przed jego kulą? Teraz drżąca ręka podnosi tylko tomahawek dla odcięcia gałązek wikliny, by z niej upleść koszyk. Starość i głód idą w parze. Spójrz na Sokole Oko, którego dziś zwa Skórzaną Pończochą, kiedy był młody całe dni mógł spędzać bez jadła, a dzisiaj i on zestarzał się. Wierz mi, Młody Orle, bierz rękę, którą ci syn Mikona podaje i będzie ci z tym dobrze.

- Nie jestem już tym, kim byłem kiedyś, Czyngaszguku - odezwał się Bumpo - jednak potrafię w razie potrzeby obchodzić się bez pokarmu przez dzień cały. Mam lat sześćdziesiąt osiem, ale pościg mogę robić jeszcze i dzisiaj, jeśli się zdarzy. Przypominasz sobie te czasy, gdyśmy prześladowali Irokezów? Oni całą zwierzynę gnali przed sobą, tak że nie mieliśmy przez trzy dni co do ust włożyć. Udało mi się wówczas zastrzelić rosnącego jelenia. Rozkoszą było patrzeć, z jaką chciwością pożerali go zgłodniaли Delawarowie, z którymi właśnie szedłem na wyprawę. Byłem tak wyczerpany, że nie czekając na kawał mięsa pożywiłem się krwią, a Indianie jedli surowe mięso. Takich wysiłków nie wytrzymałbym pewno teraz, chociaż nie jadam zbyt wiele naraz i jestem skory do wyrzeczeń.

- Dostyc tego, kochani przyjaciele - zawołał Edwards. - Rozumiem, że ofiara z mojej strony jest konieczna i poniosę ją bez szemrania. Nie mówmy o tym więcej, błagam was, jest to bardzo przykry dla mnie w tej chwili temat.

Towarzysze zamilkli i wkrótce wszyscy trzej wędrowcy przybyli do chaty Bumpa

zamkniętej na sporządzony przez niego zamek.

Jednocześnie w drodze powrotnej do domu rozmawiali Temple, Ryszard i Elżunia. Sędzia żartował sobie:

- Pojąć nie mogę, co mój dom ma tak nieprzyjemnie działającego na Edwardsa, że ledwie dał się namówić na przyjęcie posady. Zapewne twoja postać tak go przeraża, moja Elżuniu?

- Mam wrażenie, że ma nieco obłąkane oczy - wtrącił Ryszard.

- Zauważyłam tylko, że wyrażały dumę wcale nie na miejscu! Ojciec wytrzymał istną próbę cierpliwości z tym upartym młodzieńcem - dodała Elżunia, wzruszając ramionami. - Najlepiej byłoby zostawić go w lasach z jego wielkopańskimi tonami! Jemu się widocznie wydaje, że czyni nam zaszczyt. Gdzież będzie jadać?

- Z Beniaminem i ochmistrzynią naturalnie - pochwycił Ryszard, odpowiadając za sędziego.

- Nie sposób sadzać go do obiadu z Murzynami, Indianie bowiem mają czarnych w pogardzie. Umarłby raczej ów hardy młodzieniec, niż przystał na spożywanie jadła z Murzynem.

- Daleki jestem od tej myśli - odrzekł sędzia z powagą - życzeniem moim jest, aby zasiadał z nami do wspólnego stołu. Co sądzisz o tym, Elżuniu?

- Chętnie przystaję, ojczulku, na wszystko, co sam uznasz za stosowne - odparła.

Wieczorem przyszła Ludwika, z którą Elżunia podziwiała, przez okno, nagłą zmianę zaszłą w ciągu dnia. Śniegu nie było już ani śladu, deszcz zmył go z dachów, na których sterczały okopcone kominy, sosny otrząsały płatki śnieżne i cały Templton przybrał zwykły swój wygląd.

Dziewczęta zaprzyjaźniły się szybko. Elżunia opowiadała Ludwice o różnych swych przygodach z lat dziecinnych, przy czym twarz jej zaróżowiła się. Ludwika miała cerę matowo bladą i dużo wdzięku w spojrzeniu smutnych nieco oczu.

Panowie długo jeszcze siedzieli przy stole po kolacji, racząc się doskonałym winem. Od czasu do czasu słyhać było głośnie wybuchy wesołości, zwłaszcza Ryszard przodował pod tym względem. Kiedy wszyscy przeszli do salonu, Beniamin przyniósł nowy zapas drzewa podsycając ogień na kominku.

- Jak to, Ben Pompo? - zawołał nowy szeryf. - Czyż sądzisz że madera sędziego nie dość jeszcze nas rozgrzała?

- Może być - odrzekł Beniamin z poważną miną - żeście się znaleźli panowie u stołu biesiadnego pod bardzo gorącą szerokością, ale ja, który spędziłem dwadzieścia siedem lat na morzu i siedem w tych górach, mogę zapewnić, że w nocy będzie przejmujące zimno.

Istotnie przepowiedziana przez Beniamina zmiana pogody nastąpiła w niespełna godzinę. Powietrze oziębiło się znacznie; sędzia zatrzymał na noc Granta i jego córkę, ku wielkiemu zadowoleniu Elżuni. Obie panny rozmawiały jeszcze długo w swej sypialni, a świst wichru

północnego nie dawał im zasnąć. Naraz usłyszały przeciągłe wycie. Elżunia sądziła, że to są psy Natty Bumpo, ale Ludwika poznała od razu znane, już sobie odgłosy.

- To wycie wilków - rzekła - one schodzą z gór i posuwają się aż do miasteczka, szukając zera. Raz były pod naszymi drzwiami. Ach, jakąż to straszną noc przeżyłam wtedy! - Elżunia wzdygnęła się, ale zawołała wnet rażno:

- Wkrótce wszystkie wyginą! Cywilizacja czyni szybkie postępy, a w miarę jak się człowiek posuwa, dzikie zwierzęta ustępują.

Wycie słychać było jeszcze przez jakiś czas, wreszcie zginęło w oddali. Dwie przyjaciółki smacznie zasnęły. Rano Elżunia zbliżywszy się do okna, zauważyła, że gruba warstwa lodu pokrywa szyby.

W gładkiej lodowej powierzchni jeziora odbijały się promienie wschodzącego słońca, jak gdyby w zwierciadle. Ogromne sople lodu, zwieszające się z dachów, błyszcząły jak kryształowe ozdoby żyrandoli. Niezmiernie pięknie przedstawiał się widok lasów okrywających okoliczne góry. Gałęzie drzew zdawały się pokryte lśniąca gaza, migotały barwami tęczy.

- Spójrz Ludwisiu - zawołała Elżunia - na tę dziwną zmianę! Panna Grant podeszła do okna, po czym cofnąwszy się nieco, szepnęła:

- Zadziwiająca zmiana - zdumiona jestem, jak się to stało w tak krótkim czasie!

Elżunia nie rozumiała w pierwszej chwili o czym mowa, lecz zwróciwszy oczy w kierunku spojrzenia Ludwiki, dostrzegła naraz Edwardsa rozmawiającego z jej ojcem u drzwi domu. Był bardzo starannie ubrany, co go zmieniło nie do poznania.

- Wszystko jest niezwykle w tym kraju - zauważyła ze śmiechem. - Rozumiem teraz, że to przeobrażenie odwróciło twoją uwagę od czarodziejskiego widoku, jaki mamy przed sobą!

Ludwika rzuciła okiem na góry i jezioro, lecz po chwili rzekła jakby do siebie:

- Co dziwniejsze, podobno krew indiańska płynie w jego żyłach.

- Trzeba przyznać - odpowiedziała Elżunia z filuternym uśmiechem - że ma minę bardzo dobrze wychowanego dzikusa! Chodźmy przyrządzić herbatę temu potomkowi władców indiańskich.

Panny zbiegły na dół i w przedsionku spotkały sędziego, który uprzedził Elżunię, aby nie pytała nigdy Edwardsa o jego przeszłość i pochodzenie, prosił bowiem o to, jak o szczególną łaskę.

- Bardzo dobrze, mój ojciec, zapewniam cię, że wcale nie jestem tego ciekawa. Przypuszczam będę, że jest synem jakiegoś sławnego wodza, może nawet Wielkiego Węża i stosownie do tego będę z nim postępowała aż do chwili, gdy mu przyjdzie naraz ochota zgolić piękną czuprynę, zostawiając tylko mały kosmyk włosów na czubku głowy, zawiesić strzelbę na ramię i powrócić do lasów tak nagle, jak tu przybył. A teraz chodźmy do jadalni zobaczyć z bliska to

dziwo, gdyż zdaje mi się, iż twój sekretarz, ojczulku drogi, niedługo tu zabawi.

Sędzia uśmiechnął się widząc, że Elżunia jest w wyborym humorze i wprowadził obie panienki do salonu, gdzie Edwards siedział przy ogniu i patrzył w zadumie na wzlatające w górę iskry.

I oto w domu sędziego Templa upływały dni za dniami, nie przynosząc już żadnych zmian. Major wyjechał, przyrzekając powrócić za trzy miesiące. Ryszard z zapalem zabrał się do sprawowania swego urzędu, Edwards wypełniał powierzone sobie obowiązki z wzorową ścisłością, sędzia miał dużo zajęć z powodu coraz to nowych próśb o udzielenie gruntu do uprawy przybywającym wciąż osadnikom, a Elżunia z Ludwiką były prawie nierozłączne. Urządzały najczęściej spacery i zabawy na jeziorze pokrytym lodową powłoką. Jeździły sankami, a Edwards, który im zwykle towarzyszył, dawał dowody niepospolitej zręczności łyżwiarskiej. Nieśmiałość jego znikła powoli, chwilami jednak bywał zamyślony, jakby nie mogąc pogodzić się ze swoim obecnym położeniem. Część wieczorów, a nieraz i całe noce spędzał w ubogiej chatce Bumpa. Natomiast stary wódz indiański rzadko pokazywał się w domu sędziego, a Natty wcale tam nie bywał.

Rozdział X - "Uwaga! Drzewo się wali!..."

Z nadejściem wiosny śniegi poczęły topnieć pod wpływem ciepłych wiatrów.

W piękny marcowy dzień szeryf poddał myśl konnej przejażdżki na górę położoną nad jeziorem, z której odsłaniał się malowniczy i wspaniały widok. Po drodze zatrzymano się przed sklepem pana Le Quoi, zapraszając go do wzięcia udziału w wycieczce, na co zgodził się chętnie.

Ryszard dowodził sędziemu, że to jest najwłaściwsza pora do wyrabiania cukru z klonów.

Le Quoi, który przebywał czas jakiś w Indiach Zachodnich, opowiadał o przetworach z trzciny cukrowej.

- Wiem, wiem - mówił wszytkowiedzący szeryf - trzcina cukrowa to jest nazwa pospolita, naukowa zaś brzmi "saccharum officinarum", a nasz klon cukrowy zowie się "acer saccharinum".

- Czy to po grecku, czy po łacinie? - zapytała Elżunia, jadącego przed nią Oliwiera, torującego drogę w zaroślach - a może są to wyrazy jeszcze bardziej uczonego języka, które pan tylko potrafi wytłumaczyć?

Czarne oczy młodzieńca zabłyśły gniewem, ale spotkawszy pogodne i wesołe spojrzenie Elżuni zmieniły wnet wyraz.

- Przypomnę sobie pytanie pani, przy pierwszym widzeniu się ze starym Mohikaninem - odrzekł z uśmiechem.

- Więc pan nie zna jego języka? - pytała z żywością młodzieńca amazonka.

- Bardzo mało - odpowiedział Oliwier - natomiast znam lepiej język ojczysty pana Le Quoi.

- Mówi pan po francusku? - zawołała dziewczę ze zdumieniem.

- Jest to język używany przez Irokezów i w całej Kanadzie - odrzekł młodzieniec z dziwnym uśmiechem.

- Wszak Irokezi są waszymi nieprzyjaciółmi, których nazywacie Mingosami - zauważyła Elżunia.

- Dałyby nieba, abym nie miał niebezpieczniejszych - zawołał Oliwier i spiąwszy konia ruszył naprzód, aby nie być zmuszonym do wykrętnych odpowiedzi.

Ryszard tymczasem zwracał wciąż uwagę sędziego, jako właściciela lasów, że głębokie nacięcia zrobione były w pniu każdego niemal klonowego drzewa; po żłobku z kory olchowej spływał sok do drewnianego, niezgrabnie wydrążonego naczynia, przy czym większa część słodkiego płynu wylewała się na ziemię. Dosięgnąwszy wierzchołka góry, towarzystwo zatrzymało się na chwilę, aby konie wytchnęły i by podziwiać rozległy widok. Naraz dał się słyszeć donośny śpiew:

"Płyn nam słodczy - płyn w cukrowym soku,

twój roztwór wrzący niech zgęszczą płomienie,
sen słodki na mym nie usiądzie oku,
póki w głąz twardey ciebie nie zamienię.

"

Śpiewał tę pieśń, bardzo wśród osadników rozpowszechnioną, Billy Kirby, któremu szeryf przyklaskiwał, a nawet zażądał od drwala, aby dostarczył mu jej odpis. Billy uchodził za najlepszego fabrykanta cukru krajowego i gotował sok z klonu w ogromnych kotłach. Pan Le Quoi począł targować się o cenę dla nabycia go do swego sklepu. Złośliwy Billy, mając wrażenie, że drwią z niego, ogromną łyżką począł mieszać wrzący płyn, następnie, ochłodzwszy go nieco, podał Francuzowi do spróbowania.

Le Quoi bojaźliwie przybliżył łyżkę do ust, a ponieważ brzegi jej nie były gorące, przeto bez żadnej obawy wychylił sporą dozę i tak się straszliwie oparzył, że przez chwilę wykrzywił się w niemożliwy sposób. - "Nogami wywijał jakby pałkami na bębnie" - opowiadał następnie Billy swym przyjaciołom - "kłął mnie po francusku, ale nic nie zrozumiałem. Dobrze mu tak, po co sobie żarty ze mnie stroi!"

Droga przez las, była właściwie wąską ścieżyną; nad nią splatały się gałęzie drzew nie dopuszczając prawie światła dziennego. Ziemia bardzo jeszcze wilgotna utrudniała bieg koniom, musiano miejscami jechać stępą, gdyż wyniosłe karcze wystawały nad ziemią. Trzeba było przebyć mostek, rzucony przez niewielką rzeczkę; koń Ryszarda przeszedł go ze zdumiewającą ostrożnością, a Elżunia zaciąwszy pejczem swego wierzchowca, przesadziła most jednym skokiem.

- Powoli, dziecko, powoli! - krzyknął sędzia przerażony - nie sądz, że w tym kraju można uprawiać gonitwy konne!

- Musiałabym chyba wyrzec się konnych spacerów, gdybym zamierzała czekać na poprawienie dróg w tych dzikich stronach! - zawołała Elżbieta. - Kiedyś opowiadałeś mi, ojczulku, o pierwszych swych wrażeniach z pobytu wśród nieprzebytych lasów; przypominam sobie jak przez sen to, co słyszałam od ciebie w dzieciennych latach.

- O tak, dziecko drogie, dużo przeżyłem trosk, przeszkód i niewygód, a nawet zaznałem głodu. Nie uwierzyłybyś może, iż jeszcze przed pięciu laty mieszkańcy tych lasów żywili się wyłącznie owocami rosnącymi dziko i upolowaną zwierzyną. Mało było produktów europejskich na targach, a te sprzedawano po niezmiernie wysokich cenach. Pierwsi osadnicy mają olbrzymie trudności, zanim zdołają sobie zabezpieczyć byt. Pamiętam doskonale ten poranek, kiedy przybywszy tu z kilku towarzyszami pozostawiłem ich w, tak zwanej dziś, Wiśniowej Dolinie, a sam wdrapałem się na szczyt góry, z której roztaczał się prześliczny widok. Nigdzie nie można było dostrzec ludzkiej siedziby, tylko stada ptaków unosiły się nad szklanym jeziorem i

niedźwiedzie piły w nim wodę. Przedzierając się następnie przez gąszcz leśny, ujrzałem smugę dymu i tam skierowałem swe kroki.

- To była chata Nataniela Bumpo! - zawołała Elżunia, której ten szczegół utkwiał w pamięci.

- Tak to był początek naszej znajomości - potwierdził Temple. - Bumpo swoim czółnem przywiózł mnie do miejsca, gdzie zostawiłem konia, następnie spędziłem noc w jego chacie.

Oliwier przysłuchiwał się uważnie opowiadaniu i zagadnął z właściwym sobie uśmiechem.

- A czy Bumpo okazał się gościnnym gospodarzem?

- Bardzo był uprzejmy dla mnie, aż do chwili, gdy dowiedział się w jakim celu tu przybyłem. W osadnikach widział ludzi przywłaszczających sobie jego prawa, przede wszystkim zatrzażała go utrata swobód łowieckich, uważał również, że dzieje się krzywda dawnym właścicielom tej ziemi - Indianom. Od czasu jednak zakończenia wojny o niepodległość Ameryki, roszczenia Indian musiały upaść. Nabyłem tę ziemię na mocy ustaw krajowych, uważam się więc słusznie za prawowitego jej właściciela.

- Czy wtedy był pan już właścicielem tych posiadłości, czy przybył pan dopiero, żeby je oglądać? - wtrącił Edwards z niezwykłym u niego zaciekawieniem.

- Już od dawna do mnie należały, zwiedzałem je w zamiarze urządzenia tu osady - odparł sędzia. - Miejsce nad jeziorem wydało mi się najodpowiedniejsze.

Edwards nie pytał więcej, ale odsunął się nieco od całego towarzystwa, prowadzącego w dalszym ciągu rozmowę na temat osadnictwa.

Zerwał się silny wicher, wierzchołki drzew poruszyły się na wszystkie strony. Nagle usłyszano na przedzie głos Edwardsa, wyrażający wielkie przerażenie.

- Uwaga! Drzewo się wali! Uciekajcie co tchu!

Każdy zrozumiał od razu jakie niebezpieczeństwo im grozi. W puszczy nieraz się zdarza, że olbrzymie drzewa chylą się i upadają z łoskotem. Szeryf z Francuzem popędzili jak strzały, a sędzia porwał za cugle konia Elżuni, która zatrzymała się, nie zdając sobie sprawy z groźnego położenia. Łoskot podobny do gromu oznajmił runięcie ogromnej sosny, o parę kroków zaledwie od uciekających. Po drugiej stronie wywróconego drzewa sędzia dostrzegł Edwardsa ciągnącego za cugle wierzchowca Ludwiki, która zasłoniła twarz dłońmi z wielkiego przerażenia. Wszystkie konie drżały wyleknione.

Ludwika zachwiała się na siodle i byłaby spadła, gdyby jej Edwards zręcznie nie podtrzymał. Pozsiadano z koni, ułożono pannę Grant pod drzewem, starania Elżuni prędko ją ocuciły, po czym wszyscy udali się w powrotną drogę.

- Nagłe runięcie spróchniałych drzew stanowi największą klęskę tych lasów - mówił sędzia, spoglądając bacznie na prawo i na lewo.

Musiano przyśpieszyć kroku, gdyż śnieg zaczął obficie sypać. Po przybyciu do domu, dziewczęta, przemokłe do nitki, pobiegły szybko na górę, by się przebrać.

Ludwika, zsiadając z konia z pomocą Edwardsa, szepnęła z wdzięcznością:

- Ocaliłeś mi pan życie, nigdy nie zapomnę o tym. Niech to panu Bóg wynagrodzi!

Rozdział XI - Strzelanie do gołębi. - Przygoda Ben Pumpa - podczas połowu ryb - na jeziorze

Wiosna już była w całej pełni, pola pokrywały się zielonością, jaskółki świergotały wesoło nad oknami pokoju Elzuni, rozpoczynając budowanie swych gniazdek.

- Wstawajcie już moje panie! - dał się słyszeć głos Ryszarda. - Elzuniu! Elzuniu! Spójrz! Całe niebo przysłania w tej chwili stado gołębi! Beniamin przygotował amunicję, zaraz po śniadaniu udamy się na polowanie.

Niewyczerpany w pomysłach Ryszard wynalazł jakąś starą armatkę, którą kazał oporządzić, a Beniamin miał pełnić obowiązki artylerzysty. Powietrze roiło się od gołębi, a miasteczko całe pełne było ludzi z bronią w ręku, śpieszących na łowy. Nataniel Bumpo nie omieszkał również stawić się ze swą długą strzelbą i nieodłącznymi psami, ale nie brał udziału w zabawie. Ze wszystkich stron zaczęła się strzelanina. Coraz więcej postrzelonych ptaków spadało na ziemię. Bumpo okazywał swe niezadowolenie posępnym milczeniem, ale dostrzegłszy armatkę, wybuchnął gniewem:

- Oto są mądre urządzenia - zawołał. - Od czterdziestu lat widywałem te chmary gołębi przelatujące wiosną i na jesieni nad doliną, ale nigdy żadnemu z nich nie wyrządziłem krzywdy. Chyba Bóg ukarze tych ludzi, którzy tępią bezmyślnie niewinne stworzenia! Nawet Młody Orzeł zaciekle strzela dziś do gołębi, jakby miał Mingosów przed sobą! Co do mnie, jeśli chcę mieć pieczone z gołębia, zabijam jednego i basta!

Billy Kirby, uzbrojony w stary muszkiet, strzelał też nieustannie, nie celując wcale. Usłyszawszy głos Nataniela tuż przy sobie, odwrócił nagle głowę i rzekł wesoło:

- Czego zrzędzisz stary? Strasznie zrobiłeś się pyszny po zabiciu indora! Jeżeli tak umiesz celnie strzelać, to strąć, proszę, tego oto odbitego od stada gołębia, albo ja go zaraz trupem położę. To mówiąc wystrzelił we wskazanym kierunku, ale chybił. Bumpo miał strzelbę w pogotowiu i zaraz po Billym wycelował i strzelił. Gołąb, trafiony kulą, wywinął kilka koziółków w powietrzu i ze strzaskanym skrzydłem wpadł do jeziora, skąd wydobyła go wierna towarzyszka Nataniela, Juno, i złożyła jeszcze dyszącego ptaka u stóp swego pana.

Wszyscy obecni podziwiali mistrzowski strzał starego Bumpo. Sędzia Temple nakazał młodemu chłopakom, zebranych tłumnie, żeby dobijali zranione ptaki i obiecał im po sześć pensów za każde sto główek.

Najdłużej trwał na stanowisku Ryszard z Beniaminem, który zapewniał z powagą, iż armatka położyła jednym wystrzałem więcej gołębi, niż poległo ongi Francuzów w pamiętnym dniu bitwy wydanej przez admirała Bodney'a.

- Hurra! Zwyciężyliśmy na całej linii! - wołał Ryszard, kiedy pierwsze rzędy przerażonego ptactwa skłębiły się i zawróciły nagle ku wschodowi, a za nimi podążyła cała przysłaniająca niebo chmara gołębi.

* * *

Czas upływał niepostrzeżenie w jasne dni wiosenne, łagodne powietrze sprzyjało rozwijaniu się roślin, liście topoli amerykańskich drżały na wietrze, nawet opieszale dąb rozwijał swe pąki, a nad cichą powierzchnią jeziora rybak czatował na zdobycz.

Pewnego wieczoru sędzia z córką i Ludwiką udał się na spacer nad Jezioro Otsego, do miejsca skąd wypływał strumień. Edwards również towarzyszył w tej wyprawie.

Ryszard nie uznawał łowienia ryb na haczyk i zarządził połów niewodem, mający się odbyć następnej nocy.

- Wszystkich państwa zapraszam na to widowisko - zawołał szeryf - przekonam cię Marmaduku, że to jest bezowocna przyjemność siedzieć po kilka godzin z wędką w ręku, jak ty to nieraz czynisz.

To samo grono osób zebrało się więc nazajutrz przy blasku księżyca. Nad jeziorem płonęły duże ogniska, rybacy rozsiedli się dokoła. Benjamin z Ryszardem doglądali czy wszystko jest w porządku.

Benjamin, pogrążony wciąż w swych żeglarskich wspomnieniach, odezwał się do szeryfa:

- Dla tego, kto nie widział nigdy rekina, ryba ważąca dwadzieścia albo trzydzieści kilo może wydawać się czymś osobliwym, ale dla mnie to drobiazg...

- Co tam komu przyjdzie z rekina. A nasze okonie, szczupaki, łososie to przysmaki nie lada, godne choćby królewskiego stołu! - odparł Ryszard.

- W każdym razie w tym jeziorze trudno spodziewać się takiego połowu, jakie widywałem już w życiu! Trafiały się wieloryby takiej wielkości jak najwyższa sosna tej puszczy.

- Miarkuj się, Ben Pumpo! - powstrzymywał zapał starego żeglarza Ryszard Jones. - Wszak mamy świerki mierzące więcej niż dwadzieścia stóp.

- Cóż z tego? Widziałem na własne oczy wieloryby takiej wielkości jak ten świerk - upierał się Benjamin.

Billy Kirby, wpołleżący przy ogniu, wmieszał się do rozmowy:

- Moim zdaniem w tym jeziorze mógłby pływać swobodnie największy wieloryb, jaki został kiedykolwiek wymyślony - rzekł z powagą znawcy. - A co się tyczy głębokości jeziora, można by weń wsadzić tę oto sosnę, nad którą teraz księżyc świeci, zanurzyłaby się zupełnie i jeszcze ponad nią mógłby przepłynąć największy okręt, jaki kiedykolwiek zbudowano.

- A czyś widział kiedykolwiek okręt, Billy? - spytał Ben Pumpo oburzony. - Nic nie

widziałeś chyba prócz łódki zbitej z desek! Czy masz pojęcie co to jest okręt wojenny z trzema masztami?

- Czemu nie? - odrzekł Billy Kirby - nie lubiący cudzoziemców i zawsze gotów do sprzeczki. - Na Jeziorze Champlain są takie statki, których maszty mają po dziewięćdziesiąt stóp wysokości. Nie jedną sosnę zdarzyło mi się ściąć na owe maszty. Chciałbym być kapitanem takiego statku a ciebie widzieć na pokładzie jednego z wojennych okrętów angielskich, dałbym ci poznać z jakiego drzewa Jankes wyciosany!...

- Trzeba zbliżyć się do nich - rzekł sędzia - sprzeczka bowiem zamieni się w kłótnię. Benjamin to niepoprawny samochwał, a Billy, syn lasów, jest przekonany, że jeden Amerykanin wart więcej od sześciu Anglików!

Na dany znak rybacy posiadali do łodzi i odpłynęli na jezioro, żeby powyciągać zastawione tam sieci, a następnie powróciwszy do brzegu, brnęli w płytkiej wodzie, ciągnąc za sobą niewód szerokim półkolem. Nikt nie chciał pozostać bezczynnym widzem połowu, sędzia i Edwards ciągnęli również liny, Ryszard i Benjamin działali z wielką energią, wreszcie ukazał się obfity plon. Złowiono przeszło dwa tysiące ryb różnego gatunku, najwięcej było karpi i okoni.

- Te ryby Elżuniu - rzekł sędzia - będą oddane najuboższym mieszkańcom miasteczka, chociaż moim zdaniem to jest wielkie marnotrawstwo wyławiać tak dużo ryb od razu.

Ryszard był innego zdania i kazał Benjaminowi i rybakom przygotować sieć do powtórnego zarzucenia, innym zaś porozdzielać ryby leżące na piasku według gatunku, aby potem łatwiej było uczynić sprawiedliwy podział.

Mohikanin i Bumpo przyплыnęli też do miejsca, gdzie się odbywał połów.

- Chodźcie tu bliżej - zawołał sędzia zachęcająco - możecie nabrać sobie ryb ile się wam podoba.

Bumpo wszakże przecząco wzruszył głową.

- Jeżeli mam apetyt na węgorza albo pstrąga, to sięgnę sobie po niego swoją wędką, ale nie chcę korzystać z takiej niszczycielskiej gospodarki! - mruknął niechętnie. - Nie macie miary ani w rybołówstwie ani w polowaniu!

- Może masz i słusność - odrzekł sędzia nieco zasepiony. Po czym zbliżył się do czółna Nattiego, przy którym stały panny, a Oliwier objaśniał im jego budowę i przyczyny, dla których pływanie na czólnie z desek jesionowych okrytych korą brzoową jest bezpieczniejsze, niż na każdej innej łodzi.

Elżunia wyraziła życzenie przejechania się po jeziorze, ojciec zgodził się na to, a Bumpo rzekł:

- Jeżeli miss Temple chce użyć spaceru na moim czólnie, będzie widziała przy sposobności

jak się łowi pstrąga. John go złowi, on sam zbudował to czółno i wczoraj po raz pierwszy spuściliśmy je na jezioro.

Stary wódz indiański powstał z miejsca i podał rękę Elżuni, aby ułatwić jej wejście do łódki.

- Zaufaj Indianinowi - rzekł przyjaźnie - choć głowa moja stara, ale ręka krzepka. Młody Orzeł będzie nam towarzyszył i czuwał, żeby się żadna przygoda nie przytrafiła jego siostrze.

- Słyszysz pan - rzekła Elżunia, zwracając się do Edwardsa - przyjaciel przemawia w pana imieniu. Czy zgadza się pan popłynąć ze mną?

Zarumieniła się lekko mówiąc te słowa.

- Z największą chęcią, chociażby chodziło o poświęcenie życia - odrzekł z zapalem. - Może i panna Grant zechce popłynąć z nami?

- Nie mam najmniejszej ochoty narażać życia na tak wątlej łupinie - odparła Ludwika - i tobie też radzę, moja droga, zaniechać tego zamiaru.

Ale Elżunia usadowiła się już w czółnie, Oliwier wskoczył za nią, Natty wsiadł również i po chwili sunęli spokojnie po ciemnej tafli jeziora. Natty stanął na przodzie, trzymając w ręku hak osadzony na długim pręcie i zapalone łuczywo. Przy świetle tym można było widzieć doskonale dno jeziora i poruszające się tam ryby.

- Skórzana Pończocha ogromnie malowniczo wygląda w blasku łuczywa - szepnęła Elżunia do Edwardsa.

W tej chwili Bumpo skinął na Indianina, aby płynął we wskazanym przez niego kierunku.

- Dostrzegłem wspaniałego łososia, zaraz go złowię - rzekł opuszczając hak do wody.

Rzeczywiście schwytał rybę, a wydobywszy ją, zawołał:

- Oto wszystko, czego mi było potrzeba, już więcej nie będę zarzucał haka tej nocy.

- Dobrze - odpowiedział wódz indiański, zręcznym ruchem wiosła skierowując czółno do brzegu.

W powrotnej drodze spotkano łódź rybacką, na której przewodził Beniamin.

- Cofnijcie się - krzyknął - światło płoszy ryby, które tak samo jak konie wyczuwają niebezpieczeństwo. Prędeż, prędeż! Najlepszy admirał nie potrafi nic zrobić, jeżeli polecenia jego nie będą od razu wykonane! Słyszycie?

Te ostatnie słowa stosowały się do Billy Kirby, który płynął wraz z Beniaminem i niechętnie słuchał jego rozkazów.

- Lubię, aby do mnie grzecznie przemawiano - odezwał się drwal - jeżeli mam zawrócić łódź, należy powiedzieć to uprzejmie, a spełnię zaraz ale nie znoszę, aby ktoś ze mną jak z psem się obchodził!

- Pies dobrze ułożony lepiej by wykonał robotę! - złościł się Ben Pompo. - Sieć już cała w wodzie! Pchnijcie no statek jeszcze o kilka węzłów dalej!

Kirby z wściekłością szarpnął wiosłem i tak gwałtownie wstrząsnął łódkę, że Benjamin stracił równowagę i wpadł do wody. Drwał roześmiał się głośno, ale umilkł po chwili, widząc, że Benjamin idzie na dno.

Od brzegu dały się słyszeć nawoływania.

- Admirał nie umie pływać! - huknął Kirby, zaczynając zrzucać z siebie odzienie.

- Johnie, wiosłuj w tę stronę - zawołał Edwards. - Dam nurka i wyciągnę go zaraz.

- Ach, ratuj go pan, ratuj! - prosiła Elżunia przerażona.

Czółno wnet podpłynęło do miejsca katastrofy, młodzieniec miał już rzucić się do wody, gdy Bumpo podtrzymał go, mówiąc:

- Poczekaj! Ja go prędzej wydobędę!

To rzekłszy z wielką ostrożnością zaczepił hakiem o harcap, jaki ochmistrz nosił na głowie.

Wyratowany Benjamin spojrział dokoła wzrokiem błędnym nie poznając nikogo. Umieszczono go w łodzi, a dopłynąwszy do brzegu, Billy Kirby zaniósł ociekającego wodą i usadowił przy ogniu. Sędzia wnet podał sam Benjaminowi butelkę araku, Ben Pompo wypił ją do dna i zaraz uczuł się rześki, dogadując po swojemu drwalowi, który był sprawcą wypadku.

- Wolałbym wypić całą wodę jeziora - zawołał żywo - niż kiedykolwiek puścić się z Kirby w czółnie, szalupie, a nawet na wojennym okręcie! Jemu wszystko jedno, czy wrzucić do wody rybę czy porządnego człowieka! Bumpo, dajcie mi rękę. Nigdy nie zapomnę, żeście mi uratowali życie! Co prawda, mogliście to uczynić bardziej po żeglarsku, spuszczać linę, zamiast wyławiać harpunem, ale mniejsza o to! Powiadają, żeście nie z jednej głowy zdejmowali w swoim czasie skórę wraz z czupryną, więc nawykliście widocznie chwycić człeka od razu za łeb!

Sędzia rozkazał wyciągnąć sieci, a znajdujące się w nich ryby wrzucić do wody; drwala pozostawiono na straży przy stosach ryb, które miały być porozdawane nazajutrz.

Bumpo z Indianinem odpłynęli na swoim czółnie; długo jeszcze migało światelko łuczywa aż zgasło na przeciwległym brzegu. Elżunia śledziła je zadumany wzrokiem i zapragnęła odwiedzić kiedyś ubogą chatkę Nataniela, pełną tajemniczego uroku.

Rozdział XII - Niepokojące wieści. - Łowy na jelenia

Nazajutrz rano Ryszard wszedł do sypialni sędziego i przeraził się jego wyglądem. Zapytany o powód, powiedział smutnym głosem:

- Wczoraj po powrocie z połowu zastałem listy, które mi spędziły sen z powiek!

Istotnie Ryszard zauważył, że łóżko było nie tknięte, a świece wypaliły się do końca w lichtarzach. Oczy Temple wydawały się zapadłe i podsiniałe. Zdumienie szeryfa wzrastało.

- List z Anglii! - zawołał, spojrzawszy na stempel trzymanej w ręku koperty.

- Przeczytaj - rzekł krótko Temple.

Ryszard nie mógł zrazu dokładnie zrozumieć o co chodzi, prócz tego, że list wysłany został z Londynu przed kilku miesiącami i że podpis brzmiał: Andrzej Holt.

- Oto drugi z Connecticut - rzekł sędzia. Zawiera te same wieści. Pocieszam się tylko myślą, że otrzymał mój list ostatni, zanim statek, o którym wspomina, odpłynął.

- Przykre to jest, bardzo przykre - odrzekł Ryszard. - Na nic się nie przydadzą teraz moje plany dobudowania jeszcze dwóch skrzydeł do twego domu!

- Dajże mi pokój! - odpowiedział sędzia zniecierpliwiony. - Mam, jak wiesz, święty obowiązek do wypełnienia i chcę niezwłocznie to uczynić. Musisz dziś być moim sekretarzem, nie mogę bowiem powierzyć Edwardsowi sprawy tak ważnej i wymagającej ścisłej tajemnicy.

Na całą resztę dnia Marmaduk Temple zamknął się z Ryszardem i z adwokatem Dirkiem i naradzali się długo. Smutek ojca oddział również na Elżbietę i twarzyczka jej, zwykle pogodna i wesoła, przybrała wyraz posępny, tak niezgodny z jej żywym usposobieniem.

Edwards zauważył od razu tę zmianę i nie mógł się powstrzymać od zapytania o przyczynę, a uczynił to z taką troskliwością i współczuciem, że Ludwinia, siedząca obok Elżuni z robótką w ręku, opuściła igłę i zarumieniła się po uszy.

- Odebraliśmy niemiłe wiadomości, panie Oliwierze - rzekła Elżunia. - Możliwe, że ojciec będzie zmuszony odbyć długą i uciążliwą podróż, o ile nie uda się tak urządzić, żeby zastąpił go wuj Ryszard.

- Może ja bym mógł?... - szepnął młodzieniec.

- Sprawa jest tego rodzaju, że można ją powierzyć tylko komuś bardzo dobrze znanemu.

- Więc przez pięć miesięcy mojego tu pobytu nie stałem się jeszcze "bardzo dobrze znanym?" - odrzekł Oliwier z wymówką w głosie.

Elżunia odwróciła głowę, niby poprawiając zwoje haftowanego przez siebie muślinu, a właściwie, aby ukryć rumieniec i rzekła:

- Jakimże sposobem można było pana poznać? Wiemy tylko jak się pan nazywa, Ludwini

dał pan do zrozumienia, że jest krajowcem.

- Ależ moja droga - zaprotestowała Ludwinia spłoniona - mówiłam tylko, że to mój domysł, źleś mnie zrozumiała. Przypuszczałam, że pan jest może dalekim krewnym Johna Mohikanina...

- A może przebrany księciem? - wtrąciła Elżunia z uśmiechem. - Może krew jednego z dawnych władców tej ziemi płynie w żyłach pana?

- Czy widoczne są ślady tego pokrewieństwa? - zapytał Edwards, jakby dotknięty do żywego. - Cerę mam ciemną, ogorzałą, ale zdaje mi się nie wyglądam jak czerwonoskóry?

- Daruj pan - odpowiedziała Elżunia z filuternym uśmiechem - ale w tej chwili tak!

Rzeczywiście twarz Oliwiera zaczerwieniła się mocno i w oczach migotały blaski.

Ludwini ogromnie żal się zrobiło młodzieńca. Obawiając się, że Elżunia sprawiła mu wielką przykrość, poczęła go brać w obronę:

- Nie przypatrzyłaś się chyba dobrze oczom pana Edwardsa - rzekła nieśmiało - przecież nie są one tak czarne, jak u Mohikanina, a nawet jak twoje, włosy zaś macie zupełnie jednakowego koloru.

- Możliwe, że i ja również z tego samego plemienia pochodzę - odrzekła Elżunia.

Odrzucając wszakże ton żartobliwy dodała:

- Byłoby to ulgą dla mnie, albowiem nigdy bez tajemniczego smutku nie mogę patrzeć na starego Mohikanina! Wydaje mi się, że jest chodzącym cieniem tych, którzy tu byli niegdyś panami, a widok jego zdaje się ostrzegać, jak wąż się prawa mego ojca do tego kawałka ziemi.

- Doprawdy tak pani myśli?... - zawołał żywo Oliwier.

- Bez wątpienia - odrzekła Elżunia - ale cóż mogę poradzić... Gdybyśmy temu starcowi ofiarowali gościnę u siebie, nie czułby się dobrze w obcych warunkach. A czy podobna użyźnione już grunta zapuścić, by się pokryły znów lasami, jakby tego pragnął Bumpo. Przyznaj pan sam, czy to możliwe?

- Ma pani zupełną słuszność - odpowiedział Oliwier - cóż może pani poradzić? Ale jest jedna rzecz, którą wykonać pani zdoła i pewny jestem że wykona. Użyć w przyszłości dostatków na przyniesienie ulgi nieszczęśliwym; prawda, że to odpowiada również życzeniu pani?

- To będzie po części zależne od człowieka, którego sobie Elżunia obierze za dozgonnego towarzysza - odezwała się Ludwika.

- Nie myślę naśladować panien, które mówią zawsze, że nie mają zamiaru wyjść za mąż, a od rana do wieczora o niczym innym nie marzą, ale gdzież w tym pustkowiu znajdę owego "dozgonnego", moja droga - rzekła Elżunia wesoło.

- Nie ma tu nikogo w istocie, który by był godnym pani! - zawołał Edwards z przekonaniem - a wiem dobrze, że nie odda pani ręki temu, kto by na to nie zasługiwał. Jeżeli zatem nie spotka

pani godnego siebie, pozostanie raczej samotną, budząc do końca życia miłość, szacunek i uwielbienie wszystkich, którzy panią znają.

To rzekłszy Oliwier Edwards zerwał się z miejsca i skłoniwszy się paniom wyszedł, pozostawiając je w zadumie.

* * *

Pewnego poranka, na początku lipca, Temple z Ryszardem wybrali się na dłuższą konną wycieczkę w góry, gdzie przypuszczano, że się znajduje ruda żelaza, Elżunia i Ludwinia powzięły zamiar przejść się trochę po lesie. Spotkały po drodze Edwardsa, idącego z wędką nad jezioro.

- Czy mogę towarzyszyć paniom? - zapytał. - Na wszelki wypadek wezmę ze sobą strzelbę.

- Dziękuję panu, ale proszę się nie trudzić, i nie zmieniać powziętego planu. W lesie jest zupełnie bezpiecznie, a zresztą zabierzemy Brawa ze sobą. Braw, chodź tu!... - zawołała Elżunia. Na to wezwanie przybiegł ogromny pies i, kręcąc ogonem, przytulił się do nóg swej pani.

- Do widzenia, panu - dodała Elżunia uprzejmym tonem - życzę obfitego połowu. Po czym udały się w stronę lasu.

Ludwinia spoglądała jeszcze poza siebie ukradkiem, chcąc przekonać się jak młodzieniec przyjął odmowę.

- Zmartwiłaś tego chłopca - rzekła po chwili. - Może sądzić, że przez pychę nie przyjął jego towarzystwa.

- Nie wypadało nam iść z nim bez nikogo ze starszych, a jeśli pomyśli, że to jest duma niewieścia, tym lepiej, moja droga.

Oliwier tymczasem poszedł nad jezioro, odwiązał łódkę i silnie pracując wiosłem, skierował się w stronę chaty Bumpa. Mechaniczna praca wiosłowania zmniejszyła nieznacznie gorycz jego rozmyślań. Wyskoczywszy z łódki, dobył z kieszeni małą piszczałkę i gwizdnął. Jakby w odpowiedzi na wezwanie dwa psy Bumpa poczęły szczekać głośno i wysunawszy się ze swoich bud targały rzemienie, na których były uwiązane.

- Cicho Hektor! Wara Slut! - zawołał Edwards, a psy, poznawszy jego głos, uciszyły się wnet, kręcąc ogonami. Gwizdnął powtórnie, a gdy nikt nie odezwał się, wszedł do chałupy, otworzywszy ją w sposób sobie wiadomy, odpoczął tam chwilę. Wtem spostrzegł, że Hektor coś węszy, podniósłszy pysk do góry i zaczyna wyć, jakby czując coś niezwykłego. Młodzian rozejrzał się bacznie i ujrzał zmykającego szybko wśród drzew Hirma Dulitla.

- Kogo on tu śledzi? Czego szuka? - myślał Oliwier i dobrze opatrzywszy zamek i kłódkę po ich zamknięciu, rozmyślał sobie: "Hiram powinien znać prawo i wie chyba dobrze na co się naraża ten, kto odbija zamki; nie odważyłby się więc wejść do wnętrza! Następnie powróciwszy na brzeg jeziora ujrzał czółno, a w nim swych starych przyjaciół łowiących ryby na wędkę. Wskoczył

szybko do łódki i wkrótce zrównał się z nimi.

- Czy byłeś w chałupie? - zapytał Natty.

- Byłem - odrzekł młodzian - wszystko tam jest w porządku, tylko zauważyłem Dulitla krążącego w pobliżu i zmykającego ze strachu przed psami.

- Korci go zajrzeć do mego wigwamu, ale nic z tego - odparł Bumpo, zdejmując złowioną rybę z haczyka i zakładając nową przynętę. - Jeśli będzie krążył tak koło mego schronienia, dostanie kulę w łeb!

- Sprowadziłbyś tym wielkie nieszczęście na swoją i na nasze głowy - szepnął Oliwier - po co narażać się na surową karę dla pozbycia się niecnego szpiega. Cóż byśmy robili bez ciebie?...

Serdeczna nuta zabrzmiała w głosie młodzieńca, a Mohikanin, obrzucając go pełnym miłości spojrzeniem, rzekł:

- Młody Orzeł jest dzielny i sprawiedliwy, on się urodził na wodza i żadne nieszczęście dotknąć go nie może!

Przez chwilę wszyscy trzej zajęci byli łowieniem ryb i zapanowała dokoła niezmacona cisza.

- Jak tu pięknie! - szepnął młodzieniec podziwiając wspaniałą naturę.

- Kraina ta należała do mojego ludu - rzekł Mohikanin. - Odstąpiliśmy ją na radzie Pożeraczowi Ognia, a co Delawarowie oddadzą, tego nie odbierają. Sokole Oko palił fajkę z wodzami na tej radzie, bo był naszym przyjacielem.

- Rozkosz była wtedy polować w tych lasach i trwałoby to dotąd, gdyby nie pieniądze Templi i podstępny prawne! - westchnął Bumpo, pogrążony we wspomnieniach.

Naraz urwał i przykładając ucho prawie do powierzchni wody nadśluchiwał uważnie.

- Gdybym nie uwiązał go własnymi rękami, przysiągłbym, że słyszę na górze szczekanie Hektora - rzekł zdumiony.

- Niepodobnaż - odezwał się Edwards - niedawno widziałem oba psy na uwięzi.

Szczekanie rozlegało się coraz donośniej, obaj towarzysze słyszeli je teraz wyraźniej, wreszcie z gąszczy wyskoczył wielki jeleni i, uciekając przed psami, skoczył rączo do wody.

Bumpo krzyknął na psy i te wnet cofnęły się posłusznie, nie przestając ujadać przeraźliwie. Jeleń płynął przed siebie tak dalece wystraszony, że zdawał się nie widzieć czółna ni ludzi, dzieliło go od nich zaledwie parę kroków, żyłka myśliwska odezwała się w mieszkańcach lasu. Edwards początkowo przypomniał swym towarzyszom surowe przepisy łowieckie wydane przez sędziego Templi, ale w ostatniej chwili sam również uległ pokusie i zarzucił zręcznie jeleniowi postronek na rogi, a Bumpo poderżnął mu gardło. Po czym wciągnięto do łodzi niespodzianą zdobycz.

- Pyszna zwierzyna, ładniejsza niż się spodziewałem! - zawołał Bumpo uradowany. -

Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się upolować jelenia na jeziorze!

Edwards, ochłonawszy nieco, zauważył poniewczasie:

- Nie ma co mówić! Popelniliśmy bezprawie, ale na szczęście nikt nas nie widział. Nie pojmuję jednak kto mógł spuścić psy?

Przybyli do brzegu. Psy zaczęły witać swego pana, on zaś oglądał rzemienie, potrząsając głową, a Mohikanin przypatrzwszy się im, rzekł z przenikliwością właściwą Indianom:

- Rzemień został przecięty ostrym narzędziem osadzonym na długiej rękojeści.

- Jakim sposobem to odgadłeś? - zapytał Młody Orzeł.

- Spójrz proszę - odpowiedział Mohikanin - przecięcie jest gładkie, co dowodzi, że nóż był doskonale wyostrzony; poziome - zostało więc wykonane narzędziem mającym długą rękojeść, żeby zaś nie lękano się psów, ucięto ich smycze krócej i bliżej szyi.

- John ma słuszość! - zawołał Bumpo. - Na pewno ów przekłety Hiram wdrapał się na małą skałę za psimi budkami i przywiązawszy nóż do kija, przeciął rzemienie. Jest to łotr skończony, ale niech się strzeże!... - dodał z groźnym wyrazem. - Jeśli wtargnął tam, biada mu!

Edwards zastanowił się chwilę, po czym poprosił przyjaciół o czołno, które było lżejsze od łódki i rzekł:

- Może uda mi się jeszcze przybyć w porę, aby go przyłapać na gorącym uczynku.

Młodzieniec popłynął przodem, za nim sunęła łódź, na której Indianin wioził jelenia, a Bumpo z psami poszedł w stronę swojej chatki.

Rozdział XIII - Spotkanie z panterą - - Bumpo ocala życie - Elżuni i Ludwice

W tym czasie, gdy odbywało się owo niezwykle polowanie na jeziorze, dziewczęta spacerowały po lesie. Ścieżka, którą podążały, zawiodła je w stronę wigwamu Bumpa. Wstąpiły na pagórek, skąd widać było skromną siedzibę starego strzelca.

- Chciałabym wiedzieć - rzekła Elżunia - dlaczego ta chatka w lesie jest jedynym na pięćdziesiąt mil mieszkaniem, którego drzwi nie otwierają się dla nikogo prócz tych trzech ludzi: dwóch starców i jednego młodzieńca?

- Na to pytanie nawet wszystkowiedzący pan Ryszard nie mógłby dać odpowiedzi - odrzekła Ludwika z uśmiechem.

Żar słońca zaczął się dawać we znaki, więc skierowały się w głąb lasu, zapuszczając się coraz dalej.

Nagle Elżunia zatrzymała się nadsluchując.

- Słyszę wyraźnie płacz dziecka! Chodźmy w tę stronę. Jeżeli się jakie małeństwo zabłąkało w lesie, jakąż to będzie przyjemność odprowadzić je do rodziców!

Wziąwszy się za ręce, szły przyspieszonym krokiem, Ludwika odwróciła się i zatrzymując Elżunię wskazała jej Brawa, który stał nieruchomy z sierścią najeżoną i oczyma wlepionymi w jakiś przedmiot. Warczał z cicha.

- Braw! Piesku mój! Cóż tam zobaczył tak straszego? - zawołała Elżunia. - Może jaki zwierz jest w pobliżu?...

Pies przypadł do jej kolan i głośno zaszczekał.

Elżunia, spojrzawszy na Ludwikę, oniemiała z przerażenia, gdyż przyjaciółka jej blada jak płótno wskazywała coś ukrytego wśród gałęzi. Idąc za jej wzrokiem, ujrzała błyszczące groźnie oczy pantery.

- Uciekajmy! - krzyknęła Elżunia.

Ale w tej chwili Ludwika osunęła się na ziemię. Elżunia uklękła przy zemdlonej, starając się ją cucić, a jednocześnie wołała do psa:

- Odwagi! Śmiało Braw! Broń twej pani!

Wtem z gałęzi zsunęło się zwierzątko podobne do małego kota. Była to młodziutka panterka zbliżająca się w wesołych podskokach do psa, jakby wzywając go do zabawy. Braw jednak przyskoczył do niej, schwycił za kark i rzucił z taką siłą, że uderzywszy się o pień drzewa padła bez życia. W tejże chwili czatująca na gałęzi pantera z wściekłym rykiem zeskoczyła wprost na grzbiet psa, wpijając się pazurami w jego ciało. Walka była nierówna. Pies bronił się zacięcie, ale potężne kły pantery szarpały go i krew spływała obficie z ran. Dziki zwierz, pogryziony przez

psa coraz bardziej nacierał, aż wreszcie Braw skomląc wyzionął ostatnie tchnienie.

Wówczas pantera przysiadła na tylne łapy, wpatrując się roziskrzonym wzrokiem w kłęczącą Elżunię. Podskoczyła następnie ku małej panterze, obwąchała ją, przewróciła, jakby chcąc przekonać się, czy jest martwa i uderzywszy się ogonem po bokach zarzycała przeraźliwie.

Elżbieta jakby skamieniała, wpatrzona w straszego zwierza, błyskającego okiem i gotującego się do skoku. Usta jej drżały a twarz okryła śmiertelna bladość.

Nagle doszedł jej uszu przyciszony głos:

- Proszę schylić głowę!

Usłuchała prawie bezwiednie i w tejże chwili dał się słyszeć wystrzał. Zawtórował mu wściekły ryk miotającej się po ziemi pantery. Elżbieta ujrzała wysoką postać starego strzelca stojącego tuż przy niej i wołającego teraz głośno:

- Stój Hektor! Do nogi! To zwierzę ma życie twarde, nie trzeba mu dowierzać.

Bumpo powtórnie wycelował i trafił w głowę pantery, która rozciągnęła się jak długa na ziemi.

Ludwika otworzyła oczy. Strzelec przyniósł z pobliskiego źródła zimnej wody, która ożywczo podziałała na zemdloną. Dziewczęta, drżąc ze wzruszenia, dziękowały gorąco swemu wybawcy, który tylko uśmiechał się dobrodusznie i potrząsał głową.

- Nie sposób tak samym spacerować po lesie! Szczęściem tylko pies padł ofiarą ale mogło być gorzej!... - rzekł tonem napomnienia. Po czym wyprowadził dziewczęta na drogę wiodącą do Templtonu, a sam powrócił do lasu, w miejsce na którym leżała pantera. Usłyszał szelest w pobliżu, przyłożył więc kolbę swej fuzji do ramienia i zawołał:

- Kto tam?

- To ja - odpowiedział pośpiesznie Hiram Dulitl, ukazując się spoza krzaków. - Cóż to? Na polowaniu w taki upał? Wszak wiecie, że zabronione jest zabijanie zwierzyny w tym czasie. Zdaje mi się, że słyszałem ujadanie psów, goniących zwierzynę. Zapłacicie karę za samowolę.

- Jak każą zapłacić, zapłacę - odrzekł Bumpo obojętnym tonem. Po czym dodał szyderczo:

- Donosicielowi podobno przypada połowa ze ściągniętej kary? Hiram spuścił oczy pod przenikliwym wzrokiem strzelca.

- Tak, prawo przyznaje połowę temu, kto wykryje nadużycie - odpowiedział podkreślając ostatnie słowa. - Widzę świeżą krew na rękawie. Musieliście zastrzelić zwierza.

- I jakiego jeszcze! Pyszny! - odrzekł Bumpo swobodnym tonem.

- Wiem, że macie psy, które gonią wyborną zwierzynę! Gdzież je ukryliście? - badał Hiram z zaciekawieniem.

Strzelec zaprowadził go do drzewa, pod którym leżała pantera, a dalej nieco rozszarpany

pies i mała panterka.

- Pies sędziego Templa! Co to znaczy? - pytał Hiram zdumiony.

- Przyjrzyj się pan dokładnie, nie przypuszczasz przecie, żebym zamordował tego psa? - Bumpo opowiedział pokrótce jak się rzecz miała, mówiąc w końcu ze złośliwym uśmiechem:

- Sądzę, że prawo nie zabrania strzelać do pantery?

- Przeciwnie, za skórę pantery wyznaczona jest duża nagroda.

- Trzeba będzie upomnieć się o nią - odrzekł Bumpo, zabierając się do zdjęcia skóry z drapieżnego zwierza. - Jako urzędnik państwowy mógłby mi pan dać na piśmie upoważnienie do otrzymania tej nagrody.

- Dobrze, możemy pójść do wigwamu i tam załatwimy formalności. Musicie złożyć przysięgę, żeście sami zabili, tego wymaga prawo.

Bumpo oparł się na strzelbie i patrząc przenikliwie na Hiram, zapytał:

- Czy sądzi pan, że w mojej ubogiej chałupie znajdują się przybory do pisania? Dajmy temu pokój, przy okazji odbiorę nagrodę. Ale co to się stało Hektorowi? Dusi się w swojej obroży. Czy nie masz pan nożyka przy sobie.

Hiram podał mu swój nóż, nie domyślając się do czego to zmierza.

- Dobry nóż! - zauważył Bumpo, oglądając ostrze - gotów jestem przysiąc, że ten sam nóż przecinał niedawno rzemień!...

- Chcecie przez to powiedzieć, że to ja spuściłem wasze psy? - oburzył się Hiram. - Co za zuchwałę przypuszczenie!...

- Wcale tego nie twierdzą - odparł strzelec - przeciwnie sam je spuściłem, jak to zawsze czynię wychodząc z domu. Zdumienie odmalowało się na twarzy Hiram, Bumpo zaś najspokojniej w świetle poucinał rzemień przy szyi swych wiernych psów i zwrócił nóż właścicielowi, mówiąc:

- Radzę panu nie zbliżać się zbyt do mojej chałupy!...

Tu naraz zimna krew go opuściła i uderzając mocno kolbą o ziemię, dodał groźnym tonem:

- Nigdy za moją zgodą noga pańska w moim wigwamie nie postanie, jeżeli będzie pan krążył dokoła, jakieś to robił przez cały ranek, możesz bardzo źle wyjść na tym!

Oczy Hiram błysnęły gniewem.

- A ja wam powiadam, że wyjdziecie znacznie gorzej, gdyż bezprawnie zabiliście jelenia i to wam nie ujdzie na sucho!

To rzekłszy, począł cofać się pośpiesznie, bo wyraz twarzy starego strzelca nie wróżył nic dobrego.

- Precz! precz!... - wołał Bumpo za uciekającym. - Strzeż się pan, mógłbym wziąć go na cel

jak panterę!...

Hiram nic nie odpowiedział na pogróżki, ale pałał niepohamowaną chęcią odwetu.

Bumpo udał się wolnym krokiem do swej siedziby. Zastał tam Edwardsa.

- Czy wszystko w porządku! - zapytał.

- Tak jest - odrzekł Młody Orzeł. - Ktoś próbował jednak otworzyć drzwi, ale mu się nie udało.

- Znam tego "ktosia" - szepnął Bumpo ponuro - ale nie odważy się więcej tu pojawić, bo mu łeb rozwalę!

Rozdział XIV - Tajemnicza pieczara. - Bumpo broni wejścia - do wigwamu

Podczas gdy nastąpiły te wydarzenia na jeziorze i w lesie, sędzia Temple z Ryszardem jechali konno i oddalili się prawie o milę od miasteczka.

- Jakaż to wielka tajemnica, którą miałeś mi powierzyć? - zapytał sędzia zdumiony powściągliwością w mowie swego, tak zazwyczaj gadatliwego, towarzysza.

- Zrobiliśmy doniosłe odkrycie - odrzekł Ryszard - i o tym właśnie chciałem pomówić z tobą na osobności.

Sędzia uśmiechnął się z niedowierzaniem, znając bogatą fantazję przyrodniego brata.

- Zrobiliśmy, powiadasz, ktoś jeszcze prócz ciebie?

- Hiram Dulitl, człowiek bardzo wartościowy, doskonale sprawuje powierzony mu przeze mnie urząd, następnie Jotam Riddel...

- Co? Ten próżniak i włóczęga, który nigdzie miejsca nie zagrzeje? Wybór niezupełnie szczęśliwy. Cóż dalej?

- Bądź co bądź dokonane zostało odkrycie. Czy zastanowiłeś się kiedykolwiek, kochany Marmaduku, co robi w twych posiadłościach ów Nataniel Bumpo, który zawarł przyjaźń z Johnem, mianującym się wodzem indiańskim i z twym nowym sekretarzem? Czy domyślasz się co ich łączy ze sobą?...

- Czy posiadasz jakie dane w tym względzie? Przyznam się, że i mnie to bardzo interesuje - odrzekł Temple z zaciekawieniem.

- Otóż dane są takie. Wiesz, że znajdują się skarby w tych górach, sam słyszałem jak mówiłeś, że jesteś tego pewny, bo jeżeli Ameryka Południowa posiada kopalnie złota, dlaczegoż by i w Ameryce Północnej nie znalazły się podobne bogactwa? Mam pewne poszlaki, że Bumpo wraz z Indianinem i Edwardsem wydobywają cenne kruszce, przetapiają je cichaczem, jednym słowem gromadzą skarby na twojej własnej ziemi. Widziałem, jak Bumpo z Indianinem chodzili w góry z oskardem i łopatą. Inni gotowi są świadczyć, że pewnego razu Bumpo powrócił po kilkudniowej nieobecności, ciągnąc za sobą sanie naładowane niedźwiedzimi skórami; pod którymi znajdował się jakiś duży, ciężki przedmiot, który wraz z Indianinem ostrożnie wydostali i przenieśli, ukrywając starannie. Prawdopodobnie, były to narzędzia do wydobywania kruszców z ziemi! Od tego czasu strzegą wigwamu dniem i nocą i wszystkim bronią doń wstępu. W parę tygodni potem pojawił się ów rzekomy Edwards, który pomimo, że go przyjąłeś pod swój dach, dałeś zajęcie, wymyka się bardzo często do swoich tajemniczych współników i nieraz spędza tam noce. Czym mogliby się trudnić, zastanów się tylko. Topią metale i bogacą się twoim kosztem.

Sędzia uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Żaden z podejrzewanych przez ciebie ludzi nie sprawia wrażenia bogatego człowieka - odparł w końcu. - Ale zechciej mi powiedzieć dlaczegośmy właściwie tu przybyli?

- Zaraz ci powiem. Otóż poleciłem Jotamowi zbadać góry i doszukać się rudy. Znalazł wreszcie ślady kruszcu i dziś właśnie rozpoczął kopanie. Czułem się w obowiązku zawiadomić cię o tym. Oto jest powód naszego tu przybycia.

Obaj jeźdźcy zsiadli z koni u zbrocza góry, gdzie Jotam Riddel kopał zawzięcie. Sędzia przyglądał się czas jakiś jego pracy, następnie obejrzał wydobyte kamienie, a nie znalazłszy w nich nic prócz krzemieni i kwarcu, dosiadł konia i udał się na to miejsce, gdzie jak powiadał Ryszard, trzech myśliwi kopali na swoją rękę. Droga skręcała w dół i niebawem po drugiej stronie wzgórza, do którego przywarła chałupka Bumpa, ukazało się oczom jeźdźców wgłębienie podobne do otworu pieca. Przed wgłębieniem leżała kupa świeżo wykopanej ziemi. Widoczne było, że owa pieczara została rozszerzona ręką ludzką.

Sędzia musiał przyznać, że jest w tym coś niezwykłego i że warto zbadać do czego właściwie otwór może służyć.

- Mój kochany - zawołał Ryszard z zadowoleniem - już ja wszystko potrafię spenetrować. Patrz, oto w krzakach leżą narzędzia używane do tej tajemniczej roboty, widać że jeszcze mają zamiar poszerzyć jaskinię.

- Może istotnie postąpiłem nierozważnie wprowadzając do mego domu nieznanego człowieka. Więcej tym razem kierowałem się sercem niż rozumem - mówił sędzia zamyślony - ale wezwę do siebie Nataniela, aby mi natychmiast wyjaśnił zagadkę.

W powrotnej drodze jeźdźcy rozłączyli się, Ryszard miał jeszcze jakieś urzędowe sprawy do załatwienia, a sędzia ujrawszy z daleka panny zmierzające ku domowi, zaciął konia i wkrótce zrównał się z nimi. Można sobie wyobrazić jego wzruszenie, gdy Elżunia opowiedziała mu naprędce o ich przeżyciach, o strasznym niebezpieczeństwie, z jakiego Bumpo je wybawił.

Przyjechawszy do swego mieszkania, sędzia przywołał zaraz ochmistrzynię, która nawiasem mówiąc, przestała już dąsać się na Elżunię i pogodziła się ze swym losem. Polecił jej odprowadzić natychmiast Ludwikę do ojca, po czym wypytyjąc jeszcze ukochaną jedynaczkę, przechadzał się po pokoju, nie mogąc usiedzieć na miejscu słuchając strasznej opowieści.

- Jakaż to łaska Boska nad tobą, dziecko drogie! - zawołał Temple, przyciskając córkę do bijącego mocno serca. - Ile przytomności umysłu okazał ten zacny Bumpo a ty, dziecino moja, odważnie postąpiłaś, nie opuszczając zemdlonej Ludwiki.

- Nie wiem czy to można nazwać odwagą - odrzekła Elżunia - zdaje mi się bowiem, że uciekać nie miałabym siły. Wyznaję jednak, że mi na chwilę nawet myśl podobna w głowie nie powstała. Nie mogłam nawet wymówić słów modlitwy, niebezpieczeństwo bowiem zaskoczyło nas

tak, że nie byłam w stanie zebrać myśli.

W oczach dziewczęcia zabłyśły łzy.

- Nie mówmy już o tym, bo cię to zanadto wzrusza - rzekł sędzia. - Nigdy nie przypuszczałem, aby dzikie zwierzęta podchodziły tak blisko do siedzib ludzkich, widocznie jednak przynaglone głodem, zapędzają się aż tutaj.

W tej chwili Beniamin zapukał do drzwi, oznajmiając przybycie Hiram Dulitla.

- Czeka na dole i powiada, że koniecznie musi zaraz rozmówić się osobiście - rzekł Beniamin. - O ile wymiarkowałem, chce oskarżyć starego strzelca, który sto razy więcej jest wart od niego!

- Co? Oskarżyć mego zbawcę? - zawołała Elżunia z oburzeniem.

- Nie lękaj się - uspokajał ją ojciec - chodzi zapewne o jakiś drobiazg i zaraz się to wyjaśni. Proś, niech tu wejdzie.

Hiram stanął przed sędzią, kłaniając się nisko i winszując ocalenia córki z niebezpieczeństwa.

- Nie jest to zdarzenie małej wagi dla Nataniela Bumpo - dodał po chwili - gdyż ma prawo do nagrody za zabicie pantery.

- Dopilnuję tego, żeby został sownie wynagrodzony - odrzekł sędzia.

- Pan jest znany ze swej wspaniałomyślności, panie sędzio - mówił Dulitl kłaniając się znowu uniżenie - ale również sprawiedliwości zawsze czynisz zadość. Otóż przychodzę zawiadomić, że Bumpo zabił jelenia i przechowuje go w swym wigwamie. Upraszam więc o danie mi na piśmie rozkazu przeszukania jego siedziby.

Temple zamyślił się nieco i rzekł wreszcie:

- Ma pan prawo jako urzędnik uczynić to bez mego rozkazu.

- Zapewne, ale zarządzenie pańskie ma daleko większe znaczenie, ponieważ będzie to pierwsza sprawa o nadużycie, od czasu ogłoszenia przez pana przepisów łowieckich. Prócz tego, bywając często w lesie dla wybrania drzewa na budowę, nie chciałbym Nataniela wrogo do siebie usposobić.

- Czyżby on był zdolny wyrządzić krzywdę komuś? - upomniała się o swego obrońcę Elżunia, mierząc pogardliwie Hiram.

- Potrafiłby strzelić z zimną krwią do człowieka tak samo, jak do pantery lub jelenia - odrzekł Hiram.

- Proszę zejść do mojego biura - odpowiedział sędzia, zaraz podpiszę potrzebny nakaz.

Dulitl wyszedł, a Elżunia spojrzała na ojca z niemym wyrzutem i miała właśnie wystąpić z gorącą obroną, ale ojciec przewidując to, rzekł z uśmiechem:

- Natty na pewno zabił jelenia, dobrze mi jest znana jego żyłka myśliwska; sąd skarże go na grzywnę, zapłacić musi dwanaście i pół dolara, a karę możesz za niego wnieść sama. Hiramowi chodzi o to, żeby otrzymać tę połowę, jaką prawo przyznaje donosicielowi w podobnym wypadku. Co do mnie nie mogę odmówić podpisania nakazu, inaczej bowiem podejrzewano by mnie o stronniczość wobec wybawcy mego dziecka. To mówiąc sędzia wyszedł, pozostawiając Elżunię znacznie uspokojoną.

Hiram, mając w ręku nakaz zrewidowania chaty Nataniela, pośpieszył jak najrychlej z tego skorzystać. Wziął z sobą Jotama Riddla, a spotkawszy Billy Kirby, namówił go zrećźnie, żeby również uczestniczył w wyprawie na kłusownika.

Nielatwo wszakże było zmusić Sokole Oko do otworzenia drzwi swego mieszkania. Hiram i Jotam, ukryci za drzewami, wyprawili Billy Kirby na pierwszy ogień.

- Czego chcecie ode mnie? - zapytał Bumpo, stojąc na progu domu i zakrywając sobą wnętrze.

- Mam tu papier od sędziego Temple - rzekł drwal - a jeżeli odcyfrować go nie potraficie, jest tu pan Dulitl, który wam odczyta. Zabiliście podobno jelenia?

- Oto są uszy pantery, dające prawo do nagrody za tępienie drapieżników. Zamierzałem pójść z tym do sędziego, ale jeśli on...

W tej chwili wystąpił Hiram i głosem urzędowym odczytał nakaz rewizji w mieszkaniu strzelca. Nataniel wzruszył ramionami i szepnął bardziej do siebie:

- Cóż robić? Córka jego niewinna temu, oczy jej jasne jak u łani. Ratowałem ją bo tak należało czynić. Ale czegoż sędzia tak się zawziął na mnie?

Hiram Dulitl przybrał wyraz podstępnie dobroduszny i powiedział tonem uprzejmym:

- Zmuszeni jesteśmy dopełnić prostej formalności zrewidowania mieszkania. Pieniądze na zapłacenie kary sędzia Temple wyłoży z własnej szkatuły.

Stary myśliwy śledząc bacznie każde poruszenie nieproszonych gości, rzekł groźnie:

- Proszę oddalić się stąd i powiedziec swemu sędziemu, że może sobie zatrzymać należną mi nagrodę, ale nikogo wbrew mej woli do mego wigwamu nie wprowadzi.

Billy Kirby uśmiechnął się z zadowoleniem i zwracając się do Hiram, zawołał:

- Oto doskonały sposób załagodzenia sprawy. Bumpo zrzeka się swej nagrody, kara powinna mu być również darowana.

- Domagam się w imieniu prawa wejścia pod ten dach - rzekł Hiram przybierając znów ton wyniosły i dostojny. - Kirby, Jotamie, idźcie za mną, wasze świadectwo będzie mi potrzebne.

To mówiąc Hiram postawił już nogę na progu, przypuszczając, że Bumpo cofnie się do wnętrza, ale stary strzelec zręcznym ruchem schwycił go za barki, obrócił i odtrącił z taką siłą, że

natarczywy gość poleciał jak piłka o jakieś dwadzieścia stóp. Billy Kirby roześmiał się na głos, zachwycony śmiałością i siłą strzelca.

- Billy Kirby! Zatrzymaj tego człowieka, rozkazuję ci w imieniu prawa - krzyknął Hiram rozwścieczony.

Bumpo nie zmieniając stanowiska, wymierzył lufę strzelby ku drwalowi.

- Oddal się, radzę ci - rzekł stłumionym głosem. - Nie życzę tobie nic złego, ale nie pozwolę nikomu z was wejść do mojej chaty! Nie doprowadzajcie mnie do ostateczności!

Zmierzyli się oczami.

- Nie przybyłem tu jako twój nieprzyjaciel, Natty - rzekł Billy - ale czy sądzisz, że się przeleknę tego kawałka wydrążonego żelaza? Jeżeli pan Dulitl rozkaże cię aresztować, zobaczymy kto z nas weźmie górę!

Ale pan Dulitl zwał jak niepyszny. Zobaczywszy fuzję zniknął wraz z Jotamem, wówczas Bumpo odłożył strzelbę na stronę, a Billy odwróciwszy się czekając na rozkaz przywódcy ujrzał obu uciekinierów pędzących co tchu w stronę miasteczka.

- Wystraszyłeś ich porządnie - rzekł Billy z największą wzdargą goniąc wzrokiem za nimi - ale mnie tak łatwo nie zatrwożysz?

- Powtarzam ci raz jeszcze, że nic ci złego nie życzę - odpowiedział Bumpo ze spokojem - ale im od mego domu wara! Chcą wiedzieć czy upolowałem jelenia? Tak jest, przyznaję się i na dowód dam ci skórę z niego. Jako karę poświęcam należną mi za panterę nagrodę. Czegóż więcej żądać mogę ode mnie?

- Na tym powinni poprzestać - powiedział drwal zupełnie rozpogodzony - dawaj mi tę skórę i wszystko będzie w porządku.

Natty wszedł do chałupy i powrócił po chwili z przyrzeczoną skórą. Rozstali się w przyjacielskiej zgodzie, ściskając sobie dłonie.

Po Templtonie rozeszła się już wieść o oporze stawianym władzy przez Bumpo. Gromadki ludzi zbierały się na ulicach wypytując o szczegóły zajścia. Przybycie Kirby ze skórą jelenia nie pozostawiło żadnego powodu do rewizji, będąc dostatecznym świadectwem winy.

Uspokoili się wreszcie mieszkańcy osady i rozeszli się po domach, opowiadając sobie o cudownym niemal uratowaniu córki sędziego przez tegoż Nataniela Bumpo.

Rozdział XV - Oliwier opuszcza - dom sędziego Temple

Zaraz po strasznym wypadku w lesie, Edwards wpadł przerażony do mieszkania sędziego i z niezwykłą u niego serdecznością począł wyrażać ojcu Elżuni swą radość z powodu szczęśliwego ocalenia.

- Dziękuję ci, mój Oliwierze - rzekł Temple wzruszony - nie jestem w stanie opowiedzieć ci nawet o tej okropnej scenie, starajmy się o niej zapomnieć! Pójdźmy do Elżuni, Ludwika bowiem już powróciła do ojca.

Oliwier skorzystał chętnie z zaproszenia, z takim zapałem i szczerością okazywał swe współczucie, że Elżunia zdumiona była, a oziębłość jej zupełnie jakoś się rozwiała. Młody człowiek gawędził czas dłuższy z ojcem i córką, następnie oświadczył, że musi pójść do Grantów, aby dowiedzieć się o zdrowie Ludwika.

Powracając właśnie z tej wizyty, Oliwier spotkał adwokata Lippeta, który mu opowiedział o zatargu Dulitla z Bumpo i zbrojnym oporze wobec władzy. Oliwier ogromnie zaniepokoił się losem swego starego przyjaciela i pośpieszył do domu sędziego, chcąc rozmówić się w tej sprawie. Benjamin oznajmił, że Temple jest zajęty z tym "przeklętym korsarzem" Dulitlem, co to jest i cieślą, i architektem, i jakimś tam urzędnikiem, który w gruncie rzeczy nic nie umie, a tylko zawsze coś niedobrego knuje. Gadatliwy staruszek miał ochotę opowiadać coś jeszcze, ale Oliwier zapytał czy nie mógłby zobaczyć się zaraz z panną Temple w ważnej sprawie.

- Jest w salonie - odrzekł Benjamin. - Powiadam panu ten Bumpo to zacny człek! Ocalił nam panienkę. Może liczyć na moją pomoc na lądzie i na morzu!

- Dziękuję w jego i swoim imieniu - odpowiedział Oliwier, ściskając rękę starego oryginała - możemy kiedyś potrzebować twojej przyjaźni i oznajmimy ci o tym.

Benjamin skłonił się z wielką powagą, po czym otworzył drzwi do salonu.

- Pozwól pani, że zajmę jej chwilę czasu - rzekł Oliwier witając Elżunię, na twarzy której błysło zadowolenie.

- Ach, to pan, panie Edwardsie - odpowiedziała uprzejmie - niechże mi pan opowie jak się czuje Ludwinia po tym strasznym przejściu?

- Bardzo dobrze - odpowiedział Oliwier, zajmując wskazane sobie miejsce. - Dziękowała mi serdecznie za odwiedzinę. Mówiliśmy jeszcze o szczegółach wypadku; serce mi się ścisnęło słysząc to wszystko!

- Przyjaciela pana, Bumpo, został odtąd moim przyjacielem - rzekła Elżunia. - Chciałabym mu choć w części odwdziżyć się za to, co uczynił dla mnie. Może mi pan zechce służyć dobrą radą?

- Bardzo chętnie - zawołał żywo Oliwier. Otóż może nie jest jeszcze wiadomym pani, że Natty uchybił prawu zabijając jelenia właśnie dziś rano. Byłem też po części współnikiem jego winy. Ojciec pani kazał przeszukać jego mieszkanie...

- Wiem, wiem - przerwała Elżunia - jest to formalność, która żadnych złych skutków nie pociągnie za sobą. Odpowiem panu tym samym pytaniem, jakie mi pan zadał niedawno. Czy tak długo przebywając z nami nie mogłeś jeszcze nas poznać?... Sądzi pan, że pozwolimy, aby człowiek, któremu zawdzięczam ocalenie, został wtrącony do więzienia? Wszystko jest już przewidziane i ułożone.

- Zdejmuj mi pani ciężar z serca! - zawołał Oliwier radośnie. - Zatem nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo?

- Ojciec potwierdzi wnet moje słowa - odparła Elżunia, patrząc z głębokim uczuciem na wchodzącego Templa. Twarz jego jednak była mocno zasepiona, wreszcie rzekł ze smutkiem w głosie:

- Nasze plany zawiodły, opór Nattiego odebrał nam możliwość udzielenia mu pomocy. Będzie zmuszony ponieść skutki swego nierozważnego postępowania.

- A jaka czeka go kara? - zapytał Oliwier z niepokojem.

- Wszystkie okoliczności muszą być dokładnie wyjaśnione i wówczas dopiero będę mógł wydać osąd. W każdym razie, pomimo całej wdzięczności dla Bumpa, muszę postąpić tak, jak nakazuje prawo. Nie chcę, aby mnie spotkał zarzut, że osłaniam swą powagą wybawcę mego dziecka.

- Któż by wątpić śmiał o sprawiedliwości sędziego Templa - rzekł Edwards z pewną goryczą. - Ale czyż podeszły wiek Nattiego i nieznamość prawa nie mogą być uwzględnione?

- Mogą zmniejszyć winę, lecz nie usprawiedliwiać w zupełności. Przyznaj pan, czy podobna byłoby żyć w społeczeństwie, w którym wolno odpowiadać wystrzałem na wezwanie władz sądowych? W jakimże celu zaludniłem pustynię osadnikami, rozszerzyłem cywilizację? Aby wytępić samowolę.

- Gdyby panu udało się utemperować drapieżność pantery, która przed kilku godzinami zagrażała życiu Elżbiety, rozumowanie pana sędziego byłoby stosowniejsze do okoliczności!

- Panie Edwardsie! - krzyknęła Elżunia w obawie, by ojciec nie poczuł się dotknięty.

- Przebaczam panu tę uwagę, znając przyjaźń, jaka łączy pana z Nattym - odrzekł sędzia z godnością - wiem, że to ten fakt jest przyczyną nazbyt porywczego sądu pana.

- O tak, jestem szczerym przyjacielem Nattiego i chlubię się tym - zawołał Oliwier - prostak to nieokrzesany, lecz zdanie jego o ludziach jest trafne. Ma przy tym złote serce, serce za które można przebaczyć tysiące uchybień. Nigdy nie opuści przyjaciela w złej doli - dodał z naciskiem.

- Tak, jest to bezwzględnie charakter prawy, przyznaję to, chociaż nie miałem szczęścia cieszyć się jego względami; każdym czynem i słowem starał się zawsze mnie odpychać od siebie, ale znosiłem to jego postępowanie jako dziwactwo starca, a gdy wypadnie mi sądzić za popełnione przestępstwo...

- Przestępstwo?... - zawołał Edwards, a oczy jego zabłysły ogniem... - Czy można nazwać przestępcą tego, który nie chciał wpuścić do siebie nikczemnego natręta? Jeśli jest wina, to z pewnością nie z jego strony.

- A z czyjej, mój panie? - odparł sędzia, spoglądając z ukosa na młodzieńca drżącego ze wzruszenia.

Całą siłą woli powstrzymywał się Oliwier, aby nie wybuchnąć, ale ostatnie pytanie sędziego wyprowadziło go z równowagi.

- Z czyjej?... - krzyknął popędliwie. - I pan mnie o to pytasz? Czyż nie odnajdujesz pan odpowiedzi we własnym sumieniu? Spójrz pan na tę rozległą dolinę, na jezioro i przepyszne góry, zapytaj pan własnego serca czyje one są, do kogo prawnie powinny należeć? Czy Natty i Mohikanin nie słusznie uważają pana za tego, który przywłaszczył sobie cudze mienie?

Sędzia słuchał młodzieńczego wybuchu ze spokojnym zdumieniem. Elżbieta przerażona chciała wtrącić jakieś słowo, ale ojciec dał znak, aby nie mieszała się do rozmowy i rzekł stanowczym tonem:

- Zapomina pan z kim mówi! Powiadają, że jesteś potomkiem dawnych właścicieli tego kraju, ale jako człowiek wykształcony pojmuję pan chyba, że te ziemie zostały nabyte przez białych w sposób legalny. To, co posiadam, zdobyłem uczciwą pracą. Dałem panu miejsce w moim domu, ale nadal mieszkać pod jednym dachem nie możemy. Przejdźmy do mego gabinetu, wypłacę panu należność, po czym opuścisz mój dom. Nietaktowne zachowanie pana postaram się wykreślić z pamięci.

Oliwier stał jak wryty, gdy sędzia opuścił pokój; po czym zwrócił się do Elżuni siedzącej na sofie z głową zwieszoną na piersiach i twarzą ukrytą w dłoniach.

- Panno Elżbieto - szepnął Oliwier złamanym głosem - zapomniałem się, uniosłem jak szalencie! Dziś jeszcze muszę stąd odejść, ale nie karz mnie pani swym gniewem!

Tyle było prośby w jego głosie, że Elżunia podniosła głowę, oczy lżą zabłysły, a twarz okryła się żywym rumieńcem.

- Przebaczam panu - rzekła wstając i postępując ku drzwiom. - Ojciec mój również przebaczy. Nie zna pan nas jeszcze, lecz przyjdzie dzień, w którym zmienisz pan o nas mniemanie.

- O pani zawsze jak najlepszego byłem zdania i nigdy, nigdy nie zmienię - zawołał Oliwier z uczuciem, ale Elżunia przerwała mu, mówiąc:

- Jest coś w tej sprawie czego zrozumieć dobrze nie mogę, ale pomimo tego, co tu zaszło przed chwilą, zapewnij pan Bumpo, że może liczyć na naszą życzliwość i niech się zbytnio ową karą nie troszczy. A panu, panie Oliwierze, życzę szczęścia.

To rzekłszy, wybiegła szybko z pokoju. Młodzieniec stał jeszcze chwilę, jakby zastanawiając się, co ma począć, następnie, nie zachodząc już wcale do gabinetu sędziego udał się pośpiesznie do chaty starego strzelca.

Rozdział XVI - Uwięzienie Nataniela Bumpo

W nocy Ryszard powrócił do Templtonu bardzo zadowolony z wyprawy, ponieważ udało mu się schwytać kilku fałszerzy monet, ukrywających się po lasach. Skrepowanych przestępców szeryf osadził w więzieniu, po czym udał się prosto do mieszkania sędziego. Już było po północy i wszyscy spali, tylko Beniamin czuwał i ze świecą w ręku wyszedł na spotkanie Ryszarda.

- Co słyhać? - zapytał przybyły.

- Dużo nowin, wszystko znajdzie pan szeryf tu zapisane - odrzekł Beniamin, wskazując na tabliczkę szyfrową.

Pomysłowy Ryszard Jones miał zwyczaj prowadzenia dziennika, w którym notował wszelkie wydarzenia zaszłe nie tylko w domu sędziego, ale i w miasteczku. Zwracał też szczególną uwagę na zmiany pogody, a nawet kierunek wiatru. Podczas nieobecności szeryfa Beniamin obowiązany był dostarczać owych notatek, z których następnie Ryszard czerpał potrzebne dla siebie wiadomości i wpisywał do dziennika. Ponieważ Beniamin nie był biegły w pisaniu, szeryf wynalazł szereg umówionych znaków, które Ben Pompo dopełniał niezgrabnymi rysunkami. Ryszard zabrał się do odcyfrowywania niezrozumiałych hieroglifów.

- Co mają oznaczać te małpy i szczury? - zapytał.

- To nie małpy, ale figury - odrzekł Ben Pompo z powagą. - Po lewej stronie panna Temple, a po drugiej panna Grant.

- Cóż one robią w moim dzienniku? - badał szeryf.

- Stoją naprzeciw pantery, która im zagroziła drogę. Niesłusznie nazwał pan ją szczurem. A to biedny Braw, który zginął śmiercią bohaterską, jak jaki admirał walczący za króla i ojczyznę. A tamta osoba...

- Chcesz powiedzieć raczej: to straszycło.

- Wydaje mi się, że jeszcze nic podobniejszego w moim życiu nie narysowałem! - zapewniał Beniamin. - To, panie szeryfie, jest Natty Bumpo, który zabił panterę, tę samą, co zagryzła Brawa i chciała rzucić się na naszą panienkę.

Ryszard, nie patrząc już na dziwaczne rysunki swego ulubieńca, począł wypytywać o szczegóły wypadku. Następnie uwagę jego zwróciła ilustracja, której nie można było w żaden sposób bez pomocy Ben Pompa zrozumieć.

- Nie poznaje pan, panie szeryfie? - dziwił się Beniamin, Przecież to pan sędzia wojuje z panem Edwardsem.

- Co pobili się? Ładny przykład dla osadników! Ależ do licha! Więcej wypadków przytrafiło się, jak widzę, w ciągu półtorej doby, niż przez sześć miesięcy!

- Nie doszło do bijatyki, skończyło się na pociskach słów, rzuconych wzajemnie.
- Bez wątpienia poszło o kopalnię - zauważył Ryszard, zaprzętnięty wciąż jedną myślą.
- Broń Boże, nie chodziło o żadną kopalnię. Ten znaczek to kotwica, jako że młody człowiek zerwał się z kotwicy i popłynął w świat.
- Jak to? Edwards wyniósł się z domu?
- Tak jest, wyniósł się.

Nowe wypytywania dopomogły szeryfowi dociec przyczyny nieporozumienia, chodziło o Nataniela, który popełnił bezprawie i stawiał opór władzy. Szeryf, pomimo spóźnionej pory wyruszył w stronę więzienia, będącego zarazem posterunkiem policyjnym. Chciał zaskoczyć starego strzelca w jego leśnej siedzibie, aresztować i odprowadzić do więzienia.

Wszystko zostało ułożone. Cisza nocy sprzyjała zamiarom, Ryszard oczekiwał zebrania się policjantów nad jeziorem. Krzyknął: "naprzód" i pobiegł ku chatce Bumpa, zdumiony, że nie słyszy szczekania psów; podwładni przybyli również na miejsce, wysuwając się z ukrycia, ale zamiast chaty dostrzegli tylko zgliszcza i gdzieś tam dogasające płomienie.

Stali tak w milczeniu, szeryf nie był zdolny nawet słowa wymówić, zły okrutnie, że mu się jego plany nie powiodły. Nagle dostrzegł wysoką postać pochyloną nad zgliszczami i rozdmuchującą tłące głownie. Przy blasku ognia poznał szerniałą twarz Nataniela.

- Czego chcecie od bezdomnego starca? - zapytał prostując się. - Czterdzieści lat mieszkałem pod tym dachem, wolałem spalić chatę, aniżeli pozwolić na przetrząsanie jej obcymi rękami! Goryczą napełniliście moje serce!... Jestem jeden, a was kilku. Jeśli taka jest wola Boża, czyńcie ze mną co się wam podoba!

Wszyscy cofnęli się, przejęci współczuciem dla nieszczęsnego starca. Siwe włosy zwisały mu nad czołem, stał bezradny i zbolały. Ryszard zbliżył się do niego i począł tłumaczyć się, że zmuszony jest spełnić przykry obowiązek i aresztować go do czasu, aż sąd wyda nań wyrok. Straż zaczęła się skupiać i otoczywszy Nattiego powiodła do więziennego gmachu.

Rozdział XVII - Pod pręgierzem

Budynek, w którym mieścił się sąd w Templonie był drewniany, na dole urządzono cele dla aresztantów, a na górze salę, gdzie wydawano wyroki. Liczny zastęp ciekawych przyglądał się zwykle temu widowisku.

Tego właśnie dnia, a było to w sierpniu, sąd miał do rozpatrzenia dość sporą ilość różnych spraw mniejszej i większej wagi. Dwie godziny trwały już narady. Sędzia Temple na czele dwunastu obywateli przysięgłych rozpatrywał podane mu akty oskarżenia. Wreszcie przyszła kolej na sprawę Nataniela Bumpo, zwanego Skórzaną Pończochą, Kosmatym Kamaszem, Sokolim Okiem, wszystkie te nazwy wymieniono kolejno. Stary strzelec zajął miejsce na ławie oskarżonych. Rozglądał się z pewnym zaciekawieniem po sali sądowej, której dotąd nie znał wcale. Oczy wszystkich były na niego zwrócone.

Zarzucono Nattiemu dwa wykroczenia. Po pierwsze obrażenie Hirama Dulitla podczas pełnienia obowiązków urzędowych; po wtóre zagrożenie wystrzałem drwalowi Billy Kirby wziętemu przez Hirama do pomocy.

- Czy oskarżony przyznaje się do winy? - pytał sędzia donośnym, urzędowym tonem.

- Nie jestem winien - odpowiadał Bumpo - mogę to powiedzieć z najczystszy sumieniem. Ale przyznaję, że dałbym się raczej zabić, niż wpuścić wdzierającego się przemocą do mojej chaty.

Hiram Dulitl, przywołany na świadka starał się przedstawić całe zajście w najniekorzystniejszym dla obwinionego świetle. Adwokat Lippet, obrońca Bumpa, zadał zręcznie parę pytań, które zmieszały oskarżyciela. Kręactwa Dulitla wszystkim mocno się nie podobały.

Prokurator żądał skazania oskarżonego, wówczas sędzia Temple zwrócił się do przysięgłych z zapytaniem, czy Hiram Dulitl miał prawo uciekać się do użycia siły, aby wejść do mieszkania obywatela wolnego kraju? Przysięgli jednomyślnie wygłosili swe zdanie, że oskarżony jest niewinny.

Bumpo słuchał, przyglądał się, wreszcie, gdy mu sędzia powiedział, że jest zwolniony od pierwszego zarzutu, uśmiechnął się radośnie i zamierzał już opuścić ławę oskarżonych, ale adwokat szepnął mu coś na ucho. Usiadł więc znowu, odrzuciwszy w tył swe siwe włosy.

- Przystępujemy do odczytania drugiego aktu oskarżenia - powiedział sędzia.

Prokurator przedstawił zarzut grożenia wystrzałem słudze sądowemu wysłanemu dla wykonania rozkazu.

- Podobny postępek - dodał - określa oskarżonego jako zuchwałego, gwałtownego i chciwego krwi ludzkiej.

Stary strzelec zachnął się.

- To kłamstwo, prawdziwe kłamstwo. Nie walczyłem nigdy nawet przeciw bezbronnemu nieprzyjacielowi!

- Bumpo, czy przyznajesz się, że wymierzyłeś fuzję do Billy Kirby? - zapytał sędzieja.

Natty roześmiał się bezgłośnie śmiechem otwierając szeroko usta i wskazując palcem na drwala.

- Czy Billy stałby teraz zdrow i cały na tym miejscu, gdybym do niego mierzył? Billy sam to przyzna. Moja strzelba nie chybia! Prawda Billy?

- A więc nie przyznajecie się do winy? - podsunął szybko obrońca, chcąc powstrzymać klienta, który mógłby powiedzieć jakie niepotrzebne słowo.

- Nie przyznaję się! - odrzekł Natty.

Rozpoczęły się jeszcze badania Kirby, Jotama i Dulitla.

Kiedy Billy Kirby powiedział, że od chwili, gdy Natty zastrzelił gołębia w locie uznaje go za najlepszego strzelca w okolicy, miłość własna starego Bumpo została mile polectana. Wyciągnął rękę do drwala, którą Billy uściśnął gorąco. Lippet z radością widział ten gest porozumienia pomiędzy świadkiem oskarżenia i obwinionym.

- Czy zakończyliście zgodą wasze spory na miejscu zajścia? - zapytał drwala.

- A dlaczego miałbym się z nim kłócić - odpowiedział Billy. - Nataniel oddał mi skórę jelenia.

- Nie zamierzałeś wnosić skargi na Bumpo?

- A po co, kiedy mu wcale źle nie życzę. To tylko pan Dulitl czuł się mocno urażony.

Zdawać by się mogło, że sprawa wzięła jak najlepszy obrót dla obwinionego. Lippet triumfował, ale prokurator potrafił ze swego punktu widzenia w tak czarnych kolorach przedstawić całe zajście, że przysięgli uznali za stosowne uznać winę Bumpo i dla przykładu ukarać go według odpowiedniego paragrafu prawa.

Sędzia odczytał wyrok skazujący obywatela Nataniela Bumpo na stanie w ciągu godziny pod pręgierzem na placu publicznym, odsiedzenie miesiąca w więzieniu i zapłacenie stu dolarów kary. Ze względu na podeszły wiek uwolniono go od chłosty, którą prawo w podobnych wypadkach zaleca stosować.

- A skądże, na miły Bóg, wezmę tyle pieniędzy? - zawołał Bumpo ze zdumieniem. - Jeżeli mnie zamkniecie, nie będę w stanie zarobić upolowaniem zwierzyny, wszak nie wypłaciliście mi nagrody za zabicie pantery. Oddam wszystko, ale nie pozbawiajcie mnie widoku lasów i nieba! Dałem ci kiedyś, panie sędzio, gościnę w mojej chacie, przyrządziłem pieczeń z jelenia. Nie uważałeś wówczas zabicia jelenia za występki! Dużo złego mówią ludzie o tobie, panie sędzio Temple, ale ja nie wierzę, abyś dozwolił ukarać tak biednego starca za to, że się bronił! Puście

mnie, za długo już tu siedzę wśród tłumu, muszę wracać do lasu!

Sędzia zdawał się staczać ciężką walkę z sobą, wreszcie rzekł:

- Odprowadźcie więźnia pod pręgierz!

W tejże chwili stała się rzecz zgoła niespodziewana. Beniamin ukazał się na sali, przecisnął się przez tłum i stanąwszy jedną nogą na oknie, drugą oparł na poręczy ławki. Wydobył z kieszeni skórzany woreczek i dał znak, że chce mówić.

- Oto jest trzydzieści pięć piastrów hiszpańskich - rzekł, zwracając się do sędziego. - Ofiaruję je jako ładunek dla tego starego statku, zwanego Bumpo. Przyjmijcie to jako pierwszą ratę należności, pozwólcie mu żeglować, a jestem przekonany, że odda wszystko czego żąda prawo.

Wszyscy byli zdumieni niesłychanie, zrobił się gwar na sali, więc szeryf stuknął w stół końcem pałasza i krzyknął groźnie:

- Cisza!

- Trzeba skończyć z tym - powiedział sędzia mocno wzruszony. - Niech straż odprowadzi więźnia pod pręgierz, a pisarz niech obwieści rozpoczęcie innej sprawy.

Wyprowadzono starego strzelca z sali. Nie opierał się, szedł w milczeniu, z głową zwieszoną na piersi.

Tłum pośpieszył, aby przyjrzeć się ciekawemu widowisku.

Kara pręgierza polegała na usadowieniu skazanego pod grubym słupem, przy czym kładziono mu nogi w dyby.

Słup był wbity nie opodal więzienia, tworzył cztery ścianki, żeby czterech winowajców mogło w tym samym czasie odbyć ową karę.

Natty usadowił się i czekał aż mu skrępią nogi. Beniamin zajął miejsce obok niego pod pręgierzem.

- Jakie to głupstwo wciskać żelazne obręcze na nogi człowieka, jak na beczkę! - zawołał wzruszając ramionami... - Co to za kara wetknąć nogi w dziurę, a potem siedzieć godzinę i odpoczywać sobie! Zupełnie śmieszna rzecz!

- Wcale to nie śmieszne, jeśli siedemdziesięcioletniego starca wystawiają na widok tych gapiów, co się tam tłoczą i patrzą jak na dzikiego zwierza! - odparł Bumpo ponuro.

Beniamin prosił, aby jego również zakuto w dyby.

- Ależ panie, cóż znowu, nie miałem rozkazu... - mówił pacholek.

- Ja właśnie każe! Któż ma większe prawo nad moimi nogami ode mnie? Rób, co ci mówię. Chcę siedzieć obok tego zacnego człowieka - mówił Beniamin.

- Wszystko to fraszka, kochany panie! - zwrócił się do strażnika. - Znałem na statku wielu najzaciejszych ludzi, których jednak przywiązywano do wielkiego masztu za to jedynie, że

zapomnieli o wypitej poprzednio porcji grogu i powtórnie stanęli do podziału. Jesteś teraz, mój kochany Bumpo, niby statek na morzu podczas wielkiej ciszy! Najlepszy żeglarz nic wtedy nie może poradzić, ale to nie trwa długo. Powiadam ci, Skórzana Pończochu, jak żyć pragnę, tak cię nie opuszczę i jak nam tylko pozwolą podnieść kotwicę, popłynę razem z tobą na bobry.

Nataniel uśmiechnął się smutno i rzekł:

- Nawykliście do przebywania pomiędzy ludźmi i trudno byłoby wam przyzwyczaić się do lasu.

- Jeśli jestem czyim przyjacielem, to już do grobowej deski! Ale wiesz - dodał Beniamin - że zaczynam czuć zdrętwienie w nogach. Czy nie dobrze byłoby nam pokrzepić się jakim napojem?

Bumpo siedział z głową pochyloną i nic nie odpowiadał, zatopiony w dręczących rozmyślnościach. Beniamin milczenie swego sąsiada uważał za zgodę, wydobył więc z kieszeni skórzany worek z pieniędzmi i spojrzął na otaczających, szukając wzrokiem kogo by posłać do oberży Hollisterów.

W tym czasie właśnie Hiram Dulitl wraz z Jotamem, wyszli z sądu. Hiram zbliżył się do przegierza z wyraźnym zamiarem nasycenia zemsty widokiem udręki starego strzelca. Spotkawszy się jednak z jego spojrzeniem pełnym pogardy, odwrócił szybko głowę.

Beniamin schował worek do kieszeni i szeroką dłonią pochwycił Hiram za nogę, ścisnął mocno jak obcęgi, po czym korzystając z dogodnego położenia i niezwyklej siły, cisnął nim o ziemię, mówiąc szyderczo:

- Ach ty, pyszny statku korsarski, co pod różnymi pływa banderami! Nie dość ci było usidlić tego zacnego starca, ale przyszedłeś jeszcze napaść wzrok jego poniżeniem! Ta oto pięść ciężiej na ciebie spadnie, niż młot na kowadło.

- Uderz, jeśli masz śmiałość - odpowiedział Hiram - a ja cię każę...

Więcej już nie mógł wykrztusić, gdyż Beniamin lewą ręką zdusił go za gardło, prawą zaś walił z całej siły po głowie.

Powstał straszny zamęt wśród świadków tej sceny. Jedni uciekali z obawy, by ich nie podejrzewano o udział w bójce i nie ciągnano po sądach, inni cisnęli się bliżej, robiąc tłok i zamieszanie.

W tym momencie nadbiegł zadyszany szeryf i począł ubolewać nad niezgodą powstałą pomiędzy dwoma najbardziej ulubionymi przez niego ludźmi, miał bowiem zarówno do Beniamina, jak do Hirama szczególną słabość; a ten ostatni krzyczał właśnie rozpaczliwie:

- Na pomoc, panie szeryfie, na pomoc! Ukarzcie tego zuchwałego napastnika.

- Beniaminie, w jaki sposób tu trafiłeś? Miałem cię zawsze za takiego spokojnego człowieka - strofował go szeryf.

Hiram, wyrwawszy się z żelaznych rąk Ben Pompa, stękał i wyrzekał, domagając się niezwłocznego ukarania. Ryszard musiał stanąć w obronie poturbowanego mocno urzędnika, a że właśnie godzina kary Bumpa dobiegała końca, szeryf zarządził odprowadzenie Beniamina razem ze starym strzelcem do więziennej celi.

Przez resztę dnia Ben Pompo zajęty był przyjmowaniem odwiedzających, którzy rozmawiali z nim przez kratę, gdyż znany w całym Templtonie cieszył się ogólną życzliwością. Bumpo przechadzał się po celi w milczeniu, z głową pochyloną na piersi.

Nad wieczorem przyszedł Oliwier i długo rozmawiał ze swym starym przyjacielem, który się pod wpływem słów młodzieńca trochę uspokoił.

Billy Kirby bawił najdłużej pod oknem więziennym i około ósmej godziny wieczorem odniósł wypróżnioną wraz z Beniaminem flaszkę do "Śmiałego Dragona". Wówczas Bumpo zakrył okno derką, ażeby natręci nie zaglądali wciąż do wnętrza i nie zakłócali spokoju, po czym obaj więźniowie ułożyli się do snu.

Rozdział XVIII - Ucieczka Bumpa i Beniamina - z więzienia

W tym samym czasie sędzia Temple przechadzał się z córką i z panną Grant po topolowej alei prowadzącej do jego domu.

- Nikt łatwiej od ciebie nie potrafi ułagodzić tego wzburzonego umysłu - mówił sędzia - lecz staraj się usprawiedliwić wyrok, pamiętaj o tym, że świętość prawa powinna być szanowana.

- Trudno, mój ojczym, abym przyznawała słuszność prawu, które skazało Nattiego na więzienie za rzecz tak błahą.

- Ublżenie wykonawcom prawa jest wielkim przestępstwem, moje dziecię, a cóż by powiedziano o mnie, gdybym okazał pobłażanie jedynie przez wdzięczność za to, że Bumpo ocalił ci życie?

- Rozumiem całą trudność twego położenia, mój ojczymku - mówiła Elżunia - ale jestem głęboko przekonana, że stary strzelec nic nie zawinił, a natomiast za winnych uważam tych, którzy go prześladowają.

- A zatem i sędziego Tempła?... - rzekł ojciec ze smutnym uśmiechem.

- O nie! nie!... Ale nie pytaj mnie więcej, czekam na twe rozkazy i biegnę je wykonać niezwłocznie.

- Idź więc, dziecko drogie, i nim zamkną więzienie, zanieś to na pociechę swemu wybawcy, by miał czym zapłacić karę.

To mówiąc sędzia wręczył Elżuni dwieście dolarów i kartkę, na mocy której miał ją wpuścić odzwierny.

Elżunia z radością chwyciła podany woreczek i razem z Ludwinią udały się szybkim krokiem w stronę więziennego gmachu.

Zmierzch zapadał, na ulicach miasteczka panowała zupełna cisza. Dopiero w pobliżu więzienia przyjaciółki dostrzegły wóz z sianem zaprzężony w parę wołów, podążający w tę samą co one stronę. Obok wozu szedł woźnica stąpający ciężkim krokiem jak gdyby był bardzo znużony. Zatrzymał wóz w pobliżu więzienia i rzucił wołom wiązkę siana, Elżunia wymijając go, spojrzała mimo woli i z wielkim zdumieniem rozpoznała Oliwiera w przebraniu woźnicy.

- To pan?

- Pani tu?

Okrzyk jednocześnie wyrwał się z ust obojga.

- I panna Ludwika również?... Przepraszam, że nie zauważyłem od razu. Panie wybrały się na spacer w tę stronę?...

- Idziemy do więzienia - odrzekła Elżunia - musimy zobaczyć Nattiego, jeżeli pan też do

niego idzie, prosimy o chwilę cierpliwości.

- Będę czekał jak długo pani rozkaże - odpowiedział Oliwier. - Czy mogę prosić, aby panie nie mówiły nikomu, że tu jestem?

- Może pan być pewny, że go nie zdradzimy - szepnęła Elżunia.

Odźwierny nie okazał wcale zdziwienia, widząc przybyłe; ogólnie wiadano, że Bumpo wybawił dziewczęta od śmierci, więc ich troskliwość o starego strzelca wydała się straży zupełnie naturalna.

Elżunia z Ludwinią szły korytarzem poprzedzane przez strażnika, który obrócił klucz w zamku więziennej celi, drzwi jednak nie otworzyły się od razu.

- Bacność! Kto idzie? - odezwał się Benjamin.

- Idą osoby, które rad będziesz powitać - odpowiedział strażnik. - Ale co zrobiliście z zamkiem? Nie można otworzyć.

- Zagwoździłem armatę, ażeby nieprzyjaciel nie mógł jej przeciw nam użyć. Niechby tu wszedł Dulitl, miałby się z pyszna, ale wiem, że dziś nie wstanie, dobrze go poturbowałem - chichotał Benjamin za drzwiami. - Już usunięte zawady, proszę wejść teraz.

Po picciu razem z przyjaciółmi, którzy go cały dzień nawiedzali, wyglądał, mówiąc jego stylem, "jak maszt okrętu burzą miotany". Ujrawszy swą młodą panią, oparł się plecami o mur, żeby nie stracić równowagi i uśmiechnął się z niezmiernym zadowoleniem.

Strażnik zwrócił się do niego surowo:

- Za psucie zamków można dostać na ręce obrączki. Ciężko będzie dźwigać!...

To rzekłszy, postawił świecę na stole i oznajmił pannom, że za kwadrans, to jest o dziewiątej, musi zamknąć więzienie.

Po odejściu strażnika, Elżunia podeszła do Bumpa i powitała go życzliwie.

- Przychodzę spłacić dług wdzięczności - rzekła z żywością, kładąc woreczek na stole. - Ach, jak to się źle stało, że nie pozwoliliście przeszukać mieszkania! Nie byłoby powodu do tej całej awantury i przykrości, jakie was spotkały!

- Sądzi pani, że mogłem wpuścić do siebie te jaszczurki? - oburzył się Bumpo. - Nigdy! Mogą sobie grzebać w zgliszczach i popiele ile im się tylko podoba. Nie przeszkadzam.

- Chatę odbudujemy, obszerniejszą i wygodniejszą niż tamta. Sama nad tym będę czuwać - zapewniała Elżunia.

- Panienko droga! Czy masz sposób wskrzeszenia tego co umarło? - szepnął Natty załamanym głosem. - Czy pojmujesz, co znaczy utracić ką, gdzie się czterdzieści lat przeżyło? Te rzeczy, na których przez całe życie wzrok spoczywał? Jesteś jeszcze bardzo młoda, panno Elżbieto, ale Bóg nic doskonalszego nad ciebie nigdy nie stworzył! Miałem myśl jedną, pewną nadzieję,

która by się mogła spełnić, lecz teraz wszystko skończone, po tym, co zaszło...

Elżunia zapłonila się nagle, jakby wyczuwając myśl starca. Ludwinia ocierała oczy zroszone łzami.

- O chatce wciąż będę myśleć postaram się żeby jak najprędzej była gotowa - mówiła Elżunia - byście żyli w dostatku i spokoju.

- Masz zacne chęci i zamiary, moja śliczna panienko - odpowiedział Bumpo wzruszony - ale spełnienie ich jest zupełnie niemożliwe. Wystawiony raz na wzgardę i pośmiewisko ludzi nie będę w stanie znieść ich widoku.

- Do licha z nimi i z twoim pręgiem! - zawołał naraz Beniamin z dobrą miną. - Wyprawa na bobry musi się udać!

- Beniaminie proszę zachowywać się jak należy - rzekła Elżunia z powagą.

- Pani jest moim kapitanem, winienem ci posłuszeństwo, panno Elżbieto - bełkotał Ben Pompo, prostując się.

Bumpo tymczasem nasłuchiwał. Dał się słyszeć jakiś szelest za oknem.

- Otóż i moment już przyszedł - powiedział - słyszę jak woły rogami potracają o ściany więzienne. Musimy się pośpieszyć.

- A więc czekam rozkazu i podnoszę kotwicę - zawołał Beniamin z dobrą miną. - Wyprawa na bobry musi się udać!

Natty spojrział na Elżunię wzrokiem łagodnym i zapytał:

- Wszak nie zdradzicie nas? Nieprawdaż? Nie zamierzam uczynić nic złego, pragnę tylko oddychać znowu powietrzem gór i lasów. Kazali mi zapłacić sto dolarów, muszę je zarobić jak najprędzej, a ten zacny człowiek obiecał mi pomoc.

- Tak, tak - odrzekł Ben Pompo. - Uzbieramy znacznie więcej, niż na opłacenie kary potrzeba.

- Nie myślcie o ucieczce - zawołała Elżunia - miesiąc szybko minie. Karę jutro zapłacicie, przyniosłam te pieniądze dla was. Dwieście dolarów w złocie.

Natty wzruszył ramionami.

- Co? Miałbym tu siedzieć beczynn timerzydzieści dni i trzydzieści nocy? Nie, ani chwili dłużej wytrzymać nie potrafię! Złoto? - dodał, biorąc worek z dziecinną jakąś ciekawością. - Bardzo dawno już nie widziałem złota, jeszcze podczas wojny.

To mówiąc począł przerzucać złote monety z jednej dłoni na drugą.

- Dla mnie te skarby? Za co? - szepnął zdumiony.

- Za co? - powtórzyła Elżunia. - Czyż nie ocaliliście nam życia? To jest drobiazg wobec tego, co wyście zrobili!

- Powiadają, że w Dolinie Wiśniowej jest do sprzedania fuzja niosąca dalej niż o sto kroków. Bach! Nieźle byłoby mieć taką broń na stare lata. Ale - dodał machnąwszy ręką - moja strzelba mnie przeżyje, nie warto już kupować nowej.

Odsunął woreczek z pieniędzmi i zadumał się chwilę.

- Zachowajcie te pieniądze, bo gdyby nawet udało się wam umknąć, przydadzą się z pewnością - mówiła Elżunia, patrząc ze współczuciem na starego strzelca.

- Nie, za nic w świecie nie przyjmę - odrzekł Bumpo. - Mam tylko jedną prośbę, abyś, dobra panienko, zechciała kupić dla mnie rożek prochu za dwa dolary we francuskim sklepie. Wielka by to była dla mnie pociecha.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Elżunia - ale gdzież was mam szukać?

- Gdzie? - powtórzył stary strzelec zamyślając się chwilę. - Jutro w południe na górze, tam nad moją chatką. Proszę tylko uważać, aby proch był drobnoziarnisty i błyszczący, bo taki jest najlepszy.

- Przyjdę i przyniosę wam proch. Daję wam na to słowo.

Wtedy Natty, usiadłszy na podłodze, oparł się mocno o kawałek drewnianej ściany poprzednio wypiłowanej i wysunął na zewnątrz kłoc drzewa. Przez ten otwór można się było z łatwością wydostać. Kłoc widocznie spadł na położone w tym miejscu siano, gdyż nie słychać było najmniejszego łoskotu. Elżunia i Ludwinia spojrzały na siebie porozumiewawczo. Więc to w tym celu Oliwier przebrał się za woźnicę i ulokował wóz z sianem w pobliżu więzienia. Ucieczka widocznie była już z góry zaplanowana.

- Prędeż, Ben Pompo, nie ma co drzemać, za godzinę już księżyc wschodzi! - mówił Bumpo.

- Wstrzymajcie się chwilę - szepnęła Elżunia - niechże ucieczka z więzienia nie nastąpi w obecności córki sędziego. Zostawcie nam czas do odejścia.

Zaledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, zapukano do drzwi i strażnik oznajmił, że wybiła godzina zamknięcia więzienia. Natty pociągnął za nogi opartego wciąż o ścianę i kiwającego się Beniamina, tak że jego plecy zakryły otwór, zanim drzwi się otwały.

- Idziemy już, idziemy. Bądźcie zdrowi - zawołały dziewczęta swobodnym tonem.

- Drobny i błyszczący... - szepnął Natty, ciesząc się w myśli zapasem prochu, który miał dostać nazajutrz.

Elżunia skinęła głową i wyszła szybko wraz z Ludwinią na ulicę. Słyszały zamykanie za sobą rygli i łańcuchów, dwie olbrzymie sztaby żelazne miały zabezpieczać owe zbudowane z drzewa więzienie, o kruchych ścianach, które tak łatwo dały się przepiłować.

- Musisz koniecznie wręczyć panu Oliwierowi te pieniądze dla Nattiego - szepnęła Ludwika

- mój ojciec również dał mi trochę grosza dla niego.

- Cicho, - odrzekła Elżunia. - Słyszę szelest na sianie. Boże, żeby ich nie przyłapano!

Zbliżywszy się do miejsca, w którym wóz się zatrzymał, zobaczyły Oliwiera i Bumpa zajętych wyciąganiem Beniamina przez otwór. Zaledwie mógł się w nim zmieścić. Wydobywszy wreszcie z trudem nie mogącego już ustać na nogach Ben Pompa, oparli go o ścianę.

- Wrzuć prędko siano do wozu - szepnął Bumpo do Edwardsa - nie powinni wiedzieć jakiego użyliśmy sposobu do ucieczki.

Jednocześnie w więzieniu powstał zamęt. Światła błysnęły. Odsuwano rygle. Nie było ani chwili czasu do stracenia.

- Musimy zostawić Beniamina, nie ma innej rady - rzekł Edwards.

- Niemożliwe! Połowę wstydu pręgiem mi oszczędził! Za pobicie Dulitla ukarzą go ciężko. Weźmiemy go z sobą.

- Ale w jaki sposób?

- Rzućcie go na siano i pognajcie woły - szepnęła Elżunia przechodząc obok nich.

- Doskonała rada - odrzekł Oliwier z uśmiechem.

Wsadzili Ben Pompa na wóz, wetknęli mu bicz w rękę i popędzili woły. Sami tymczasem pod osłoną ciemności, dostali się na wąską uliczkę prowadzącą na drugi koniec miasteczka.

Cmokając i przemawiając do wołów Beniamin jechał powoli wyobrażając sobie, że podąża na polowanie.

Słyszając krzyki od strony więzienia, gromadka ludzi zabawiających się w oberży pod "Śmiałym Dragonem" wybiegła na ulicę. Dowiedziawszy się o poszukiwaniu zbiegów, jedni się śmiali, inni wyrzekali na brak dozoru. Najdonośniej brzmiał głos pijanego Billy Kirby, który przechwalał się, że natychmiast odszuka więźniów. Nattiego wsadzi do jednej kieszeni, a Ben Pompa do drugiej.

Elżunia i Ludwika w kilka minut znalazły się w topolowej alei i były już bardzo blisko domu, gdy naraz dostrzegły dwóch ludzi doganiających je z pośpiechem.

- Natty i Edwards - szepnęła Elżunia ściskając rękę przyjaciółki.

- Prawdopodobnie nie zobaczę pani już nigdy w życiu - brzmiał cichy głos Oliwiera. - Dzięki za współczucie okazane nieszczęśliwemu... Ani się domyślcie, panie, jak wielkie obowiązki wdzięczności mam dla niego!

- Uciekajcie, prędzej! - przerwała Elżunia. - Śpieszcie nad brzeg jeziora, weźcie czółno ojca, dopóki jest ciemno dostaniecie się do lasu. Odpowiedzialność za czółno biorę na siebie.

- Nie zapomni pani o prochu? - szepnął Natty. - Niech was obie Bóg błogosławi za wasze zacie serca - dodał wzruszony.

Oliwier dorzucił również serdeczne słowo pożegnania, po czym zniknęli obaj a przyjaciółki powróciły do domu.

Billy Kirby tymczasem, spotkawszy wóz z sianem, poznał ze zdumieniem, że to były jego własne woły pozostawione przy mostku i przyzwyczajone oczekiwać tam na swego pana, gdy gasił pragnienie pod "Śmiałym Dragoem".

- Dalej do rudla! - komenderował z wysokości napelnionego wozu niezupełnie trzeźwy Benjamin i, wywijając biczem, poczęstował nim Kirbego.

- Któż tam u licha wgramolił się na mój wóz? - krzyczał drwał oburzony.

- Kto? Nie widzisz, małego zielona? Sternik kieruje statkiem.

Billy Kirby uśmiechnął się z zadowoleniem poznawszy Ben Pompo, którego dobry humor wysoce cenił.

- Gdzież to zamierzacie udać się na moim wozie? - zapytał Billy.

- Zamierzamy naładować statek skórami bobrowymi. Ja i Bumpo, rozumiecie? A więzienie hen, tam pozostało za nami.

Billy wziął lejce z rąk kiwającego się na wszystkie strony Beniamina i szedł przy wozie, kierując się ku lasowi. Ben Pompo nie wiedząc już o Bożym świecie zachrapał mocno, zwaliwszy się na siano. Billy nie domyślał się nawet, że to Oliwier takiego mu figla wypłatał i zabrał wóz stojący nie opodal oberży ale, że lubił wszystko, co wychodziło poza obręb powszedniości, chętnie wiozł jednego ze zbiegów w bezpieczne miejsce, gdyż miał nocować w lesie i rano zabrać się tam do wybierania miodu z uli.

Elżunia ze swą przyjaciółką długo jeszcze stały w oknie, skąd widać było doskonale strażników z pochodniami, biegnących w różne strony, aby szukać zbiegów, lecz po jakimś czasie powrócili z niczym i cisza zapanowała w miasteczku jak gdyby nic nie zaszło.

Rozdział XIX - Pożar lasu. - Śmierć Czyngaszguka. - Ocalenie Elżuni

Nazajutrz panny poszły do sklepu pana Le Quoi, chcąc wypełnić przyrzeczenie dane staremu strzelcowi.

Francuz z wyszukaną grzecznością powitał gości, a twarz jego wyrażała niezwykłą radość.

- Czy otrzymał pan jaką pomyślną wiadomość? - zapytała Elżunia, siadając na podanym sobie krześle.

- O tak, poznała pani od razu - odparł Le Quoi, wskazując na list trzymany w ręku. - Przed chwilą go otrzymałem. Jeszcze będę oglądać kochaną moją Francję! Z rozkoszą myślę o tym!

Le Quoi, tak samo jak wielu opuszczających Francję na początku rewolucji, umknął bardziej ze strachu niż z potrzeby i udał się do Martyniki, gdzie miał posiadłość. Wpisany został na listę emigrantów, a gdy majątek jego skonfiskowano, uciekł do Nowego Jorku, po czym idąc za radą Templa doskonale potrafił wybrnąć z kłopotów. Donoszono mu właśnie, że może śmiało wracać do Francji i majątek zostanie mu zwrócony.

Panny powinszowały uprzejmie panu Le Quoi szczęśliwego dłań obrotu rzeczy i kupiwszy rozek prochu, tak upragniony przez Nattiego, udały się w stronę góry, gdzie miały spotkać starego strzelca. Przed lasem Ludwika zatrzymała się. Elżunię przeraziła bladość jej twarzy, zdawało się, że siły ją opuszczają i lada chwila upadnie zemdlona.

- Taki straszny lęk czuję, zbliżając się do miejsca, gdzie nas spotkał ów okropny wypadek! Nie mam odwagi iść dalej - szepnęła Ludwika, drżąc cała. - Nigdy w życiu nie zapuszczę się w gąszcz leśny!

- Pójdę więc sama, a ty wracaj do domu - oświadczyła Elżunia stanowczym tonem - chociaż, wolałabym abyś tu na mnie zaczekała.

- Choćby rok cały, ale nie wymagaj, żebym szła z tobą na górę; czuję że zabrakłoby mi siły.

Elżunia rozstawszy się z przyjaciółką, szła śmiałym krokiem przed siebie, przyglądając się z zaciekawieniem zmianom zaszłym w otaczającej ją przyrodzie. Długa posucha zabarwiła liście drzew brunatnym tonem. Wyschnięte trawy miały barwę płową. W lesie było duszno i gorąco.

U szczytu góry znajdowała się niewielka płaszczyna, tam właśnie Elżunia spodziewała się spotkać starego strzelca. Doszedłszy szczęśliwie do celu, spojrzała na zegarek, kilka minut jeszcze brakło do umówionej godziny. Sądząc, że Natty musi gdzieś być ukryty w pobliżu, poczęła nawoływać z cicha, następnie głośniejszym głosem, ale odpowiadało jej tylko echo. Stropiona tą niesłownością Bumpa, nasłuchiwała jeszcze przez pewien czas bardzo uważnie, wreszcie doszedł jej uszu jakiś szmer dziwny podobny do dmuchania. Zeszła nieco niżej po stromym zboczu na skalistą płaszczynę, a stanąwszy tam, z przerażeniem spojrzała w przepaść u jej stóp rozpostartą.

Zaszeleściły powiedłe liście, Elżunia zwróciła oczy w tę stronę. Na pniu dębu siedział wynędzniały Mohikanin. Długie czarne włosy spadły mu pasmami na szyję i ramiona. W uszach miał pozawieszane srebrne ozdoby pomieszane ze szklanymi paciorkami według indiańskiego obyczaju. Pomarszczone czoło przecinały czerwone linie, tak samo również całe ciało było fantastycznie malowane w różne linie i zygzaki. Cała postać przedstawiała indiańskiego wojownika gotującego się na ważną wyprawę.

- Johnie - zawołała Elżunia zbliżając się do niego - jakże wam zdrowie służy? Tak dawno nie pokazywaliście się ani u nas, ani w miasteczku. Przrzekliście mi upleść koszyk z łoży, a już od miesiąca uszyta dla was koszula czeka waszego przybycia.

Indianin patrzył przez chwilę ponurym wzrokiem, jakby nie mogąc wymówić słowa, wreszcie szepnął cichym, gardłowym głosem:

- Ręka Johna już nie może pleść koszyków, koszula już mu nie potrzebna!

- Ale John wie, że gdyby czego potrzebował, może zawsze śmiało do nas się zwrócić. Zdaje mi się, że ma do tego wszelkie prawo.

Indianin, nie ruszając się z miejsca, ciągnął tym samym bezdźwięcznym całkiem głosem.

- Sześć razy dziesięć lat minęło, od czasu, gdy John wiosnę życia rozpoczynał, John był natenczas młody, smukły, jak to drzewo przed nami, prosty jak linia strzału Sokolego Oka, mocny jak bawół, zręczny jak lampart, a waleczny jak Młody Orzeł. Gdy naród jego ścigał wroga przez kilka słońc Czyngaszguk umiał wynajdywać ich ślady. Żaden wojownik nie przynosił tyle czaszek nieprzyjacielskich z bitwy! Kiedy kobiety płakały, nie mając czym wyżywić dzieci, pierwszy był do polowania, a kula jego trafiała najbardziej rączego daniela w biegu. Ale Czyngaszguk nie plótł wówczas koszyków!

- Czasy się zmieniły, Johnie, zamiast wojować z nieprzyjaciółmi, nauczyłeś się obawiać i czcić Boga, i żyć z ludźmi w zgodzie.

Mohikanin potrząsnął głową i patrzył na Elżunię głęboko zapadniętymi oczami, po czym rzekł:

- Spójrz na to jezioro, na góry i dolinę. John był młody, kiedy wielka rada jego ludu oddała Pożeraczowi Ognia ten kraj i wszystko, co on mieści, poczynając od góry, której widzisz błękitne czoło aż do miejsca, gdzie wzrok przestaje widzieć bieg Suskehanny. Żaden Delawar nie zabiłby daniela w tym lesie, ani ptaka przelatującego nad tą ziemią, ani nie wyłowiłby ryby z tej wody, bo oni wszystko oddali Pożeraczowi Ognia, który był mocny i opiekował się nimi. Czyż obawiali się Boga ci, którzy Pożeraczowi Ognia odebrali ziemię przez nas jemu daną, którzy pozbawili go tej ziemi i dziecię jego i dziecko jego dziecięcia, orle młode? Czy żyli oni w zgodzie z ludźmi?

- Tak się dzieje wśród białych, Johnie, i wśród Delawarów również - odrzekła Elżunia. -

Czy nie zamieniają oni ziemi na proch lub inne towary? Indianin spojrział na nią z wyrzutem.

- A gdzie są towary, którymi biali okupili prawo własności Pożeracza Ognia? Czy powiedzieli mu: "weź to srebro, tę broń, tę odzież, a daj nam twoją ziemię?" Wydarli mu tę ziemię, nie pytając wcale, czy obrabowany ma z czego żyć, czy też umrzeć ma z głodu. Tacy ludzie nie żyją w pokoju i nie boją się Wielkiego Ducha!

- Nie rozumiem was, Johnie. Nie znacie praw ani obyczajów białych ludzi, a sąd o nich wydajecie srogi. Zdaje mi się, że nie powinienes ojca mego oskarżać w żadnym razie, jest bowiem dobry i sprawiedliwy.

- Dobry jest - potwierdził John - mówiłem to Sokolemu Oku, mówiłem Młodemu Orłowi, że przyjdzie czas, kiedy zrobi co sprawiedliwość każe.

- Kogo zowiecie Młodym Orłem, Johnie? - zapytała Elżunia spuszczać oczy. - Kim on jest? Skąd przybył? Jakie ma prawa do tej ziemi?

- Tak długo przebywał pod waszym dachem, a ty o niego się pytasz? John jest stary, starość ziębi krew w żyłach, jak zima wodę w jeziorze, ale młodość ogrzewa serca, jak promienie słoneczne ożywiają naturę na wiosnę. Młody Orzeł ma oczy bystre, czyżby język jego nie był tak bystry, jak oczy?

- Przedemną tajemnic swych nie wyjawiał - szepnęła Elżunia, kryjąc śmiechem swe zakłopotanie. - Zanadto przejęty jest widocznie zasadami Delawarów, by myślami swymi dzielić się z kobietą!

John pokręcił głową z niedowierzaniem.

John miał żonę i synów, i córki. Miłował matkę swych dzieci i myślami się dzielił.

- Cóż się stało z nimi? - pytała Elżunia z wielkim zainteresowaniem.

- A co się stało z lodem pokrywającym jezioro zeszłej zimy? Stopniał i zmieszał się z wodą! John żył za długo, bo widział całą rodzinę, jednych po drugich przenoszących się do Wielkiego Ducha. Ale i Johna godzina wybiła i jest w pogotowiu.

Mohikanin umilkł i skłonił głowę na piersi. Elżunia nie wiedziała co począć. Chciała w jakiś sposób rozproszyć smutne myśli starego wojownika, ale nie znajdowała odpowiednich słów. Wydawało się jej w tej chwili, że patrzy na jakiś posąg wykuty z brązu, noszący wyraz godności i niemego smutku w ostro zarysowanych rysach. Przerwała jednak długie milczenie, pytając:

- Gdzie jest Natty? Czy nie widzieliście go, Johnie? Prosił, abym mu przyniosła rożek z prochem; może zechcecie mu to oddać?

Mohikanin z wolna podniósł głowę i wyciągnął rękę:

- To największy wróg rodu ludzkiego - rzekł w końcu. - Czy biali mogliby wygnać Delawarów bez strzelb i prochu? Gdy Johna nie będzie, nie pozostanie na świecie ani śladu z jego

plemienia!

Z rękami opartymi na kolanach, siedział stary wódz wodząc oczami dokoła, jak gdyby żegnając na zawsze rozpostartą przed nim okolicę.

- Wszyscy, wszyscy poodchodzili! Nie mam już nikogo na tej ziemi! Jeden mi pozostał: Młody Orzeł, i ten z krwi białych pochodzi! - rzekł Mohikanin i westchnął głęboko.

- Kim on jest? Dlaczego go kochasz? Skąd przybył? - ponowiła Elżunia swe pytania.

Indianin wstrząsnął się słysząc te słowa, ściągające znów jego myśli, ku ziemi. Ujął dziewczynę za rękę i usadowił na pniu obok siebie, a wyciągnąwszy rękę ku północy, rzekł głosem stłumionym:

- Patrz, wszystko co widzisz, jak daleko wzrok sięga należało do niego...

Zaledwie zaczął mówić, kłęb gryzącego dymu wzbil się nad ich głowami i gęstą szarą powłoką zasłonił widok przed nimi. Elżunia zerwała się wystraszona. Dostrzegła, że wierzchołek góry otulony był czarną chmurą. W pewnej odległości dał się słyszeć jakiś huk złowieszczy, jakby straszny huragan miał rozszaleć się za chwilę.

- Co to może być, Johnie? - zawołała Elżunia. - Jesteśmy dymem otoczeni i żar na mnie bucha!

Jednocześnie od strony lasu zabrzmiał głos pełen niepokoju:

- Gdzie jesteś, Johnie? Mohikaninie! Las się pali! Uciekaj! Jedna chwila zwłoki zgubić cię może!...

John nadał policzki i uderzył ręką po ustach, wydając odgłos podobny do syczenia węża, jaki uprzednio ściągnał na siebie uwagę Elżuni. W zaroślach dały się słyszeć przyśpieszone kroki i Oliwier Edwards stanął przed starym wodzem.

- Byłbym niepokieszony przez całe życie, gdybym miał cię utracić! - zawołał młodzian zdyszany. - Wstawaj prędzej! Ruszajmy stąd! Płomienie otoczyły skałę. Jeżeli ogień się wzmoże zginieemy!

Elżunia przerażona, usunęła się na stronę, słysząc głos Edwardsa. Mohikanin wyciągnął rękę w kierunku stojącej pod drzewem Elżuni i rzekł rozkazującym tonem:

- Ocal ją! Nie myśl o Czyngaszguku, śmierć go już przyjąć powinna!

Oliwier ujrawszy Elżunię przejętą strachem, sam nie wiedział co począć i słowa jakby zamarzyły mu na ustach. Wreszcie zawołał z rozpaczą:

- Pani tu?! Także to śmierć jest ci przeznaczona?...

- Czyż doprawdy już nie ma ratunku? Nie mówmy o śmierci! - odpowiedziało dziewczę z prostotą. - Sądzę, że znajdziemy sposób ucieczki.

Te słowa dodały Edwardsowi otuchy.

- Zanadto być może przeraziłem panią - rzekł pośpiesznie. - Może jeszcze uda się przedostać tą samą drogą, którą przybyłem przed chwilą. Ale śpieszmy, śpieszmy, bo czas uchodzi!

- Nie możemy pozostawić Johna na pastwę płomieni! - mówiła Elżunia patrząc z rosnącym współczuciem na starego Mohikanina.

Silne wzruszenie odbijało się na wyrazistej twarzy Oliwiera. Zdawał się toczyć walkę z sobą, wreszcie zbliżył się do sędziwego przyjaciela i obejmując go ramieniem chciał pociągnąć ku sobie, lecz John dał znak, że chce pozostać.

- Niech się pani nie trwoży - rzekł Oliwier, zwracając się do Elżuni ze spokojem pełnym rozpacz. - John przywykł do lasów, zna dobrze górę, widział już podobne pożary; jeśli zechce, potrafi się ocalić, a kto wie, może pozostając na miejscu zdoła przetrwać. Ale my chodźmy, chodźmy - wołał z nerwowym drżeniem w głosie - jeżeli dobiegniemy do tej skały zanim ogień tam dosięgnie, jesteśmy uratowani!

- Panie Edwardsie - szepnęła Elżunia opierając się na jego ramieniu - wzrok pana co innego mówi niż słowa.

Oliwier, podtrzymując mocno Elżunię szedł coraz szybszym krokiem, chociaż kłęby dymu tamowały dech w piersiach.

- Naprzód, naprzód, chodzi o życie! - mówił wzruszony.

Po skalnych złomach piełi się w górę otoczeni obłokami dymu. Żar straszliwy szedł w ślad za nimi. Gdziekolwiek spod stóp prawie wypełzały ogniste płomyki, stosy suchych gałęzi nagromadzone przy drożynie, zapaliły się naraz jakby błyskawicą i objęły pożarem wszystkie drzewa dokoła. Przed uciekającymi stanęła ściana ognia i zagroziła im drogę. Musieli się cofnąć i szukać innego wyjścia, ale gdziekolwiek się zwrócili, wszędzie ogarniał ich straszny żywioł i okropność położenia stawała się coraz jaśniejsza.

- Przenaczenie chciało, żeby ta góra zawsze była fatalna dla mnie - rzekła Elżunia dysząc ciężko.

- Nie traćmy nadziei! - pocieszał ją Oliwier, chociaż przerażenie malowało się w jego oczach. - Jedynym wybawieniem byłoby spuszczenie pani na dół z tej skały. Ale jak to wykonać? Gdyby był Natty, gdyby można ocucić z osłupienia nieszczęsnego Johna, wynaleźliby wspólnymi siłami jakiś sposób. Jednak trzeba próbować, choćby kosztem własnego życia uratować panią muszę!

- Nie myśl pan o mnie tylko, ale i o sobie, i o Johnie - mówiła Elżunia.

Oliwier w mgnieniu oka skoczył z powrotem do starego Indianina, prosząc by mu dał swój płaszcz. John skinął głową nie ruszając się z miejsca, chociaż ogień syczał już w pobliżu. Młody Orzeł podarł na długie pasy płaszcz, własne odzienie i szal Elżbiety, pozwiązywał na mocne węzły

i rzucił z wysokości skały, trzymając za końce, ale z rozpaczą w sercu przekonał się, że nie dochodzi nawet do połowy głębokości.

- Nie ma ratunku! Nie ma nadziei! Ze wszystkich stron pełzają ku nam płomienie! - wyrwał się z ust Elżuni okrzyk przerażenia.

Następnie złożyła ręce z wyrazem rezygnacji. Snopy iskier padały dokoła, Edwards stał z kurczowo zaciśniętymi pięściami jakby gotów do walki, czując jednak, że nie może nic poradzić na rozszalały żywioł. Mohikanin trwał niewzruszenie na swoim miejscu, najbliżej ognia; gasnącym wzrokiem spozierał na dwoje młodych, potem na zasnutą dymem okolicę i cichym, monotonnym głosem nucił pieśń pogrzebową swego wygasłego plemienia. Elżunia odwróciła oczy ze strachem, gdy do pnia, na którym siedział John, już dochodził ogień. Widziała z wysokości góry Templton i dom ojca, a przed nim grupę osób patrzących z przerażeniem na gorejące lasy.

- Ojciec mój! Ojciec! - zawołała jakby przywołując na pomoc tego, który był zawsze jej oparciem i osłoną.

Naraz odezwał się jakiś głos ochryply od dymu, ale niezbyt daleki:

- Gdzie jesteście? Słyszycie mnie?

- To Natty! - krzyknęła Elżunia.

- Tak, to on! Więc nadzieja jeszcze nie stracona - zawołał Oliwier ucieszony.

W tej chwili dał się słyszeć huk i słup ognia wystrzelił w górę.

- To rożek z prochem! Czuję to! Biedne dziecko zginęło na pewno z mojej winy!

Osmolony Natty skoczył jednym susem przez wyschnięty strumień, który chwilowo tamował ogień i stanął przed Elżunią i Edwardsem z twarzą rozplamioną, ociekającą potem, lecz z oczami rozjaśnionymi wielkim szczęściem z odnalezienia zaginionych.

Tymczasem Ludwika czekała przeszło godzinę na Elżunię, wreszcie dostrzegłszy kłęby dymu nad lasem, zamierzała biec do miasta, aby zawiadomić o pożarze, gdy w tej właśnie chwili stanął przed nią Bumpo i rzekł pośpiesznie:

- Cały las w ogniu! Strażnicy poszukujący mnie w nocy rzucali niebacznie pochodnie i ściągnęli to nieszczęście na sędziego. A jest tam głupiec, co się grzebie w ziemi, doszukując się jakichś skarbów z rozkazu szeryfa. Radziłem, żeby uciekał, ale to groch o ścianę! Zginie marnie w tej czeluści, bo z ogniem nie ma żartów! Gdzie panna Elżbieta? Czy nie pozostawiła tu dla mnie prochu?

Twarz Ludwiki wyrażała ogromne przygnębienie.

- Elżunia jest tam, na górze, szuka was, Natty! - odrzekła blednąc coraz bardziej.

- Boże wielki! - wykrzyknął Bumpo, chwytając się za głowę. - Płomienie dosięgają już prawie wierzchołka góry! A na domiar nieszczęścia biedne dziecko ma proch przy sobie! Boże

ratuj!

- Co mam począć? - pytała Ludwika bezradnie.

- Do miasta! Co prędzej trzeba biec do miasta! Wezwać pomocy! Niech śpieszą ratować sędziowskie mienie, ja idę po nią!

To rzekłszy Bumpo zawrócił do lasu i iście młodzieńczym krokiem biegł pod górę.

- Znalazłem was nareszcie! - zawołał dysząc ciężko. - Bogu dzięki! Prędzej za mną!

- Moja lekka sukienka może spłonąć od lada iskry! - zawołała Elżunia.

- Poradzi się na to - odrzekł stary strzelec, wkładając swój kaftan z jeleniej skóry na Elżunię. Przepasał ją jeszcze rzemieniem, aby uchronić sukienkę z białego muślinu. - Teraz chodźcie, bo ciężką mamy drogę, chwila może decydować o życiu lub śmierci.

- A John? - zawołał Oliwier, wskazując Mohikanina.

Bumpo stanąwszy nad starym wodzem począł doń przemawiać.

- Powstań Czyngaszguku! Chcesz upiec się tu, jak Mingos przywiązany do słupa? Boże mój! Proch musiał koło niego wybuchnąć, bo ma całkiem popalone nogi i plecy! Dalej, dalej, za nami!

Ale Mohikanin obojętny był na tę zachętę przyjaciela.

- Dlaczego Czyngaszguk ma iść z wami? - odpowiedział ponuro. - Czas na mnie! Moi wołają: Przybywaj! Wielki Duch daje znak. Czyngaszguk dziś powinien umrzeć!

- Musimy go ocalić wbrew jego woli! - zawołał Oliwier z żywością.

Natty machnął ręką.

- Nic nie poradzisz, gdy Indianin pożąda śmierci!

To mówiąc stary strzelec schwycił jednak zręcznie starego wodza w ramiona, sznurem ze szmat sporządzonych przez Edwardsa przywiązał go mocno i zarzucił na swoje plecy. Zaledwie postąpili parę kroków, potężny pień płonącej sosny zwałił się z łoskotem na to miejsce, które opuścili przed chwilą.

Oliwier i Elżunia szli krok w krok za starym strzelcem, dźwigającym Johna.

- Trzymajcie się strumyka, z którego bucha biała para. Młody Orle, strzeż mi panny Elżbiety jak oka w głowie! Drugiej takiej nie znajdziesz - mruczał stary.

Łożyisko wysuszonego przez pożar strumienia stanowiło szczęśliwie obmyśloną przez Bumpa drożynę, tam bowiem nie mieli przynajmniej żaru pod stopami, nie stały im na przeszkodzie gorejące suche gałęzie i zwalone pnie. Po kwadransie niezmiernie uciążliwej drogi stanęli wreszcie na wyżynie skały, na której nie rosły ani drzewa, ani trawa.

Łatwiej jest sobie wyobrazić niż opisać radość Oliwiera i Elżuni, gdy znaleźli się już w bezpiecznym miejscu, ale najweselszy wydawał się Bumpo. Zwrócił się do swych młodych

przyjaciół z triumfującym wyrazem twarzy, trzymając jeszcze na plecach Mohikanina, i zaśmiał się na swój sposób bezdźwięcznie, otwierając szeroko usta.

- Francuz nie oszukał!... - zawołał niespodziewanie. Można zawsze poznać dobry proch po wystrzale! Kiedym wojował w Kanadzie...

- Poczciwy Natty - przerwała mu Elżunia - powiedzcie raczej czy jesteśmy tu bezpieczni?

- A pewno! - rzekł triumfująco. - Gdybyśmy tam pozostali jeszcze dziesięć minut, już by było po nas! Stąd można przyglądać się śmiało, bo i jest na co popatrzeć!

To mówiąc, posadził Indianina na ziemi, opierając go plecami o skałę. Elżunia usiadła również, czując się bardzo znużoną. Oliwier donośnym głosem zaczął nawoływać.

- Beniaminie! Ben Pompo! Gdzie jesteście?

- Hohe! Ho! - odpowiedział chrapliwy głos, zdający się wychodzić spod ziemi. Jestem na dnie okrętu, gdzie gorąco jak w kotle!

- Przynieście nam wody. Może tam macie choć trochę?... - krzyknął Oliwier.

Beniamin, jak się okazało, schronił się do pieczary, którą Ryszard z Templem oglądali niedawno. Wdrapawszy się z trudem na skałę, podał wodę Elżuni, Edwards i Bumpo też pili chciwie, jeden tylko Mohikanin odmówił.

- Godzina jego nadeszła - szepnął Bumpo - czytam to w jego oczach.

- Żaden Mohikanin nie drży, gdy nadchodzi koniec, Wielki Duch woła, on idzie - mówił John zaledwie dosłyszalnym głosem - odchodzę w krainę sprawiedliwych. Bywaj zdrów Sokole Oko. Pójdiesz z Pożeraczem Ognia i Młodym Orłem do nieba białych, Czyngaszguk idzie do swoich ojców. Niech łuk, strzały, tomahawek i fajka Czyngaszguka złożone będą na jego grobie.

- Wszystko to spełnię według twego życzenia - odrzekł Bumpo, patrząc ze smutkiem na gasnącego przyjaciela.

Gęste chmury gromadziły się na niebie. Płomienie przygasały, spadło kilka kropel deszczu i zygzaki błyskawic odcinały się jaskrawo na ciemnym niebie, zwiastując gwałtowną burzę. Czyngaszguk wyprostował się i wyciągnął ramię ku wschodowi. Promień radości zabłysnął na chwilę na jego twarzy, lecz wkrótce mięśnie ściągnęły się, usta drgnęły, ramiona opadły bez ruchu. Stary wódz odszedł na zawsze.

Natty patrzył w milczeniu w jego twarz posępną i zadumaną.

- Sądzić go będzie Sędzia sprawiedliwy nie według praw ludzkich ale wiekuistych. I mnie już niewiele życia pozostało - mówił smętnie - wszystko poza mną. Drzew dawnych już nie ma i tych ludzi, których w młodości znałem...

Wielkie krople deszczu spadały coraz gęściej. Zaniesiono zwłoki Indianina do pieczary, a wejście założono pniakami.

W lesie słyhać było głośne nawoływania. Szukano Elżuni we wszystkich kierunkach. Sędzia Temple wybrał się też sam na poszukiwanie jedynaczki.

Oliwier odprowadził ją do drogi i rzekł na pożegnanie:

- Minął czas tajemnicy. Jutro o tej godzinie zerwę zasłonę, którą być może ze szkodą dla siebie osłaniałem moją przeszłość. Słyszę głos pani ojca w pobliżu, mogę odejść, z serca spadł mi ogromny ciężar.

Po chwili Elżunia tuliła się do piersi ojca, który ze łzami witał odzyskaną jedynaczkę. Mieszkańcy Templtonu, którzy udali się na poszukiwania, powrócili okopceni, pokryci błotem i popiołem, ale rozpromienieni, że córka założyciela osady uniknęła szczęśliwie okropnej i przedwczesnej śmierci.

Rozdział XX - Walka przy jaskini. - Wyjaśnienie tajemnicy Młodego Orła

Ulewny deszcz padający prawie bez przerwy przez resztę dnia, wstrzymał szerzenie się pożaru. Pozostałe drzewa pokryte były szernią korą i jeszcze dymiły. Jotama Riddla znaleziono ciężko poparzonego w kopanym przez niego dole. Powszechnie mniemano, że Mohikanin także zginął w pożarze.

Falszerze monet przebywający w więzieniu, poszli za przykładem Nattiego i Beniamina i wymknęli się zręcznie tejże nocy, gdy ogień szerzył się w lesie i wszyscy byli zajęci katastrofą. Dulitl przypuszczał, że musieli schronić się w pieczarze i w całym Templtonie o niczym więcej teraz nie mówiono, jak o potrzebie schwytania niebezpiecznych zbiegów. Mówiono też, że to niewątpliwie Edwards i Bumpo podpalili las, żeby zatrzeć ślady ucieczki.

Szeryf postanowił zarządzić wyprawę, sierżant Hollister przypasał też swą ciężką szablę, Dulitl i doktor Todd przyłączyli się do oblawy. Billy Kirby, jak zwykle nieustraszony, szedł w pierwszym rzędzie. Wywiadowcy przynieśli wiadomość, że zbiegów można zaatakować w jaskini, bo tam oszańcowani, widocznie mają zamiar bronić się do upadłego. Ryszard, lubiący robić wszystko z wielką paradą, kazał bić w bębny przy wyjściu z miasteczka. Ochotnicy rozdzielili się na dwa oddziały i pomaszerowali przez spalony las do góry, u stóp której była jaskinia wcale nieźle ufortyfikowana. Otwór otoczony był wałem z pni i gałęzi, za tym oszańcowaniem stał Beniamin i Bumpo. Dostęp był utrudniony, gdyż deszcz sprawił, że grunt był bardzo śliski.

Szeryf komenderował z daleka. Kazał drwalowi żądać od obleżonych natychmiastowego poddania się. Kirby podszedł śmiało, ale w odpowiedzi na jego słowa ukazała się długa strzelba Bumpa i dał się słyszeć stanowczy głos:

- Oddal się Billy; zrozum, że łatwiej mi ciebie postrzelić, niż gołębia w locie!

Kirby cofnął się nieco i, stanąwszy za grubym pniem drzewa, odpowiedział wyzywająco:

- Przez to drzewo nie potrafisz mnie dosięgnąć, ale natomiast fraszką jest dla mnie zwalić je toporem na twoją głowę.

- Jeżeli tak bardzo chcecie wejść do jaskini, zaczekajcie dwie godziny, albowiem leży tu jeden trup, a drugi człowiek dogorywa.

Kirby pośpieszył oznajmić, że Bumpo prosi tylko o zwłokę i że nie należy go drażnić, może bowiem popełnić jakieś głupstwo i postrzelić niewinnego człowieka.

Takie rozumowanie nie trafiło do przekonania szeryfa, lubującego się w efektownych działaniach. Nie wątpiąc ani na chwilę, że w głębi tej pieczary odbywało się przetapianie drogocennych kruszców, postanowił działać szybko i energicznie.

- Kapitanie Hollister - zawołał do sierżanta - wzywam cię do dania mi siły zbrojnej, dla

wykonania prawa! Natanielu Bumpo, rozkazuję ci poddać się bez oporu! Beniaminie Pengillan, masz się udać do więzienia!

- Poddajcie się! - krzyknął Hollister tubalnym głosem. - W razie oporu nie spodziewajcie się od nas pardonu.

- Nie dbam o twój pardon, sierżancie - odpowiedział drwiąco Ben Pompo. - Po co tak głośno krzyczysz, jak gdybyś był na maszcie wielkiego okrętu i mówił do głuchego, stojącego na pokładzie?

- Oznajmiam wam, że posiadamy dostateczną ilość prochu do wysadzenia w powietrze skały, na której stoicie. Podłożę ogień, jeśli nas nie zostawicie w spokoju - rzekł Bumpo.

- Byłoby to poniżeniem mojej godności rozmawiać z tymi buntownikami - zawołał Ryszard i obaj z doktorem przezornie opuścili wnet zagrożoną wybuchem skałę.

Hollister wziął to za hasło do boju i zakomenderował:

- Natrzeć bagnietem! Naprzód, marsz! Nikogo nie przepuszczać, jeśli się nie poddadzą!

To mówiąc, zamierzył się swą ciężką szablą i byłby rozciął Beniamina na dwoje, gdyby nie trafił na armatkę, którą zapalał w tej chwili Ben Pompo. Kilka tuzinów kul wyleciało w powietrze, a Beniamin, odrzucony wybuchem, padł na ziemię.

- Zwycięstwo! Zwycięstwo! Zdobyliśmy warownię! - wołał wielkim głosem Hollister.

W tejże chwili Bumpo uderzył go kolbą po grzbiecie tak mocno, że śmiały dragon wyleciał z owej warowni jeszcze szybciej, niż wleciał i potoczył się po pochyłości aż na sam dół góry. Tam właśnie stała oberżystka, przybyła na czele całej gromadki dzieci osadników, aby oglądać na własne oczy, jak jej mąż stacza bohaterskie boje.

- Jak to sierżancie? - zawołała z oburzeniem. - Uciekasz, jak niepyszny przy pierwszym wystrzale? Na próżno przyniosłam worek do zabrania zdobyczy! Podobno cała pieczara napełniona jest srebrem i złotem, a łupy po bitwie należą do zwycięzcy!

- A to ci uciecha! - śmiał się Billy Kirby z niefortunnej przygody sierżanta.

Widać było, że drwał nie miał ochoty wykorzystać sposobności wtargnięcia do obleganych, chociaż mógł to łatwo uczynić, prowadząc z sobą kilkunastu policjantów.

Hiram Dulitl wychylił głowę, zaciekawiony okrzykami, ale źle wyszedł na tym, Natty bowiem dostrzegł go i wymierzył tak zręcznie, że jego kula trafiła Hiramą poniżej pleców, a Billy Kirby miał znowu powód zanosić się od śmiechu, widząc jak nieborak podskakuje w górę, trzymając się wciąż za zranione miejsce.

Jednocześnie cała gromada rzuciła się z wrzaskiem na szaniec. W tej chwili zagrzmiął donośnie głos sędziego Tempła:

- Stać! Broń do nogi! Czy wykonanie prawa nie może obejść się bez krwi rozlewu?

- Tak jest. Nie przelewajcie krwi! - odezwał się głos ze szczytu góry.

Nacierający cofnęli się, Natty usiadł spokojnie, a wszyscy zgromadzeni stali w osłupieniu oczekując na dalszy bieg wypadków.

Z wierzchołka góry spuścił się zrećnie Oliwier w towarzystwie majora Hartmana i obaj weszli boczną szczeliną do głębi podziemia. Wkrótce ukazali się znowu, niosąc duże krzesło, starannie przykryte jelenią skórą. Na krześle tym siedział zgrzybiały starzec; białe włosy spadały mu na czoło i ramiona, ubranie miał na sobie łatane ale czyste, na nogach obuwie używane przez indiańskich wodzów, zwane mokasynami. Postawa starca była poważna, pełna godności, lecz oczy zwracały się na otaczających z jakimś dziecinnym wyrazem. Natty stał za krzesłem oparty na fuzji, major Hartman zajął miejsce po prawej stronie, Oliwier po lewej, patrząc na starca z serdeczną tkliwością.

- Kto to jest? - zapytał sędzia.

- Kto? - powtórzył Młody Orzeł spokojnie na pozór, ale z głębokim wzruszeniem. - Ten mieszkaniec pieczary pozbawiony wszystkiego, co życie może uczynić pożądanym, był niegdyś towarzyszem i doradcą rządzących tym krajem, był wojownikiem dzielnym i nieuleknionym, plemiona indiańskie nazywały go Pożeraczem Ognia. Człowiek ten, dziś bezdomny, był niegdyś prawym dziedzicem ziemi, którą włada obecny tu sędzia Marmaduk Temple.

- A więc to major Effingham, o którym sądzono, że zaginął? - zawołał sędzia, nie mogąc wyjść z podziwu.

- On sam właśnie, zapewniam - odezwał się major Hartman.

- A pan?... - zwrócił się sędzia do Oliwiera z pewnym przymusem.

- Jestem jego wnukiem.

Zapanowało chwilowe milczenie, po czym sędzia ze łzą w oku zbliżył się do Młodego Orła i serdecznie uściśnął jego dłoń.

- Teraz dopiero zrozumiałem twoje dziwne zachowanie się w stosunku do mnie - rzekł Temple - przebaczam ci twoje podejrzenia, źle tajoną niechęć. Ale nie mogę sobie darować, że ten czcigodny starzec żył w tak okropnym stanie! A przecież dom mój i majątek byłyby na wasze rozkazy, gdybym tylko wiedział o wszystkim.

- Czyż ci nie powiedziałem, mój chłopcze, że Marmaduk jest człowiekiem nieposzlakowanej prawości i ma serce złote? - zawołał major Hartman uradowany.

Sędzia Temple miał twarz rozpromienioną, jak gdyby olbrzymi ciężar spadł mu z serca. Chcąc usunąć niepotrzebnych widzów, kazał sierżantowi odprowadzić uzbrojone oddziały do miasta, doktorowi polecił opatrzyć ranę Dulitla, Ryszarda wysłał po powóz, a Beniaminowi, któremu dla jego zasług darował wszelkie wybryki, wydał zarządzenie przygotowania w domu

pokoju dla gościa.

- Czy mogę zgodzić się, panie sędzio, aby major Effingham zamieszkał pod pańskim dachem? - zapytał Oliwier z wahaniem.

- Jakże by mogło być inaczej? - odparł sędzia żywo. - Ojciec twój, syn majora, był za młodu najdroższym moim przyjacielem. Rozdzieliły nas sprawy polityczne, gdyż on walczył w armii angielskiej, a ja przyłączyłem się do Jankesów, pomimo to byliśmy nadal przyjaciółmi. Powierzył mi całe swe mienie, nie żądając w zamian żadnego dowodu. Dziad twój, Oliwierze, nic nie wiedział o tym, że prowadziliśmy na spółkę różne korzystne przedsiębiorstwa, gdyż jako arystokrata angielski uważałby za ujmę wszelkie handlowe kombinacje. Po skończonej wojnie ojciec twój odpłynął do Anglii a jego dobra, za bezcen tu sprzedawane, począłem nabywać z jego funduszów, mając nadzieję, że mu wkrótce zdam z tego rachunek. Stało się inaczej. Pułkownik zginął na morzu, a z nim, jak ogólnie twierdzono, zginął również jego jedyny syn i spadkobierca. W jaki sposób ocalałeś, Oliwierze?

- Nie towarzyszyłem ojcu w tej podróży i dopiero otrzymawszy wiadomość o jego śmierci udałem się na poszukiwanie mego dziadka, do Ameryki, wiedząc, że pozostał bez środków do życia, ale dowiedziałem się, iż zabrał go do siebie człowiek, który służył dawniej pod jego dowództwem, Nataniel Bumpo. Dziadek przebywał w lasach darowanych mu przez Delawarów. Przyczynił się do tego John Mohikanin, któremu dziad mój uratował życie a ów John, którego ciało spoczywa w pieczarze był wówczas potężnym wodzem, znanym pod imieniem Czyngaszguk i on to przez wdzięczność dla majora Effinghama uczynił go swym przybranym synem. Indianie nazywali dziadka Pożeraczem Ognia, a czasem Orłem, stąd i na mnie przeszło to imię, zarazem powstała pogłoska, że w żyłach moich płynie krew indiańska. Dziadek po stracie syna wpadł w stan zniedołężnienia i gdyby nie troskliwa opieka Nataniela, zginąłby marnie. Bumpo nie mógł znieść, aby nieustraszony, dzielny dowódca stał się w późniejszych latach pośmiewiskiem obojętnych ludzi, więc ukrywał go starannie przed oczyma całego świata. "Lepiej niech sądzą, że nie żyje uwielbiany niegdyś nasz major, który walczył mężnie z Irokezami i Francuzami w Kanadzie, przybrany syn Wielkiego Węża, Czyngaszguka" - mawiał nieraz nasz zacny Bumpo i otaczał go najtroskliwszą opieką, pomimo że sam jedynie polowaniem zarabiał na życie.

- Jakże mogłeś, Oliwierze, posądzać mnie o nikczemne przywłaszczenie sobie waszego mienia? - rzekł sędzia wzruszony do głębi.

- Wyznaję, że milczenie pana sędziego co do pochodzenia jego majątku nieraz wprowadzało mnie w zdumienie, a duma rodowa nie pozwoliła dopominać się o własność, która według litery prawa należy do pana. Wołałem uchodzić za nieznanego nikomu strzelca i błąkać się po lasach.

- A dlaczego nie przyszło ci nigdy na myśl zwrócić się do Fryca Hartmana? Czyż ojciec twój nie wspominał o mnie?... - wtrącił major z wyrzutem.

- Owszem, mówił nieraz, ale unikałem wszelkich wyznań o swoim rodzie i pochodzeniu i gdyby nie dzisiejsze najście na ciche schronienie mego dziada, byłbym może w dalszym ciągu zachował tajemnicę. Nagle nam zasłabł i obawiam się, aby nie spoczął wkrótce obok Mohikanina.

Nadjechał powóz, do którego przeniesiono ostrożnie dziecienniałego starca, okazującego wielką radość z tego powodu. Gdy go wniesiono do salonu, oglądał sprzęty myśląc widocznie, że wrócił do własnego domu. Przemawiał tak, jakby czuł się gospodarzem domu, po czym wpadł w odrętwienie. Bumpo z Oliwierem odnieśli go do przygotowanego dlań pokoju i położyli na wygodnym łóżku. Temple z majorem byli w gabinecie sędziego i tam wezwany został Oliwier Effingham.

- Przeczytaj ten papier Oliwierze - rzekł sędzia - przekonasz się, że nie miałem nigdy zamiaru skrzywdzenia twej rodziny. W testamencie przygotowanym zawczasu, uznaję prawa Effinghamów i ich spadkobierców mogących się kiedykolwiek zgłosić.

Oliwier z widocznym wzruszeniem odczytał ten jawny dowód bezinteresowności Temple, do którego żywił dotąd nieuzasadnioną niechęć.

Elżunia z oczami płonącymi radością, zapytała Oliwiera swym dźwięcznym głosem:

- Czy pan jeszcze powątpiewasz?

- Nigdy o szlachetności pani nie wątpiłem! - zawołał Młody Orzeł gorąco, nie mogąc ukryć dłużej swego uczucia.

- Przekonałeś się pan jaki jest mój ojciec? - dodała z dumą Elżunia.

- Niechże mu Bóg stokrotnie wynagrodzi! - wyrwał się serdeczny okrzyk z piersi młodzieńca.

Sędzia patrzył z ojcowskim uczuciem na syna swego drogiego przyjaciela, a potem przeniósł wzrok na jedynaczkę. Major Hartman spozierał też na dwoje młodych, stojących obok siebie i mrugnął znacząco.

- Połowa mych posiadłości od dziś należy do ciebie - rzekł sędzia, ściskając dłoń Oliwiera - druga przypada w udziale mojej córce, a być może - dodał patrząc z pobłażliwym uśmiechem na zapłonioną Elżunię, niezadługo też przejdzie w twoje ręce.

Oliwier pochylił się, by ucałować wyciągniętą ku niemu rączkę uroczej dziewczynki, a major żartował z młodych:

- To ci szczęśliwiec!... No, no! Gdybym był takim dziarskim młodzianem, jak wówczas służąc z dziadkiem Oliwiera na jeziorach, to byś się musiał ze mną zmierzyć, zanim byś otrzymał tak piękną nagrodę!

- Daj pokój, Fryc! - śmiał się sędzia - pamiętaj, że masz lat siedemdziesiąt i że Ryszard czeka cię z toddy, zrobionym według swych niezawodnych przepisów.

To mówiąc wprowadził z sobą majora, przybył właśnie pan Le Quoi, chcąc pożegnać się przed swym wyjazdem do Francji. Miał przy tym skryty zamiar złożyć swe serce u stóp uroczej Elżuni i oświadczyć jej swe gorące uczucia, ale widząc, że się spóźnił i nie ma żadnej szansy, poszedł pocieszać się przy kubku toddy z szeryfem i majorem.

Rozdział XXI - Rok później. - Szczęśliwa para. - Natty Bumpo odchodzi w świat

Rok przeszło upłynął od opisanych powyżej wypadków. Głównym wydarzeniem w tym czasie, był ślub Oliwiera z Elżunią, a następnie śmierć majora Effinghama. Zgasł on, pozostawiając żal po sobie w sercu tych, którzy go dawniej znali.

Natty i Beniamin zostali chwilowo osadzeni w więzieniu, aby powaga prawa pozostała nienaruszona, ale sędzia wysłał wnet gońca do Albany i uzyskał u wyższej władzy darowanie winy staremu strzelcowi. Dulitl zaś otrzymał pieniężne odszkodowanie, więc swe oskarżenie cofnął i wkrótce wyjechał na zawsze z Templtonu przez nikogo nie żalowany. Beniamin powrócił do swych obowiązków, a Bumpo do lasów. Ryszard przestał dręczyć Marmaduka dziwacznymi pomysłami; Le Quoi odzyskał swe majątki, odnalazł rodziców i pisywał często listy pełne wdzięczności dla przyjaciół, którzy go tak uprzejmie przyjmowali w Ameryce.

Pewnego poranka Oliwier zaproponował żonie przechadzkę nad jeziorem, a następnie zaprowadził ją na miejsce, gdzie stała dawniej chatka Bumpa. Ziemia wyłożona była darnią, której jesienne deszcze nadały wiosenną świeżość. Kamienny mur otaczał ten zakątek, a furka wiodła do środka. Elżunia dostrzegła strzelbę Nattiego opartą o mur i dwa psy strzelca siedzące obok. Stary przyjaciel klęczał na ziemi przed grobowym kamieniem z białego marmuru i wyrywał zielsko, po chwili podniósł się i przyglądał uważnie napisom i ozdobom. W pobliżu tego grobu był artystycznie wykonany pomnik upiękuszony urną.

Natty nie zauważył, że młoda para stanęła za nim i śledzi go uważnie, więc złożony ręce na piersiach, mrucał do siebie:

- Wcale nieźle zrobione! Łuk, strzały, fajka, nawet tomahawek, co prawda dobry dla tego, kto go nigdy nie widział, ale zawsze coś niecoś broń indiańską przypomina. Odpoczywają tu sobie blisko jeden drugiego, jak przebywali za życia! A któż to moje kości złoży, gdy wybije ostatnia godzina?... - Tu westchnął, smutno potrząsając głową.

- Jeśli już ta nieszczęsna godzina nadejdzie, znajdą się przecież dobrzy przyjaciele, którzy oddadzą ci ostatnią posługę - odezwał się Oliwier, kładąc mu rękę na ramieniu. - Nie frasuj się tym Sokole Oko!

Bumpo odwrócił głowę, nie okazując najmniejszego zdziwienia, obyczaj ten bowiem przyjął od Indian, i odrzekł:

- Przyszliście odwiedzić zmarłych? To dobrze. A czy pamiętałeś o tym, Oliwierze, żeby głowę majora obrócić w stronę zachodu, a Mohikanina ku wschodowi?

- Uczyniłem, jak żądałeś.

- A co w napisie powiedziane jest o wodzu Delawarów i o jednym z najdzielniejszych

białych, jakiegokolwiek w tych górach widziano?

Oliwier zaczął odczytywać powoli słowo po słowie, wskazując je staremu strzelcowi:

"Tu leży śp. Oliwier Effingham, major królewsko_brytyjskiego 60. pułku piechoty. Odznaczał się głęboką wiarą, prawością charakteru, walecznością i cnotami. W zaraniu życia posiadał bogactwa, zaszczyty i znaczenie; wieczór jego dni zasępił mrok zapomnienia, ubóstwa, cierpień i przeciwności losu, osładzało je wszakże poświęcenie się wiernego przyjaciela i byłego podkomendnego, Nataniela Bumpo".

Natty drgnął ze wzruszenia, słysząc swoje nazwisko i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Co mówisz? Więc doprawdy kazałeś wyrycić to na marmurze? Niech ci to Bóg wynagrodzi!

A co napisane jest o czerwonoskórym?

- Zaraz przeczytam: "Pamięci wodza Delawarów, znanego pod imieniem Johna Mohikanina i Czyngaszguka!

- Czyn_gas_z_gu_ka - przerwał Natty, dobitnie wymawiając sylaby - to znaczy Wielkiego Węża. Nie można się mylić, bo nazwiska indiańskie zawsze coś oznaczają.

- Dobrze, każe poprawić - odrzekł Młody Orzeł i czytał dalej: - "Był on ostatnim z plemienia zamieszkującego tę krainę. Błędy jego były błędami Indianina, cnoty jego były cnotami sprawiedliwego człowieka".

- Tak jest, rzetelna prawda - potakiwał Bumpo. - Ach, - westchnął naraz - gdybyście go widzieli jak walczył mężnie w bitwie podczas której major Effingham ocalił mu życie! Te łotry Irokezi przywiązali go już do słupa. Sam przeciąłem mu więzy, dałem mój tomahawek i nóż. Wieczorem, tegoż dnia powalił i oskalpował jedenastu wrogów. Smutno pomyśleć, że nie zabłysną już nigdy ogniska Delawarów wśród tych wyniosłych gór, że ani jeden czerwonoskóry tu nie pozostał. Hej! hej! Dobrze były czasy i ja zżyłem się z tymi ludźmi, chociaż sam zaliczam się do białych. Ale dość już tych gawęd, czas mi odejść.

- Dokąd? - zagadnął Oliwier.

- Zapewne macie zamiar polować gdzieś w odległej stronie - dorzuciła Elżunia, widząc że strzelec wbrew zwyczajowi zarzucił na ramię tobołek. - Nie należy podejmować trudu dalekich wypraw w waszym wieku.

- Elżunia ma zupełną słuszość - rzekł Oliwier.

- Życie jest ciężkie - odpowiedział Natty - a polowanie to jeszcze jedyna rzecz, która mi pozostała na świecie. Wiedziałem, że mi niełatwo będzie rozstać się z wami, toteż przyszedłem tylko pożegnać groby i miałem zamiar odejść nie widząc się z miłymi sercu, by się nie roztkliwiać bez potrzeby. Mam zamiar udać się w okolice wielkich jezior, gdzie są jeszcze lasy nie tknięte siekierą. Tam tylko żyć i umierać! Trzymałem się tu dopóki oni żyli - dodał wskazując na groby -

wam do niczego przydatnym być nie mogę. Czas, więc, bym pomyślał o sobie i starał się przepędzić według własnego upodobania tę resztę dni, które mi jeszcze pozostały.

- Jeśli tylko braknie ci czego, dobry, kochany mój Natty - zawołał Oliwier - to powiedz nam szczerze, a postaramy się spełnić wszystko, czego tylko zażadasz.

Bumpo skłonił z wdzięcznością głowę.

- Zamiary wasze są dobre - odparł pogodnie - ale gusta nasze są odmienne; nie chodzimy jednymi drogami. Znajdziemy się wszakże kiedyś obok siebie w krainie sprawiedliwych, mam nadzieję, że tak będzie.

- Sądziłam, że do końca życia będziecie z nami! - rzekła Elżbieta ze szczerym żalem.

- Pozwól nam przynajmniej wybudować chatkę dla ciebie w miejscu, jakie sam sobie obierzesz, choćby o kilkanaście mil stąd odległym, abyśmy mogli od czasu do czasu mieć o tobie wieści.

- Jeśli macie nieco przyjaźni, pozwólcie mi żyć w sposób, jaki dla mnie jedynie wydaje się przyjemny! - rzekł Bumpo tonem prośby.

Nie pomogły żadne nalegania i perswazje. Elżunia rozplakała się na dobre, a Oliwier wydobył pugilares i wszystkie znajdujące się tam asygnaty podał strzelcowi.

Natty obejrzał je ciekawie.

- Ach, to są owe papierowe pieniądze? Nigdy ich nie widziałem - szepnął jakby do siebie. - To tylko dobre dla ludzi uczonych na książkach, mnie trudno byłoby poznać się na tym. Nie mógłbym nawet użyć ich do strzelby, bo tylko skórę w nią kładę. Obdarzyliście mnie już bardzo hojnie, oddając mi cały proch, pozostały w sklepie po odjeździe Francuza. To całe moje bogactwo. A teraz niech pani pozwoli staremu włóczędze ucałować swą białą rączkę i niech was Bóg błogosławi.

Elżunia podniosła główkę, stary strzelec spojrzął w jej zroszone łzami źrenice, pochylił się nad białą twarzyczką i zdjawszy czapkę, dotknął jej czoła z ojcowską tkliwością.

Oliwier uścisnął jego rękę w milczeniu, ale w uścisku tym wyraził mu całe serdeczne przywiązanie do niego.

Bumpo zarzucił na ramię swą ukochaną strzelbę i odszedł pośpiesznie. Po chwili dopiero odwrócił się i zawołał donośnie:

- Za mną Hektor! W drogę Slut!

Psy pobiegły za swym panem, oddalającym się wielkimi krokami. Wspiąwszy na pagórek, Bumpo zatrzymał się, spojrzął na młodych stojących wciąż jeszcze na tym samym miejscu, poruszył ręką w powietrzu na znak pożegnania, potem zakrył nią oczy, jakby chcąc ukryć łzy i odszedł w świat.

Od tego czasu nikt już nigdy nie widział starego strzelca. Na próżno go sędzia Temple kazał szukać wszędzie, nigdzie znaleźć nie można było wędrowca, który jak się potem okazało, udał się na Zachód i był pierwszym z tej gromady osadników zwanych pionierami, torujących drogę Amerykanom przez rozległy ląd do drugiego morza.